



Zdrajcy czy patrioci

Ostra debata nad Brygadą
Świętokrzyską NSZ

Walczyłem nad Bzurą

Poruszający wywiad ze 105-letnim
weteranem kampanii wrześniowej

Zbrodnia we Lwowie

Jak zdeprawowany playboy zamordował
z zimną krwią piękną aktorkę

NR 9(79)/2019 WRZESIEŃ 2019

CENA 8,90 zł (w tym 8% VAT)

HISTORIA

DO
MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
RZECZY

Bohaterowie '39

WESTERPLATTE
WALCZY!



ISSN 2299-9515

DO RZECZY HISTORIA

Nr indeksu 256 031

09



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury
stojących na straży prawdy i umiłowania
wolności. Jej laureatem może zostać osoba,
której działalność wpisuje się w hasło:
„A jednak coś po nas zostanie”.

IV EDYCJA NAGRODY

Laureaci NAGRODY
poprzednich edycji:

III EDYCJA 2018
FRANCISZEK PIECZKA
/NA ZDJĘCIU/

II EDYCJA 2017
EWA BŁASZCZYK

I EDYCJA 2016
STANISŁAWA CELIŃSKA
JAN POLKOWSKI
ANTONINA KRZYSZTOŃ



NA ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW CZEKAMY DO 30 WRZEŚNIA

SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENASI KONCERTU:



PARTNERZY:



PATRONI MEDIALNI:



ADRES: HISTORIA DO RZECZY

Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: historia@DORZECZY.PL

WWW.SUPERHISTORIA.PL

PROWADZĄCY: Marcin Bartnicki

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY” JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY.

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Piotr Zychowicz

Z ZESPOŁEM:

Redaktorzy: Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Marcin Bartnicki, Piotr Włoczyk

Studio graficzne: Wojciech Niedziello (szef studia), Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk

Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska

Okładka: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: Karol Gac (zastępca), Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także SuperExpress), Marek Budzisz

WYDAWCA:

Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu spółka Orle Pióro
 wchodzi w skład grupy kapitałowej PMPG SA,
 notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki

Zarząd spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisiecki

BIURO REKLAMY: +48 22 347 50 10

reklama@dorzeczy.pl

PUBLIC RELATIONS:

pr@point-group.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż),

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@mpmg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedżać egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515

Nr indeksu 296031

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych.

Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany tytułów.

Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 6 sierpnia 1939 r.

Impreza plenerowa podczas Świąta Legionów



FOT. MAC

Od redaktora



Piotr Zychowicz

Westerplaczczycy

Polska przegrała kampanię 1939 r. I – jak pisał płk Marian Porwit – kampania ta „została przegrana nie na miarę sił zbrojnych państwa o trzydziestopięciomilionowej ludności, zwłaszcza jeśli idzie o charakter i rozmiar walk”. Dowództwo nasze popełniło fatalne błędy, spóźniono się z mobilizacją, w wielu jednostkach panował zdumiewający wręcz bałagan. Polskie siły zbrojne zostały źle przygotowane do prowadzenia nowoczesnej wojny.

A jasne punkty? Na to pytanie odpowiedź zna każdy Polak. I udzieli jej bez wahania: bohaterstwo naszych żołnierzy! Tak, bez wątpienia nasi ojcowie i dziadkowie w 1939 r. wspięli się na wyżyny heroizmu. Hel, Bzura, Wizna, Grodno, Mława, Mokra, obrona Poczty Polskiej w Gdańsku. Kock, szarża pod Krojantami i bój o Warszawę. Bitwy należą do najbardziej chwalebnych kart dziejów oręża polskiego.

Mimo miazdzącej technologicznej przewagi nieprzyjaciela polscy żołnierze walczyli w sposób niezwykle zacięty. Z olbrzymim poświęceniem i odwagą stawali w obronie ojczyzny. Najpiękniejszym klejnotem w błyszczącej girlandzie wrze-

śniowych bitew bez wątpienia jest jednak Westerplatte. Westerplatte – nazwę tę z na- bożną czcią jeszcze niedawno wymawiało każde polskie dziecko.

W piorunującej nawale ognia. Wśród ogłuszającego huku detonacji. Ostrzeliwani z morza, powietrza i lądu. Obrońcy Westerplatte trwali na straceńczej, wysuniętej placówce przez bitych siedem dni. Zanim skapitulowali, odparli 13 zmasowanych niemieckich szturmów.

Mówi się, że największym zaszczytem i powodem do dumy dla żołnierza jest uznanie ze strony nieprzyjaciela. Niemiec- cy oficerowie, którzy kierowali atakiem na Westerplatte, jeszcze wiele lat po wojnie z podziwem mówili o woli walki i nieustępliwości polskich obrońców.

Symbolem tego uznania było to, że mjr. Henrykowi Sucharskiemu pozwolono w niewoli zachować oficerską szablę. A niemieccy oficerowie i żołnierze salutowali idącymi do niewoli westerplaczczyków. Chociaż od tych dramatycznych wydarzeń minęło już 80 lat, my pamiętamy o ich walce. Przeszli bowiem do legendy, która nigdy nie zgaśnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

/ TEMAT NUMERU

.6 MACIEJ ROSALAK

Westerplatte walczy!

.12 JACEK KOMUDA

Dąbrowski kontra Sucharski

.16 JAKUB OSTROMĘCKI

Prawda czasu i nieprawda ekranu

.20 PŁK KAZIMIERZ KLIMCZAK

Walczyłem nad Bzurą

.24 TOMASZ STAŃCZYK

Heroiczna obrona Warszawy

.28 ROGER MOORHOUSE

Kulisy zdrady Polski

/ CZASY I LUDZIE

.32 SŁAWOMIR KOPER

Miłosna zbrodnia we Lwowie

.36 PIOTR ZYCHOWICZ

Wołyńska AK w kleszczach bolszewików

.40 MAREK GAŁĘZOWSKI

Powstanie listopadowe na Rusi.44 PIOTR SEMKA
Żydowskie dzieci z Narnii.48 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Mściwy i bezwzględny szef RWE.54 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Białoruska kolaboracja.60 MARIAN ZACHARSKI
Kieszonkowy przewodnik US Army

.64 STANISŁAW ARONSON

Powstanie było koszmarnym błędem

.68 MIKOŁAJ IWANOW

Posłaniec Stalina

.72 MARCIN BARTNICKI

Jankes w PRL.76 DWUGŁOS W SPRAWIE BRYGADY
ŚWIĘTOKRZYSKIEJ**Arkadiusz Karbowski vs prof. Marcin Zaremba**.96 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Cztery wielkie wynalazki

/ FELIETONY

.84 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Chalat i pejsachówka.85 PIOTR SEMKA
Pan Tadeusz.99 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
Geneza powstania sejneńskiego

/ KRESY

.86 TOMASZ STAŃCZYK

Potęga i upadek Sapiechów

/ BATALIE I WODZOWIE

.90 MACIEJ ROSALAK

Wielki hetman – pogromca Moskwy

/ KOMIKS

.98 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI

Bój pod Wizną

Łucja wyprowadziła z getta
przyjaciółkę Bełę

Rodzina Ireny ukrywała na
mikroskopijnym stryszku
żydowską rodzinę

Ryzykowały życiem. Nie zawahały się im
pomóc. Dziewczyny, które zrobiły to,
co uznały za słuszne.



Premiera 18 września



Wrzesień '39 / Początek II wojny światowej

Westerplatte walczy!



Maciej Rosalak

ły II wojnę światową, pragnę możliwie wiernie je przypomnieć.

Obok Wisłoujścia

Westerplatte położone jest w Gdańsku, kilkaset metrów od historycznej twierdzy Wisłoujście. Na półwyspie o długości kilometra i 200-metrowej szerokości u podstawy (0,5 km kw. powierzchni), przyznanym Polsce decyzją Ligi Narodów w 1925 r., zorganizowano – u wylotu kanału portowego do Bałtyku – Wojskową Składnicę Tranzytową. Przeładowywano tu amunicję ze statków do wagonów kolejowych. Fortyfikacje stanowiły zamaskowane, betonowe piwnice pięciu wartowni w obrębie terenu koszarowego oraz wysunięte, zamaskowane, ziemno-drewniane placówki („Elektrownia”, „Przystań”, „Prom”, „Fort”, „Łazienki”) i posterunki.

1 września 1939 r. powiększona z uwagi na napięcie wojenne doborowa załoga WST składała się z ponad 200

Bili się przez sześć i pół dnia. W coraz mniejszej liczbie, bez snu i ciepłej strawy. Pod huraganowym ogniem. Byli natychnieniem dla walczącej Polski

Westerplatte nadal walczy!” – te komunikaty Polskiego Radia, nadawane codziennie w pierwszym tygodniu kampanii wrześniowej, dodawały ducha obrońcom ojczyzny w całym kraju. Jak pisał autor fundamentalnego dzieła o kampanii wrześniowej, absolutnie nieskory do używania wielkich słów i nader krytyczny wobec polskich poczyną w 1939 r., „obrona Westerplatte i obrona Poczty Gdańskiej to dwa działania znane jak Polska szeroka i długa... zrodzone z najszlachetniejszych pobudek, które urosły do rozmiarów symbolu oporu

i poświęcenia”. „By móc ocenić wysiłek załogi Westerplatte, trzeba zapamiętać, że bili się przez 6 i pół dnia jedni i ci sami żołnierze w coraz mniejszej liczbie bez snu i ciepłej strawy. Obrona Westerplatte była walką o honor oręża... Oceny działania dokonał Naród” (płk Marian Porwit, „Komentarze do historii polskich działań obronnych 1939 roku”).

Chociaż po dziesiątkach lat, które minęły od wydania książki Porwita, temat obrony Westerplatte pogłębiły nieznane wcześniej fakty, skłaniające m.in. do nowych ujęć głównych postaci, to bohaterskiej „walce o honor oręża polskiego” niczego to nie ujmuje. W 80. rocznicę wydarzeń, które zapoczątkowa-



Pociski z pancernika „Schleswig-Holstein” padają na Westerplatte FOT. GRAPOLITE.NET



Polski żołnierz z rkm Browning FOT. NAC

za odwagę osobistą w wojnie bolszewickiej Orderem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych.

Jego zastępcą i zarazem dowódcą załogi wartowniczej był oficer zawodowy WP wyszkolony po I wojnie, kpt. Franciszek Dąbrowski (rocznik 1904). 2 września – co wydaje się dowiedzione – faktycznie przejmie dowództwo Składnicy. Był synem generała ze szlacheckiego rodu herbu Jelita. Przywiązywał wielką wagę nie tylko do poziomu wykształcenia, lecz także do honoru żołnierskiego – własnego i podwładnych. Jak pisał poprzedni komendant WST mjr Stefan Fabiszewski, który pod koniec 1937 r. dołączył go do składu załogi: „Procedura była następująca: udawałem się osobiście do biura personalnego M.S. Wojsk. i w referatach przeglądałem roczne listy kwalifikacyjne, wybierałem najlepszego spośród najlepszych. W ten sposób wybrałem kapitana Franciszka Dąbrowskiego. Jego wysokie kwalifikacje potwierdziła całoroczna służba ze mną. Dąbrowski był wzorowym żołnierzem, lubianym przez podwładnych. Wysoko oceniłem jego lojalność i obowiązkowość”.

Wedle planu załoga Westerplatte miała się bronić 12 godzin – do nadejścia odsieczy. Nasi żołnierze poza bronią strzelecką dysponowali jedną armatą wz. 1902/26 kalibru 75 mm z 330 nabojami, dwiema armatkami ppanc. wz. 36 kal. 37 mm z 400 nabojami, czterema moździerzami typu Brandt kal. 81 mm z 860 pociskami, 18 ciężkimi

karabinami maszynowymi, 17 ręcznymi karabinami maszynowymi i ośmioma lekkimi karabinami maszynowymi (łącznie amunicja do karabinów maszynowych liczyła 130 tys. sztuk). Do 160 karabinów piechoty przeznaczono 45 tys. naboję. Poza tym było 40 pistoletów i po ponad 500 ręcznych granatów – zarówno zaczepnych, jak i obronnych. Znaczące jest to, że w chwili kapitulacji z kilkunastu dziesiątek tysięcy naboję do broni strzeleckiej pozostała już tylko jedna dziesiątka.

Siłami niemieckimi w Gdańsku dowodził gen. Friedrich Eberhardt, dysponujący oddziałami pieszymi w liczbie 1,5 tys. żołnierzy, liczną artylerią (65 luf) i bronią maszynową (ponad 100 luf). Mógł liczyć nie tylko na działa pancernika szkolnego Kriegsmarine „Schleswig-Holstein”, przebywającego w Gdańsku z „kurtuazyjną” wizytą od 25 sierpnia (przybył tu, aby zaatakować już następnego dnia), lecz także na dwa torpedowce i trałowiec atakujące od strony morza oraz na dwa dywizjony (blisko 60 samolotów) Luftwaffe.

1 września

Oficer wachtowy pchor. Żochowski, znajdujący się na kanonierce „Generał Haller”, patrolującej wczesnym rankiem 1 września na kursie Gdynia-Hel, zapisał w dzienniku pokładowym: „Godz. 04.47–04.54 z kierunku Gdańska odgłosy huku o nieustalonej charakterystyce”. ■

ludzi, w tym: pięciu oficerów, lekarza, trzech chorążych, zbrojnistę, 48 podoficerów, trzech marynarzy (matów), 119 legionistów i strzelców – kierowanych tu często z elitarnych pułków piechoty legionowej – oraz ponad 20 pracowników cywilnych wyszkolonych wojskowo i zmobilizowanych po rozpoczęciu walk. Najmłodszym żołnierzem był 20-letni kpr. Henryk Chruł. Jako żołnierz zawodowy 2. Pułku Piechoty Legionów w Sandomierzu zajmował stanowiska dowódcy drużyny i zastępcy dowódcy plutonu 1. Kompanii Cekaemów. Przed wojną uprawiał sport jeździecki, zajmował pierwsze miejsca w biegach na 5 i 10 km, był także instruktorem narciarstwa. Na Westerplatte przybył z Kielc jako wyróżniający się podoficer 2. Dywizji Piechoty Legionów w marcu 1939 r. i został dowódcą placówki „Łazienki”.

Dowódcą Składnicy był mjr Henryk Sucharski (rocznik 1898), syn szewca, podczas I wojny światowej żołnierz c.k. armii, który oficerem piechoty został w Wojsku Polskim, odznaczony

■ Chwilę później odebrano nadany otwartym tekstem radiogram: „Na pomoc. Jestem napadnięty. Jurand”. Po rozszyfrowaniu nadawcy okazało się, że „Jurand” oznacza komendanta placówki na Westerplatte.

„Odgłosy huku o nieustalonej charakterystyce” – to salwy z pancernika „Schleswig-Holstein”. Dowodził nim kmdr Gustav Kleikamp, a pod pokładem – jak hoplici na koniu trojańskim – czekał się 224 żołnierzy z 3. Marine-Stoßtrupp-Kompanie (3. Kompania Szturmowa Marynarki). Już 25 sierpnia na naradzie z Eberhardtem oraz z przewodniczącym Senatu Wolnego Miasta Gdańska, hitlerowcem Arthurem Greiserem, Kleikamp oświadczył, że z uwagi na ewentualny ostrzał okrętu z Westerplatte konieczna jest likwidacja polskiej załogi, aby „Schleswig-Holstein” mógł bez przeszkód niszczyć baterie Oksywie, Helu i Gdyni. Wtedy to zapadła decyzja o ataku na Westerplatte. Dowodził nim Kleikamp.

31 sierpnia o godz. 23 rozpoczęło się wyokrętowanie kompanii szturmowej.

1 września o godz. 4 jej plutony zajęły pozycję wyjściową ok. 400 m od muru składnicy. O tej porze gotowe też były do strzału karabiny maszynowe Küstenschutz Danzig (Straży Obrony Wybrzeża), ustawione po drugiej stronie kanału portowego: m.in. w spichlerzu Anker (tzw. spichlerz biały), w chłodni i w spichlerzu Prowe (spichlerz czerwony). Również o godz. 4 „Schleswig-Holstein” cicho odbił od nabrzeża i zatrzymał się w kanale niespełna pół kilometra od Westerplatte.

„1 września o godz. 4.45” – wedle raportu mjr. Sucharskiego do Dowództwa Floty – „pancernik rozpoczął ostrzeliwanie Westerplatte z wszystkich dział. Bombardowanie trwa”.

Najpierw wystrzeliły dwa działa 280 mm z wieży dziobowej, chwilę później dwa działa tego samego kalibru z wieży rufowej; pełna salwa z artylerii głównego kalibru. Następnie włączyły się artyleria 150 mm (pięć dział z jednej burty) oraz działa przeciwlotnicze ustawione do ognia wprost. Każdy pocisk 280 mm ważył

330 kg, a pocisk 150 mm – 45 kg. W ciągu siedmiu minut padło na Westerplatte osiem ciężkich pocisków i 59 lżejszych; razem grubo ponad 5 t materiałów wybuchowych i stali. Dowódca uznał, że to wystarczy, że mało kto pozostał przy życiu na tym skrawku lądu. Tymczasem ogień z pancernika był niezbyt celny, a polska załoga zdołała zająć stanowiska bojowe.

„Gdy plutonowy Baran wchodził po schodkach na wał, padła salwa armatnia z pancernika »Schleswig-Holstein«, aż ziemia zadrażała. Mur wyleciał w kilku miejscach w powietrze, a plutonowy został podmuchem wrzucony w zasieki” – wspominał 38-letni wtedy chor. Jan Gryczman z placówki „Prom” w napisanym tuż po wojnie pamiętniku. Placówkę otaczały z trzech stron rów i wysoki wał, biegnący półkolem. Niedaleko, w lasku za murem, znajdowała się wartownia niemieckiej policji Schupo. Polacy obserwowali jej patrole z odległości kilku metrów. W tajemnicy przed Niemcami zbudowano dwa schrony z drewnianych okraglaków o średnicy 30 cm. Niemiecka kompania szturmowa,



dowodzona przez por. Wilhelma Henningsena, zaatakowała tę placówkę poprzez przesmyk lądowy tuż po artyleryjskiej nawale, wysadzając bramę kolejową i wykorzystując wyłomy w murze Składnicy.

„Wydałem rozkaz: Na stanowiska! Obsługa zajęła je błyskawicznie. W tym momencie do ognia artylerii dołącza się ogień broni ręcznej i maszynowej. Z przedpola z lasku za murem, z okien warsztatów remontowych i spichrzy po drugiej stronie kanału Niemcy prowadzą gwałtowny ogień. Pociski smugowe i świetlne lecące nad placówką tworzą swojego rodzaju baldachim. Niemcy prowadzą ogień w kierunku koszar, nie spodziewając się tuż przy murze polskiej obrony” – wspominał chor. Gryczman. Wywodził się on z 3. Pułku Piechoty Legionów w Jarosławiu, był kawalerem Virtuti Militari, żołnierzem doświadczonym i odważnym, wyznaczonym na zastępcę dowódcy placówki „Prom”.

Miał do dyspozycji 13 żołnierzy. Z początku dowodził, ponieważ dowódca – 29-letni por. Leon Pajak – dotarł nieco później z sześcioma żołnierzami. W walce, jak wspominał, wyróżnili się: obsługujący cekaem plut. Władysław Baran, erkaemista kpr. Jan Kowalczyk, st. strz. Zygmunt Ziemia, strz. Jan Chrzczonowicz oraz st. strz. Franciszek Dominiak. Dwóch rannych Gryczman odesłał do koszar. Na rozkaz dowódcy por. Leona Pajaka żołnierze dopuszczali piechotę niemiecką na bliższą odległość i likwidowali ją ogniem broni maszynowej i granatami. Wiązkami granatów rozbili też wartownię Schupo. Polskie działo 75 mm zniszczyło kilka gniazd karabinów maszynowych; m.in. w spichlerzach Prowe i Anker oraz w latarni morskiej. Po 90 min niemiecka kompania uciekła, pozostawiając zabitych i rannych.

Niemcy zaatakowali wkrótce ponownie, wsparci przez 60-osobowy pluton ze zgrupowania SS „Heimwehr Danzig”, po dłuższej nawale ogniowej z pancernika, wymierzonej głównie w „Prom”. Atak udało się rozproszyć por. Leonowi Pajakowi celnym ogniem moździerzy. Artylerzyści z pancernika zniszczyli z kolei jedyne polskie działo – postrach niemieckich ckm-ów – oraz ciężko ranił por. Pajaka. Dowództwo odcinka przejął ponownie chor. Jan Gryczman, który jednak rychło musiał wycofać załogę „Promu” do wartowni nr 1. Tutaj Niemcy zalegli pod

polskim ogniem prowadzonym również z wartowni 2 i 5. Esesmanów kilkakrotnie odparła placówka „Fort”. Uniemożliwiono także próbę sforsowania kanału naprzeciw północnego cypla.

Ów drugi szturm niemiecki załamał się ostatecznie o godz. 12.30, gdy strzały z wartowni nr 5 śmiertelnie raniły w pierś i w brzuch por. Henningsena. Jego następcą – por. Walter Schug – wstrzymał natarcie, a gen. Eberhardtowi, który obiecywał przysłanie kolejnych posiłków, powiedział: „Gdyby nawet mógł pan przysłać dwa lub trzy plutony i tak wszystko na nic. Polacy uczynili z Westerplatte twierdzę, którą można zgnieść tylko stukasami”.

Do końca pierwszego dnia bitwy Niemcy nekali jednak Polaków ogniem pancernika, a także dział, moździerzy i broni maszynowej z lądu. Wypadły wrogiej piechoty – która starała się znaleźć słabe punkty polskiej obrony – zmuszały naszych żołnierzy do bezustannej uwagi i napięcia. Niemcy stracili jednak tego dnia 20 zabitych oraz 140 rannych, a Polacy – czterech zabitych i 10 rannych. Zginęli: strz. Konstanty Jezierski (śmiertelnie ranny w głowę w wartowni nr 3 od pocisku, który wpadł przez otwór strzelniczy); st. sierż. Wojciech Najsarek (rażony serią pocisków ckm, gdy wybiegł ze swej samotnej placówki – stacji kolejowej); kpr. Andrzej Kowalczyk (ciężko ranny, prawdopodobnie żywcem zasypany w leju po wybuchu bomby); strz. Bronisław Uss (ciężko ranny koło wartowni policji Schupo, zmarł tego dnia na przedpolu), st. leg. Zygmunt Zięba (ranny odłamkiem bomby w koszarach, zmarł 2 września).

2 września

Kleikamp wystąpił o przeprowadzenie nalotu do Dowództwa Sił Morskich „Wschód” już 1 września. Ze względu na konieczność ewakuacji mieszkańców domów nad kanałem okazało się to owego dnia niemożliwe, a następnego dnia od rana było zbyt mgliście. Dlatego niemieckie działania lądowe 2 września ograniczyły się do wypadów rozpoznawczych, bez trudu odpartych przez obrońców. Sytuacja zmieniła się katastrofalnie, gdy późnym popołudniem do akcji weszły stukasy.

O godz. 17.33 z lotnisk w Słupsku (Stolp-West) i Złotowie (Annafeld-

-Flatow) wzbily się w niebo pierwsze maszyny, a niespełna pół godziny później 58 bombowców nurkujących typu Junkers Ju 87 rozpoczęło bombardowanie Westerplatte. Miały zamontowane syreny akustyczne (tzw. trąby jerychońskie), uruchamiane podczas lotu nurkowego. Rurki dołączone do bomb wytwarzały zaś podczas spadania narastający świst. Dźwięki te dodatkowo przerażały i wywoływały panikę bombardowanych. Każdy stukas zrzucał po pięć bomb o łącznej wadze 400 kg, w tym jedną o wadze 250 kg i cztery o wadze 50 kg. Łącznie Niemcy zrzucili więc ponad 23 t bomb.

W ciągu 40 min bombardowania ciężko uszkodzone zostały koszary, w których zniszczono m.in. kuchnię i radiostację. Obrońcy stracili wtedy wszystkie moździerze oraz łączność telefoniczną. Bomby trafiły też wartownię nr 5, a od wybuchu i pod rumowiskiem belek oraz ziemi śmierć ponieśli żołnierze jej załogi. Sześciu zidentyfikowano: plut. Adolf Petzelt; kpr. Bronisław Perucki; st. strz. Władysław Okraszewski; leg. Antoni Piróg; st. leg. Ignacy Zatorski; leg. Józef Kita. Dalszych trzech z tej wartowni nie odnaleziono. Dwaj kolejni zginęli na innych pozycjach: strz. Władysław Jakubiak oraz kpr. Jan Gebura.

Wielu odniosło rany, a lekarz – kpt. Mieczysław Słaby – miał coraz mniej środków, którymi mógłby ratować żołnierzy. Wszyscy przeżyli głęboki wstrząs psychiczny spowodowany koszmarem nalotu, własną bezradnością, stratą kolegów i ranami wielu innych. Był to najbardziej krwawy z dni obrony Westerplatte. „Nadzieja na pomoc trwała 12 godzin, a potem następne 12 godzin. Drugiego dnia, po bombardowaniu lotniczym, zrodziła się desperacja. Nie było innego wyjścia niż śmierć. Nie było już odwrotu...” – mówił por. Pajak.

Wedle depeszy nadanej z pancernika „około godz. 19.30 dostrzeżono na Westerplatte białą flagę”. Flaga jednak szybko znikła i Niemcy sądzili, że była to chwila słabości polskiej załogi albo błąd ich obserwatora. Stosunkowo niedawno dowiedzieliśmy się, że załamanie psychiczne dotknęło zapewne samego komendanta WST mjr. Sucharskiego, który uznał, że nie ma prawa narażać podwładnych na pewną śmierć, zwłaszcza że odsiecz nie nadeszła i była coraz mniej prawdopodobna. Czy to on kazał

■ wywiesić białą flagę, czy uczyniła to grupa zbuntowanych żołnierzy – nie udało się ustalić z całą pewnością. Faktem jest, że po wejściu na teren Westerplatte Niemcy odkryli grób ze zwłokami czterech żołnierzy WP, których nie uwzględniały polskie relacje. Czy byli to rozstrzelani buntownicy?

Zapewne dowodzenie przejął wtedy nieustraszony kpt. Dąbrowski, a mjr. Sucharskiego inni oficerowie w tajemnicy przed załogą odsunęli od podejmowania decyzji. Okoliczności bezdyskusyjnie nie ustalono, zwłaszcza że szlachetny kapitan aż do śmierci (w 1962 r.) zachował milczenie o wypadkach z 2 września. Wystarczyło mu, że wieczorem załoga znów uśmierzyła wypadły wroga.

3–7 września

3 września otuchy dodały westerplatczykom wiadomości o przystąpieniu do wojny Anglii i Francji. Z dnia na dzień wypatrywano brytyjskich samolotów i okrętów – z coraz mniejszą nadzieją. Do bałtyckiej plaży Westerplatte zbliżyły się za to od morza okręty Kriegsmarine – torpedowiec T-196 oraz trałowiec „Von der Groeben” – które otworzyły ogień artyleryjski, na szczęście niezbyt celny. Zlikwidowano niemieckie wypadki na przesmyk i północny cypel oraz nocny atak, będący próbą zaskoczenia załogi.

4 września Niemcy zastosowali potworną nawałę artyleryjską z pancernika i dwóch innych okrętów oraz dział od strony lądu. Dwie wartownie zostały uszkodzone, pociski z moździerzy 210 mm poprzebijały stopy piwnic w koszarach, gdzie byli ranni. Był to efekt sprowadzenia ciężkich moździerzy kalibru 211 mm. W ramach przygotowań do generalnego szturmego ściągnięto też kompanię pionierów z miotaczami ognia.

5 września mjr Sucharski zwołał naradę dowódców, na której postanowiono trwać na stanowiskach. Podobno Sucharski płakał, uzasadniając konieczność ewentualnej kapitulacji, ale uległ kpt. Dąbrowskiemu, który zagroził mu aresztem. Tego dnia leg. Mieczysław



Niemcy przyjęli kapitulację mjr. Sucharskiego z najwyższymi honorami FOT. NAC

Krzak zginął w wyniku pomyłki od kuli kolegów pod placówką „Fort”.

6 września Niemcy dwukrotnie podjęli próbę podpalenia lasu na Westerplatte. Wtoczona na tor kolejowy cysterna z benzolem eksplodowała po trafieniu jej z działka ppanc., nie dojeżdżając nawet do polskich pozycji. Podczas drugiej próby posłużono się miotaczami ognia, ale ogień się nie rozprzestrzenił. Tak jak w poprzednich dniach Składowic ostrzeliwała ciężka artyleria oraz bombardowały stukasy.

7 września „Schleswig-Holstein” zaczął ostrzeliwać Westerplatte jeszcze wcześniej i jeszcze ciężiej niż 1 września. Wsparły go działa z lądu. Jeden z kadeków notował na pokładzie pancernika: „Okolo 04.30 rozpoczęło się piekło. Westerplatte drży, powietrze syczy i burzy się, kiedy grzmot wybuchów rozlega się jak odgłosy potężnej burzy. Trwa niespotykany dotąd ogień huraganowy, nie zostawiając kamienia na kamieniu. To zada Polakom ostateczny cios i z dreszczem myślę o zabitych i rannych na Westerplatte. Ilu z nich przeżyje?”.

Po zakończeniu trwającej godzinę nawały ogniowej do ataku ruszył świeży batalion saperów dowodzony przez ppłk. Carla Henkego. Szturmujący miotaczami płomieni podpalili las i posuwali

się ostrożnie, korzystając ze wsparcia działek ppanc. i moździerzy. Pociski niemal kompletnie zrujnowały budynek wartowni nr 2. I ten szturm odparto, choć wróg wdarł się daleko w głąb obrony, a obrońcy byli już krańcowo wyczerpani. „Siedem dni bez zmiany na posterunkach, bez światła, bez wody i bez spania” – wspominał kpr. Edward Łuczyński. – W nocy o spaniu nie było mowy, bo Niemcy podkradali się pod nasze placówki i trzeba było czuwać ze zwiększoną uwagą”. Dwoch naszych żołnierzy – leg. Józef Duleba oraz strz. Jan Czywil – ciężko rannych tego dnia, umarło wieczorem w niemieckim szpitalu.

Widząc straty i zniszczenia umocnień, rannych, których nie można było odpowiednio leczyć, zmęczenie żołnierzy, a zwłaszcza brak szansy pomocy z zewnątrz, mjr Sucharski podjął decyzję o kapitulacji. Stosowny

rozkaz wydał o godz. 10.15. Tym razem nikt się nie sprzeciwił.

Polacy byli atakowani przez prawie 3 tys. żołnierzy, dwa dywizjony lotnicze, pancernik „Schleswig-Holstein” i trzy inne okręty. Załogi liczyły 1,1 tys. ludzi.

Poległo 16 naszych żołnierzy (losu siedmiu nie znamy; rannych było ok. 50). Siedemnastego, telegrafistę sierż. Kazimierza Rasińskiego, Niemcy zamordowali w nocy z 7 na 8 września, gdyż odmówił ujawnienia tajnych szyfrów. Na jednego poległego żołnierza polskiego przypadło zapewne do 10 zabitych Niemców. Obrońcy Westerplatte dali rodakom w całym kraju zastrzyk dumy i wiary we własne siły. Taki był bilans tego boju o honor polskiego oręza.

Trzeba, żeby dowiadywały się o nim kolejne pokolenia, poczynając od słów pięknego wiersza Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego: „Kiedy się wypełniły dni / i przyszło zginąć latem / Prosto do nieba czwórkami szli / żołnierze z Westerplatte...”. Nie szkodzi, że w rzeczywistości wyglądało to, oczywiście, nieco inaczej. Nasi żołnierze nie ustawiali się w czwórki do nieba. Zajęli przepisowo pozycje w fortach i transejach, starając się – jakże skutecznie! – wysłać na tamten świat jak największą liczbę wrogów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

OTO KSIĄŻKA O ŻOŁNIERZACH Z WESTERPLATTE

Powieść oparta na najnowszych pracach historycznych, odsłaniających dramatyczne i nieznane dotąd szczegóły siedmiodniowej, bohaterskiej obrony Wojskowej Składnicy Tranzytowej w Gdańsku. Miejsca, gdzie padły strzały rozpoczynające II wojnę światową. Miejsca szczególnego dla wszystkich Polaków – gdzie żołnierz polski pokazał, że honor i godność nie mają ceny, a Niemcy słono zapłacili za swoją butę i pewność siebie.

JACEK KOMUDA WESTERPLATTE

MIAŁO SIĘ BRONIĆ KILKA GODZIN, A WYTRZYMAŁO SIEDEM DNI!





Kapitan Franciszek Dąbrowski FOT. WIKIPEDIA



Major Henryk Sucharski FOT. WIKIPEDIA

Spór o Westerplatte / Kapitulaacja czy walka?

Dąbrowski kontra Sucharski

Konflikt, który rozgorzał drugiego dnia obrony pomiędzy dowódcą mjr. Henrykiem Sucharskim a jego zastępcą kpt. Franciszkiem Dąbrowskim, jest faktem historycznym. Próbował go udowodnić w licznych artykułach Janusz Roszko, stając się celem licznych ataków. Po nim temat nakreślił Mariusz



Jacek Komuda

/ Między oficerami dowodzącymi obroną Westerplatte doszło do ostrego konfliktu. Starły się dwie koncepcje walki, dwa odmienne charaktery i dwie tradycje

Borowiak w książce „Westerplatte: W obronie prawdy”, która również stała się celem nagonki. Ostatecznie obraz dramatycznych wydarzeń dopełniły prace Mariusza Wójtowicza-Podhorskiego „Westerplatte 1939: prawdziwa historia” i kilku innych autorów. Jednak próby rewizji obrony Westerplatte spotykały się z zaciekłym oporem ludzi związanych z dawnym systemem, takich jak Stanisława Górnikiewicz-Kurowska, Paweł Dzianisz i inni. Komunistyczna historiografia wykreowała bowiem Sucharskiego na heroicznego i jedyne dowódcę obrony Westerplatte, gdyż miał odpowiednie – czyli chłopskie – pochodzenie. Pominęto niewygodne fakty: że był ambitnym pozerem, zdystansowanym wobec podwładnych, związanym z wywiadem wojskowym II Rzeczypospolitej. Sucharski jednak milczał, gdyż schorowany umarł zaraz po wojnie, w 1946 r.

Tymczasem dramatyczny konflikt, który wybuchł w Wojskowej Składnicy, był starciem dwóch ludzi różniących się prawie wszystkim, nade wszystko zaś – życiorysem. Sucharski urodził się w 1898 r. w Gręboszowie na północ od Tarnowa w wielodzietnej rodzinie chłopa, który dodatkowo trudnił się szewstwem. Chociaż rodzice byli biedni, to ukończył gimnazjum w Tarnowie.

Chłop i arystokrata

Dla chłopskiego syna była to jedna droga awansu – uczyć się jak najpilniej. I to właśnie Sucharski robił, zdając w listopadzie 1917 r. egzamin dojrzałości i uzyskując stypendium od powiatowych władz. Był jednak tak zabiedzony, że w 1916 r. nie został wzięty do wojska z powodu małego wzrostu i słabego zdrowia. Dopiero w 1917 r. wcielono go do 32. Pułku Strzelców w Bochni, a potem wysłano do szkoły oficerów rezerwy w Opawie. Później przebywał na froncie włoskim, nad Piawą. Wątpliwe, czy walczył, gdyż szybko zaraził się malarią i trafił do szpitala w Santino.

Po upadku Austro-Węgier, schorowany wrócił do domu, gdzie w 1919 r. czekał go kolejny pobór – tym razem do wojska polskiego.



Dzieciństwo i młodość

Franciszka Dąbrowskiego dzieliła od ubożego i ciężkiego życia Sucharskiego po prostu przepaść.

Urodził się w 1904 r. w Budapeszcie, gdzie przebywał jego ojciec – porucznik cesarsko-królewskiej armii,

Romuald Dąbrowski, zasłużony później w wojnie polsko-bolszewickiej i awansowany do stopnia generała brygady. Matką była węgierska baronówna Elżbieta z domu Broulik. Dąbrowski w 1910 r. rozpoczął naukę w szkole w Budapeszcie, a potem w Ems. W 1918 r. rodzice, po upadku monarchii, przenieśli się do Krakowa. W 1920 r. zdał egzamin dojrzałości. Następnie wstąpił do Szkoły Podchorążych w Warszawie. Ukończył ją w 1923 r. z 27. lokatą.

Także kariery wojskowej obu panów przebiegały odmiennie. Sucharski awansowany w 1920 r. na podporucznika znalazł się w batalionie szturmowym 6. Dywizji Piechoty z Wilna, z którą walczył w rejonie Bobrujska i jeziora Narocz. Od lipca 1920 r. bił się na Ukrainie, biorąc udział w bitwach 20. Pułku Piechoty pod Brodami i Dubnem. 30 sierpnia wyróżnił się w walkach pod Bogdanówką, za co otrzymał w 1921 r. Order Virtuti Militari V klasy.

W 1928 r. został kapitanem, przeniesiono go do 3.5 Pułku w Brześciu, gdzie pełnił obowiązki adiutanta dowódcy. Jednak malaria i dolegliwości żołądkowe dokuczały mu tak bardzo, że – jak podaje Andrzej Drzycimski – Sucharski został uznany za niezdolnego do służby. I właśnie wtedy dała o sobie znać niezbyt przykładna cecha majora. Był przeciwnikiem sanacji i przewrotu majowego marszałka Piłsudskiego, a sympatie polityczne lokował po stronie ruchu ludowego i PSL. Nie zawahał się jednak, aby skorzystać z protekcji znanego piłsudczyka – gen. Felicjana Sławoja Składkowskiego, by dopuszczono go do kursu kwalifikacyjnego na majora. W marcu 1938 r. dostał upragniony awans, a w listopadzie mianowano go komendantem Westerplatte.

Tymczasem Dąbrowski trafił do 3. Pułku Strzelców Podhalańskich w Bielsku. W 1925 r. został porucznikiem, a sześć lat później skierowano go do batalionu

szkolnego podchorążych rezerwy w Biedrusku pod Poznaniem. Następnie służył w 29. Pułku Piechoty w Kaliszu, gdzie został dowódcą kompanii karabinów maszynowych; tutaj też, w wieku 30 lat, został kapitanem, po czym oddelegowano go na stanowisko dowódcy plutonu kursu podchorążych rezerwy, skąd ówczesny komendant Westerplatte mjr Stefan Fabiszewski, który miał przywilej osobistego dobierania współpracowników, przeniósł go w 1937 r. do siebie. Major był dobrego zdania o umiejętnościach wojskowych kapitana, jak pisał: „Przeglądałem roczne listy kwalifikacyjne, wybierałem najlepszego spośród najlepszych. W ten sposób wybrałem Franciszka Dąbrowskiego”.

Na Westerplatte

Dąbrowski był już zastępcą komendanta i dowódcą kompanii wartowniczej od prawie roku, kiedy komendantem został Sucharski. Być może kapitan miał nadzieję, że sam zajmie to stanowisko, ale nie dał tego po sobie poznać. Wśród żołnierzy i oficerów cieszył się uznaniem; można powiedzieć, że wśród załogi pojawił się swoisty fanklub Dąbrowskiego. Należeli doń: przybyły 4 sierpnia 1939 r. ppor. Zdzisław Kręgielski, dowódca placówki Przysań, i porucznik rezerwy Stefan Grodecki, kolejny człowiek zatrudniony przez Fabiszewskiego. „Rzemiosło wojskowe opanowane miał doskonale. Twardy w służbie, poza służbą nie było lepszego kolegi” – pisał o kpt. Kręgielski. „W czasie przejazdu [motorówką] zwrócił moją uwagę stosunek obsługi motorówki do kapitana Dąbrowskiego. Wyczuwałem wojskową sympatię i rodzaj poufałości, jaką zwykli darzyć podwładni tych przełożonych, którzy potrafili zyskać sobie ich pełny szacunek”. Poza tym kapitan uwielbiał konie, bankiety i karty w towarzystwie kolegów i kobiet, co wywoływało spiecia z majorem, ale bynajmniej nie ujmowało mu popularności.

Spoglądając na zachowane zdjęcia przedstawiające komendanta i jego zastępcę, można się zdziwić, jak bardzo różnili się powierzchownością. Sucharski zawsze pozował: sztywny, napięty, w mundurze z orderami. Często na zdjęciu siedział z gazetą w ręku, zazwyczaj, wyniosły, w dziwnej pozie, jakby stylizował się na inteligenta albo snoba. Dąbrowski przeciwnie – wyglądał

Ruiny koszar na Westerplatte FOT. WIKIPEDIA

■ na rozluźnionego, bliższego ludziom, wesołego, że chciałoby się powiedzieć o nim: „swoją chłopa”. Zupełnie jakby to on, a nie Sucharski był synem włościanina z Gręboszowa, nie zaś potomkiem generała i węgierskiej baronówny.

Major zostawił po sobie mieszane wspomnienia. Skryty, milczący, oschły, uwielbiający narzucać podwładnym tematy polityczne i swój styl życia. Był samotny, choć miał narzeczoną – Wiktorię Kratochwil, o której nie wiedzieli nawet jego rodzina. Nie lubił go Kręgielski, najbardziej zaś Stefan Grodecki. Kiedy zmobilizowani pracownicy cywilni otrzymali zakaz opuszczania Westerplatte, komendant nie chciał się zgodzić, aby jego adiutant stołował się w kasynie oficerskim razem z dowódcami, ponieważ pogardzał oficerami rezerwy.

Mariusz Borowiak w „Westerplatte. W obronie prawdy” podaje, że Sucharski został komendantem z rekomendacji Wincentego Sobocińskiego, szefa wydziału wojskowego Komisarjatu RP w Gdańsku. Stało się tak, ponieważ związany był z wywiadem, czyli II Oddziałem Sztabu Głównego, i ukończył szkolenia. Kiedy spodziewano się zaś wybuchu konfliktu w Gdańsku, komendant Składowicy musiał mieć przygotowanie wywiadowcze.

Nie wszyscy mieli chłodne relacje z Sucharskim. Zwykli żołnierze uważali, że był doświadczonym dowódcą. „Po południu melduję się u majora Sucharskiego. Poznają w nim oficera o silnej woli, który potrafi być jednocześnie wymagającym dowódcą i dobrym starszym kolegą” – pisał kpr. Eugeniusz Grabowski. Na dobro majora należy zapisać, że dbał o warunki życia załogi, zakazując np. wykorzystywania owoców, warzyw i mleka pochodzącego z gospodarstwa placówki

w kuchni oficerskiej i przeznaczając je dla żołnierzy. Z marca 1939 r. pochodzi zresztą zdjęcie przedstawiające Sucharskiego niesionego przez żołnierzy. Jest to jedyna fotografia, na której widzimy uśmiechniętego komendanta.

Bunt oficera

Mariusz Borowiak podaje, że Sucharski nie do końca ufał Dąbrowskiemu. Czy jednak z tego powodu nie podzielił się z nim informacją, którą 31 sierpnia przekazał mu Sobociński – że wojna zacznie się następnego dnia rano i nie będzie odsieczy? Sucharski nie powiedział o tym nikomu. O ile to dramatyczną decyzję można jeszcze obronić – być może nie chciał osłabiać morale w obliczu nadchodzącej wojny – o tyle następne działania są zagadkowe. Wiedząc, że rano grozi atak, nie wzmocnił placówek, pozostawiając nieobsadzoną znaczną część stanowisk – np. Fort, Przysań, wartownie nr 3 i 6. Dlatego ich załogi musiały następnego dnia przeźierać się przez ostrzał ciężkich karabinów i działek z Nowego Portu, aby zająć stanowiska, zamiast spokojnie oczekiwać w nich niemieckiego ataku.

Być może major przeżył pierwszy kryzys psychiczny – był wszak człowiekiem schorowanym, czego nie ujawniał przed otoczeniem. Oczywiście między bajki można włożyć tezę, że zdradził albo był agentem niemieckiego wywiadu. Nie można jednak wykluczyć, że zabrnął w jakieś gry wywiadowcze albo był szantażowany. A może po prostu, tak jak wielu dowódców w 1939 r., do samego końca nie wierzył w wybuch wojny. Tak czy inaczej, jak pisze Borowiak: „zamierzał wypełnić rozkaz Edwarda Rydza-Śmigłego

go – wytrwać 12 godzin. Po dotrzymaniu przyrzeczenia nie wahał się z podjęciem decyzji o kapitulacji”. Nie brał jednak pod rozwagę, że jego podwładni będą mieli odmienne zdanie w tej kwestii.

Aż do 2 września nie dochodziło do istotnych spięć między Sucharskim a Dąbrowskim. Gdy Niemcy przeprowadzili bombardowanie, które wywołało panikę niektórych żołnierzy, komendant załamał się psychicznie i nakazał wywieszenie białej flagi i spalenie dokumentów, w tym książek szyfrów. Kiedy zobaczył to kapitan, nakazał zdjąć białą szmatę; doszło do zamieszania – zabito sprzeciwiającego się temu kpr. Gębure. Gdy Sucharski dowiedział się o tym, dostał ataku epileptycznego – Dąbrowski i Grodecki przywiązali go pasami do łóżka, wezwali dr. Słabego, który dał komendantowi coś na uspokojenie.

Odrzućmy sentymenty – działania Dąbrowskiego nie były niczym innym, jak po prostu buntem przeciwko zwierzchnikowi; popartym przed oficerów – Grodeckiego i Kręgielskiego, być może też przez kpt. Mieczysława Słabego. Jak pisze Jarosław Tuliszka w „Westerplatte 1926–1939”: „Za taki czyn [Dąbrowski] mógłby stanąć przed sądem wojennym”. Jednoznaczna ocena decyzji kapitana jest jednak niemożliwa. Z punktu widzenia wojskowego złamał rozkazy. Z patriotycznego – postąpił jak prawdziwy Polak.

Wydarzenia te wywołały wzburzenie wśród załogi, którego finałem stało się prawdopodobnie rozstrzelanie kilku żołnierzy – ich nazwiska zostały zatarte, a ciała podrzucone do ruin wartowni nr 5. Profesor Paweł Wieczorkiewicz wyraził w jednym z wywiadów przekonanie, że zapewne odmówili oni dalszej walki. Pozwolę sobie jednak z nim się nie zgodzić. W czasie trwania obrony Dąbrowski nie skazał na śmierć nikogo, kto odmawiałby udziału w obronie! Wystraszonych i panikarzy zamknął w starym schronie amunicyjnym. Co więc uczynili buntownicy z 2 września, że kazał ich rozstrzelać? O ile nie zginęli w bratobójczej walce.

Być może część żołnierzy po prostu postanowiła wykonać do końca rozkaz Sucharskiego i dotrzeć do uwięzionego majora... Za wszelką cenę. Sucharski przywiązany pasami do łóżka spadł na samo dno. Do końca obrony nie odzyskał pełnej sprawności. Kłopot w tym, że większość źródeł dotyczących jego stanu pochodzi od niechętnego go ppor. Krę-



JACEK KOMUDA
„WESTERPLATTE”
 FABRYKA SŁÓW

gielskiego. Według jego relacji dopiero 4 września komendant poczuł się na tyle dobrze, że wstał z łóżka i rozpoczął długotrwały proces przynajmniej częściowego powrotu do zdrowia. Próbował też rozmawiać z żołnierzami i oficerami, żeby wpłynęli na Dąbrowskiego w celu poddania Westerplatte. 5 września zarządził odprawę, na której przekonywał, że dalsza obrona nie ma sensu. Nie zaprosił jednak zastępcy, który mimo to przyszedł i wściekły poinformował, że „przecież wartownie się bronią!”, po czym wyszedł, trzaskając drzwiami.

Pojedynek

Tym razem to Dąbrowski przeżywał ciężkie chwile. Buntując się 2 września, zakładał, że zaraz po bombardowaniu nastąpi atak. Jednak Niemcy przyjęli taktykę nękania Polaków – ostrzeliwując ich z dział, czasem próbując wypadów lub wtaczając na teren Składowicy cysterny w celu podpalenia lasu. To wszystko podkopywało morale nieudolnie zmęczonych obrońców i ułatwiało zadanie Sucharskie-

mu. W takich okolicznościach rozegrał się prawdziwy pojedynek komendantów – dawnego i nowego, w którym Sucharski próbował siać ferment. Bez wątpienia major nie był aż tak wykończony, jak w relacji opublikowanej przez W. Patera w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym” przedstawia Kręgielski. Przynajmniej częściowo wrócił do dawnej sprawności; wybrał też inną metodę – zamiast spierać się z Dąbrowskim, rozpoczął serię osobistych rozmów z żołnierzami i podoficerami, korzystając z tego, że kapitan był coraz bardziej zmęczony. 6 września po południu zwołał kolejną odprawę, na której zapowiedział, że jeśli stan zdrowia rannych się pogorszy, a wróg dokona kolejnych zniszczeń, przerwie walkę.

7 września, po ostrzale z pancernika i haubic, zniszczeniu wartowni nr 2 i odparciu pozorowanego natarcia, Sucharski zaczął obdzwaniać wartownie,

informując o kapitulacji. Dopiero dwie godziny później wywieszono białą flagę na koszarach. Nie wiadomo dziś, jaki był ostateczny przebieg starcia majora z kapitanem. Sucharski przekonał zmęczonego zastępcę, że to już koniec? Nigdy się tego nie dowiemy – z tego ostatniego aktu dramatu pozostały nam tylko fotografie kapitulacji. Jedne upozowane przez Niemców w celach propagandowych. Drugie uchwycone w przelocie. Widzimy na nich wystraszonego i wykończonego psychicznie Sucharskiego, który przerażony stoi przed Niemcami. Dąbrowski jest wściekły, podobnie jak Grodecki i Kręgielski, i zapewne Sucharski wydał decyzję o kapitulacji za plecami kapitana, wykorzystując jego chwilę słabości albo niedyspozycji.

Obaj trafili do niewoli, która ich zabiła. Sucharski, chory, zmarł w 1946 r. we Włoszech na zapalenie otrzewnej. Dąbrowski wrócił z gruźlicą, która zabijała go przez lata. Jednak pobyt w niewoli wykończyłby obu oficerów niezależnie od tego, czy poszliby do niej 2 czy 7 września. Dlatego milej jest na sercu, że kpt. Dąbrowski choć jeszcze przez parę dni tłukł tych cholerych Szwabów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Z ogromnym smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP. **Romualda Lazarowicza** 11 VIII 1953 – 2 VIII 2019

działacza opozycji przedsierpniowej, wielkiego człowieka Solidarności, pisarza i publicysty, organizatora i drukarza wielu niezależnych inicjatyw wydawniczych. Od 13 grudnia 1981 roku do maja 1982 roku Romuald Lazarowicz był redaktorem naczelnym pierwszego w czasie stanu wojennego regularnie ukazującego się pisma „Z Dnia na Dzień”. Jako współtwórca Radia Solidarność Walcząca kierował m.in. nadawaniem bezprecedensowej serii audycji, emitowanych na żywo we Wrocławiu ogarniętym masowymi demonstracjami 31 sierpnia 1982 roku. Należał do najaktywniejszych i najbardziej ofiarnych, niezłomnych działaczy solidarnościowej konspiracji, za co został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Wolności i Solidarności, Krzyżem Solidarności Walczącej, Medalem za Działalność Opozycyjną „Niezłomni”. Jego zasługi w pracy na rzecz historycznego dziedzictwa Polaków wyróżnione zostały Krzyżem WiN oraz tytułem Kustosza Pamięci Narodowej.

Wraz z Jego śmiercią Polska utraciła nadzwyczaj aktywnego, mądrego patriotę, a także człowieka zawsze spieszącego z pomocą potrzebującym, wzór obywatela bez reszty oddanego służbie Państwu i Ojczyźnie.

Rodzinie i Bliskim składam najszczerze wyrazy głębokiego współczucia.

Mateusz Morawiecki
 Prezes Rady Ministrów

W kinie / „Tajemnica Westerplatte” (2013) i „Westerplatte” (1967)

Prawda czasu i nieprawda ekranu



Jakub Ostromecki

Stanisław Różewicz okazał się przed półwieczem lepszym odtwórcą scen walk na Westerplatte od Pawła Chochlewa. Ten ostatni trafniej ukazał konflikt między mjr. Sucharskim a kpt. Dąbrowskim

Skąd owe obiekcje? Otóż w pierwszej wersji skryptu znalazła się scena, w której polski żołnierz sikał na plakat z wizerunkiem Śmigłego-Rydza. Inni znowuż lubieżnie lizali erotyczne pocztówki, chlejąc przy tym na umór. Sprawa była nawet w 2008 r. omawiana w Radzie Ministrów. Ostatecznie owe turpistyczne sceny wyrzucono ze scenariusza. „Żałowane popłuczyny po nurcie prześmiewczym reprezentowanym przez Mrożka czy Munka” – miażdżył film prof.

Andrzej Nowak. „Wulgarny, ordynarny brutalny atak na złotą legendę Westerplatte” – oceniał scenariusz Mariusz Wójtowicz-Podhorski, autor największej monografii bitwy. Film nie zasługuje na aż tak skrajne oceny, zważywszy na to, że w bardzo wielu punktach jest zbieżny, o ironio, z odkryciami Podhorskiego. „Chciałem zrobić film o miłości do ojczyzny, film patriotyczny” – mówił Paweł Chochlew.

Zacznijmy od najmniej kontrowersyjnej kwestii, czyli taktyki. Starcie zaczyna się tak, jak to było w rzeczywistości:

„Schleswig-Holstein” pluje ogniem w kierunku polskich umocnień. Pociski trafiają pustą jeszcze izbę chorych, niszcząc większość środków opatrunkowych i lekarstw. Drużyny pędzą na stanowiska bojowe. Ogień, choć potężny, nie okazuje się jednak aż tak niszczycielski. W filmie nie jest to powiedziane, ale amunicja na niemieckim pancerniku była już przestarzała i okręt walił często zwykłymi niewypałami. Wiele pocisków eksplodowało zaś w koronach drzew.

Naciera niemiecka Kompania Szturmowa Marynarki. I w tym momencie Chochlew traci swoją szansę. Wyreżyserował bitwę w myśl dość ordynarnego schematu: jedni idą przez las, a drudzy siedzą w okopie i odpierają atak ogniem na wprost, po czym atakujący uciekają. Nie widać tu kunsztu polskich oficerów i podoficerów, którzy zaplanowali obronę bardzo precyzyjnie, na wiele dni przed wybuchem wojny rozmieszczając umocnienia i karabiny maszynowe tak, aby ogniem krzyżowym strzelały w bok i tył nacierającej piechoty. Nie widać,

Kadr z filmu „Tajemnica Westerplatte” Pawła Chochlewa
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

to nastąpiło, polscy obrońcy zdążyli jeszcze wykończyć kilka innych gniazd w zabudowaniach Nowego Portu. Brak też w filmie morderczego dla Niemców ostrzału moździerzy, które zaczęły rąbać dokładnie w momencie, gdy atakujący Niemcy weszli w strefę ostrzału polskich cekaemów. Żaden pocisk nie chybił. Doszło do masakry napastników, którą jednak z jakiegoś powodu kazał prze-rwać mjr Sucharski.

Reżyser albo sam bardzo kocha morze i piasek, albo pragnął obudzić jakieś sentymenty w widzach. Jeden z polskich punktów oporu umieszczony jest bowiem w grajdole na środku plaży. Kilkanaście metrów na wprost, niczym mali chłopcy bawiący się w wojnę, nacierają na niego Niemcy. Prosto przez zasieki i otwarty, skąpany w słońcu teren. Prawdziwa placówka „Fort” nie mieściła się na piachu, ale bliżej lądu, Niemcy zaś nacierali na nią przez nadbrzeżne krzaki, wykorzystując też dla ochrony falochron ciągnący się równolegle do brzegu.

Konflikt

Główną osią fabuły jest konflikt między mjr. Henrykiem Sucharskim a kpt. Franciszkiem Dąbrowskim. Sucharski, nie widząc sensu dalszej obrony, pragnie poddać Westerplatte, Dąbrowski chce się zaś bronić do ostatniego naboju. Dobrze, że film, trafiając do szerokiego grona odbiorców, zburzył lansowaną w PRL tezę o wzorowym dowodzeniu Sucharskiego. Widzimy więc jego załamanie nerwowe po bombardowaniu, atak drgawek, przedwczesne zniszczenie szyfrów i wywieszenie białej flagi już 2 września. Reszta sylwetki majora została zbudowana jednak pod założenie reżysera – miał to być wszak pozytywnista równie kochający Polskę jak romantyk Dąbrowski. W myśl takiego założenia nie można było zbyt pograżać Sucharskiego. W filmie major, choć przeżywa chwile załamania, jest w gruncie rzeczy sympatyczny i otwarty. W monografii Podhorskiego widać jednak zupełnie inny obraz oficera: skryty, mało mówny, nadskakujący zwierzchnikom i oschły wobec podwładnych, nerwowy, do tego dewot.

Filmowy Dąbrowski to z kolei typ harcerzyka ze szlacheckiego dworku i romantyk ślepo wierzący we francuską odsiecz. I ten obraz jest spaczony.

Dąbrowski, choć rzeczywiście szlachcic, był przede wszystkim mistrzem żołnierskiego fachu. Kiedy trzeba, potrafił srogo zrugać szeregowców w czasie ćwiczeń. Mimo to był przez nich lubiany.

U Chochlewa to Sucharski ma więcej argumentów przemawiających za poddaniem się. Głównie owe słynne „12 godzin”, czyli czas, przez jaki Westerplatte miało się bronić przed Niemcami. Według najnowszych badań taki rozkaz 1 września już nie obowiązywał. Miałby on sens tylko wtedy, gdyby w Gdańsku doszło do nazistowskiego puczu i interwencji wydzielonego korpusu WP. Korpus jednak rozwiązano, do żadnego puczu nie doszło. Według przytoczonych relacji świadków ppłk Sobociński, niebędący zresztą przełożonym Sucharskiego w rozumieniu łańcucha dowodzenia, nie mówił o żadnych „12 godzinach obrony”. Wojskowa Składnica Tranzytowa miała bronić się jak najdłużej.

W filmie Sucharski wskazuje też na olbrzymie straty, gangrenę, zdradę sojuszników i sukcesy Niemców w innych rejonach walk. Dąbrowski poza stwierdzeniem o wystarczających zapasach amunicji ma na to tylko argumenty ideowe i etyczne. Chochlew nie wspominał ani słowem, że tak długo jak broniło się Westerplatte, tak długo wiązało siły Niemców na czele z samym pancernikiem, który nie mógł wypłynąć na pełne morze.

W filmie Sucharski dość szybko odzyskuje rezon i stara się kierować załogą. Kłóci się ze swoim podwładnym a to o maski gazowe, a to o obsadę wartowni. W pewnym momencie Dąbrowski grozi nawet Sucharskiemu bronią! W rzeczywistości major, nawet po ustaniu ataku drgawek, którego doznał 2 września, był cały czas nieobecny duchem, a dowodzenie przejął Dąbrowski. Włącznie z tym, że wszystkie meldunki z fortyfikacji płynęły bezpośrednio do niego.

Morale

To właśnie postawa podoficerów i żołnierzy wywołała największe kontrowersje wokół filmu. Wyrzucono ze scenariusza scenę z pornopocztówkami. Obsikany wizerunek Śmigłego-Rydza zastąpiono plakatem „Silni, Zwarci, Gotowi”. Pozostały jednak sceny, w których żołnierze kąpią się w czasie

jak dzięki ojcowskim radom kaprali i plutonowych polscy żołnierze szybko nabierają wprawy, wyczuwając, kiedy nieprzyjacielski ogień przenosi się nad ich głowami i można nieco się wychylić, a kiedy staje się niebezpieczny. W raportach niemieckiej Kompanii Szturmowej bez przerwy zwracano uwagę na rozplanowanie i maskowanie polskich umocnień oraz na to, że zaskakująco wielu nacierających żołnierzy dostawało w plecy, uda lub pośladki. W pierwszym niemieckim szturmie nie powinno być również SA-mannów w brudnych mundurach.

Podobny brak rozmachu widać w scenie z polskimi artylerzystami. Zrazu wszystko idzie dynamicznie. Aktor Mirosław Baka powtarza dosłownie komendy, które ponad 70 lat temu wypowiedział kpr. Eugeniusz Grabowski. Strzał i polski pocisk niszczy gniazdo kaem umieszczone po drugiej stronie kanału. Kilka minut później armata zostaje jednak zniszczona ogniem niemieckiej artylerii okrętowej. W rzeczywistości, zanim

walki w morzu, wymyślając załogom niemieckich kutrów bojowych. Sporo tu również alkoholu. W wartowni nr 1 kilka razy chor. Grycman i plut. Buder skaczą sobie do gardeł, sięgając po broń.

Przeanalizujmy owe reżyserskie wizje. Na propagandowy plakat oddaje moc kpr. Grabowski, który kilka minut wcześniej dostał rozkaz rozstrzelania czterech żołnierzy, którzy odmówili walki. Można by zatem wytłumaczyć ową scenę załamaniem podoficera. Bunt i egzekucja kilku żołnierzy rzeczywiście wydarzyły się na Westerplatte. Nie znamy jednak okoliczności tego zdarzenia. Kąpiel morska pod okiem Kriegsmarine jest oczywiście nie do pomyślenia. Wódka czy koniak spożywany w wartowniach w czasie przerw w ostrzale pojawiają się w wielu relacjach obrońców. Pamiętajmy jednak, że mowa zawsze o jednej butelce, dwóch na obiekt broniący często przez 10 żołnierzy, toteż ilości wypijanego alkoholu były tak naprawdę nieduże. Wiadomo, że abstynentem nie był też kpt. Dąbrowski.

Wątek awantur między Grycmanem a Buderem to kompletna fikcja. Żołnierze ci służyli razem w wartowni nr 1 po opuszczeniu nieprzydatnej już placówki „Prom”. Doskonale się uzupełniali, a wzajemne pochwały widać też w spisanych po wojnie relacjach. Z ust Budera padało oczywiście w ferworze walk sporo przekleństw czy nawet gróźb, ale skierowane były one do szeregowców, których akurat ogarniały tchórzostwo czy chwilowy paraliż.

Dobrze natomiast Chochlew odtworzył nastroje żołnierzy, którzy dowiadują się o rozkazie kapitulacji. Marny był los gońców przynoszących tę wiadomość. Kilka razy koledzy wyładowywali na nich złość, grożąc pobiciem. Wielu podoficerów żądało potwierdzenia na piśmie, pojawiały się myśli samobójcze, inni rozważali atak na bagnety na blokujących półwysep Niemców, choć nie miało to tak teatralnej formy jak w scenie na plaży.

Mało w obydwu filmach Niemców. A szkoda. Postawa i spostrzeżenia zawarte w raportach Kompanii Szturmowej różnią się od praktyki spotykanej w innych miejscach walk kampanii wrześniowej, nie mówiąc już o czasach okupacji. Nie ma w nich szowinizmu, jest za to uznanie dla kunsztu polskiej obrony, pomysłowości rozmieszczenia schronów

i celności ognia. Jeśli Chochlew chciał zrobić film patriotyczny, to zamiast sentymentalnych scen o zachodzie słońca i bójkę między Polakami powinien, w myśl słynnej tezy Pattona o „obcych draniach umierających za swoją ojczyznę”, pokazać straty, które polski ogień uczynił napastnikom. Przecież część Kompanii Szturmowej została zdziesiątkowana. Mimo strat nie nastąpiło tu zdziczenie wojennych obyczajów charakterystyczne dla frontu wschodniego. W nocy z 1 na 2 września niemiecki patrol natknął się na ciężko rannego polskiego żołnierza – Bronisława Ussa. Niemcy opatrzyli mu rany i biegiem przetransportowali na noszach do punktu medycznego. Tam zajęli się nim wojskowi lekarze. Rany jednak były tak poważne, a upływ krwi tak wielki, że polski żołnierz zmarł. Również ranni Polacy po kapitulacji mogli liczyć na natychmiastową pomoc niemieckich lekarzy. Polskich jeńców dotknęła jednak nienawiść ze strony... gdańskich cywili. Podczas transportu z Westerplatte na ulicach Gdańska byli oni wyzywani, opluwani, obrzucani nieczystościami i kamieniami. Aż jeden z eskortujących marynarzy Kriegsmarine prychnął: „Skoro są teraz tacy bojowi, to czemu nie poszli zdobywać Westerplatte?”.

Westerplatte 67

Stanisław Różewicz okazał się lepszym odtwórcą scen walk od Pawła Chochlewa. Miał wszak na to więcej taśmy – w czasach głębokiego PRL nie wolno było pisać o jakichś rozterkach, buntach i załamaniach nerwowych oficerów ani żołnierzy, toteż siłą rzeczy większość filmu wypełniły sceny batalistyczne.

Są więc pominięte przez Chochlewa mordercze dla Niemców moździerze, jest armata, która nie poprzestaje na rozwaleniu tylko jednego cekaemu na latarni morskiej, a placówka „Fort” umieszczona



Plakaty filmów Różewicza i Chochlewa FOT. ARCHIWUM

jest na swoim miejscu na wzniesieniu ponad plażą. Brak zatem również idiotycznej bieżaniny po morskim piasku – miast tego widzimy stahlhelmy wychylające się zza falochronu. Przynajmniej w jednej scenie Różewicz pokazał widzom, czym jest ogień krzyżowy.

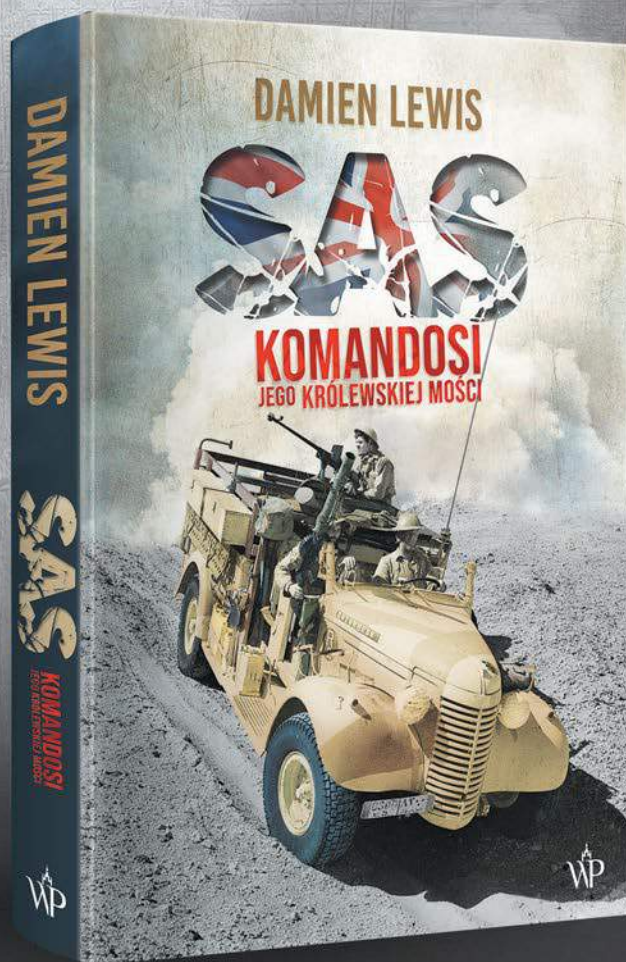
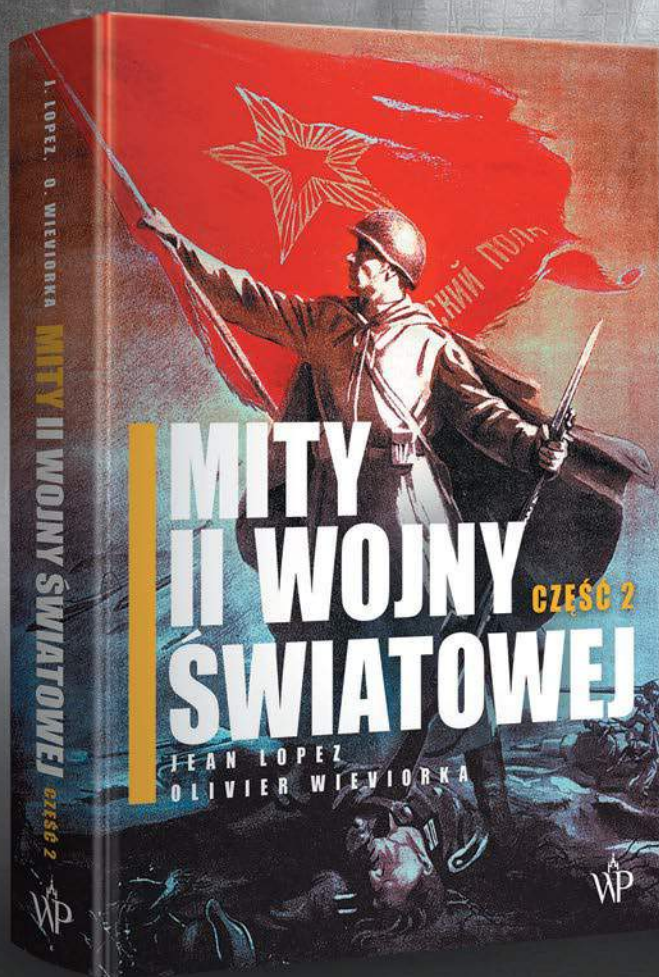
Najważniejszym mankamentem filmu z 1967 r. jest oczywiście wybielenie Sucharskiego i pominięcie roli Dąbrowskiego. Nie ma śladu po histerii majora. Wydaje on rozkazy, nadzoruje, upomina, jest opanowany. Widać jedynie palenie szyfrów i narady, w których oficer zasięga opinii swoich podkomendnych w sprawie

kapitulacji. I tutaj, tak samo jak u Chochlewa, najważniejszym argumentem za kapitulacją jest „rozkaz o 12 godzinach obrony”. U Różewicza Dąbrowski wytacza sensowny argument o wzięciu sił niemieckich, o czym zapomniał z kolei w 2009 r. Chochlew.

W filmie „Westerplatte” poznajemy kilku Niemców. Za każdym zbliżeniem widzimy oczywiście specjalnie dobrane, butne i grubo ciosane gęby w hełmach okrytych liśćmi dębu. We wspomnieniach westerplatczyków kilka razy jest o tym sposobie maskowania, ale jeśli przyjrzymy się zdjęciom z bitwy, a jest ich sporo, to niemal wszyscy niemieccy żołnierze noszą tam gołe stahlhelmy pozbawione owych liści.

Gdy kolumna polskich jeńców wyłania się ze spalonego lasu, jeden z esesmanów warczy po niemiecku: „O, idą ci bandyci”. Do podobnej sceny rzeczywiście doszło, ale bez owego okupacyjnego wyzwiska. Ogniomistrz Piotrowski, którego relacja znajduje się w monografii Podhorskiego, wspominał, że jeden z esesmanów kpił: „Aleście w dupę dostali!”. Reakcja eskortującego żołnierza Wehrmachtu czy Kriegsmarine była dość ciekawa. Tracił on łokciem Piotrowskiego i rzekł, choć półgłosem, pod adresem partyjnego szturmana: „On jest głupi – to przecież nie jest żołnierz”. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

PRZECIW FAŁSZOM I MITOM NOWE SPOJRZENIE NA HISTORIĘ II WOJNY ŚWIATOWEJ.



patroni medialni:



**POLSKA
ZEROJNA**

Defence 24



/ - Krew wyciekła takim strumieniem, że byłem pewien, iż na miejscu się wykrwawię. Cały mundur miałem we krwi. Wilem się na ziemi, a wokół mnie toczyła się prawdziwa bitwa...

PIOTR WŁOCZYK: Jak wyglądał tamten poranek 80 lat temu?

PLK KAZIMIERZ KLIMCZAK: Kanonadę słyszeć było od świtu. Nikomu nie chciało się wierzyć, że jednak mamy wojnę. Ani mnie, ani moim podkomendnym. Na niebie pojawił się samotny niemiecki samolot. Zrobił nad nami koło i poleciał dalej. Ruszamy. Ja i moi ludzie – miałem pod sobą w drużynie 27 żołnierzy.

Gdzie mieliście się przedostać?

Rozkaz brzmiał: jak najszybciej dotrzeć do Mełna. Od Brodnicy – gdzie stacjonował nasz pułk – dzieliło nas jakieś 30 km. Nie było czasu do stracenia. Pamiętam, że pobierając potrzebny sprzęt z magazynu, nikt nawet nie żądał pokwitowania. Zapamiętałem ten szczegół, bo w przedwojennym wojsku zawsze trzeba było wypełniać mnóstwo papierów. A tu – wojna, zabierajcie sprzęt i jak najszybciej na wroga!

Tamten obszar przechodził wtedy przez kilka dni z rąk do rąk – Polacy mieli jeszcze siły, by kontratakować.

Tak, front przesunął się w tę i w tę. Raz Mełno było Niemców, a za chwilę znów my odbijaliśmy miasto. Przez moment to my byliśmy górą – zdobyliśmy stację kolejową i wzięliśmy wielu Niemców do niewoli. Wtedy jeszcze wydawało się, że damy im radę. Raz, że mieliśmy pewne sukcesy w powstrzymywaniu Niemców, a dwa – przecież za moment Francja runie z całą swoją potęgą na Rzeszę. Stojąc wtedy na odbitej przez nas stacji kolejowej i patrząc na Niemców w naszej niewoli, miałem wrażenie, że wygrana jest za rogiem.

Kolejne dni były już dużo cięższe...

Podchorąży Mielczuszyński i szer. Klejman byli pierwszymi z mojej drużyny, którzy polegali. Doszło do tego podczas starcia z Niemcami pod Mełnem, które



Świadek historii / Z płk. Kazimierzem Klimczakiem „Szronem”



rozmawia Piotr Włoczyk

Walczyłem nad Bzurą



Odznaka 67. Pułku Piechoty z Brodnicy FOT. ARCHIWUM

Przekręciłem go i... serce mi na moment stanęło. Tuż pod jego hełmem ziała dziura na środku czoła. Kilka centymetrów wyżej i kula trafiłaby na stal...

Z rany wciąż wytryskiwała pod ciśnieniem krew, aż w czarnej ziemi zrobiło się zagłębienie...

Co się stało z drugim podkomendnym, którego pan wówczas stracił?

Szeregowy Klejman zginął w tej samej bitwie trochę dalej, o czym dopiero później się dowiedziałem. Niestety, nie było mi dane pożegnać go tak jak Mielczusznego. O śmierci Klejmana opowiedzieli mi po wszystkim żołnierze, którzy byli obok niego w momencie trafienia. To był męzny chłopak, chociaż z poboru, to jednak bił się o Polskę jak każdy inny z drużyny. Nic to, że był Żydem. Wiedział dokładnie, z czym przychodzi do Polski III Rzesza. Miał dużą rodzinę i rozumiał, jaki los Niemcy zgotują polskim Żydom.

Wtedy pod Mełnem przeżyłem jeszcze jedną historię, której nigdy nie zapomnę. Był to pierwszy przypadek, kiedy z całą pewnością mogłem powiedzieć, że zabiłem człowieka.

Z jak dużego dystansu?

Z dosyć sporej odległości. Ten Niemiec strzelał prosto we mnie ze swojego karabinu. Schowałem się za krzakami. Wtedy tamten przestaje strzelać, wychyla się zza drzewa i... zaczyna w naszym kierunku machać ręką tak, jakby nas zachęcał do przejścia na ich stronę. Dopiero później okazało się dlaczego.

Dlaczego?

Jeżeli kula gwiżdże, to jest jeszcze jakiś margines bezpieczeństwa, ale jeżeli słysząc „cyt”, to oznacza, że przelatuje tuż obok ucha. Podchorąży Mielczusznym leżał obok mnie w wykopanej naprędce płytkiej jamie. Ogień był ciągły, więc powoli zaczynało brakować naboju.

„Amunicyjny!” – krzyknąłem.

Cisza.

„Aamunicyyyjny!” – zawołałem jeszcze raz z całych sił. Bez rezultatu.

Obok mnie tryskały w górę fontanny ziemi, trudno było dojrzeć, co się dzieje z Mielczusznym. Przepętląłem więc do jego jamy.

Co pan zobaczył?

Mój podkomendny leżał twarzą do ziemi... Ogarnął mnie wielki niepokój.

Widząc, że wyszedł zza drzewa, podniosłem karabin do oka, przymierzyłem się i wstrzymałem oddech.

Nacisnąłem spust. Wydaje mi się, że dostał prosto w klatkę piersiową. Upadł. Potem, kiedy już po walce podeszliśmy w to miejsce, nasi żandarmi przejrżeli mu kieszenie i sprawdzili dokumenty. To był syn pastora z Torunia, który uciekł z Wojska Polskiego. Polak niemieckiego pochodzenia, który wybrał służbę w armii Hitlera. Żandarmi powiedzieli mi po wszystkim, gratulując niemal: „Ale go pięknie rozliczyłeś za zdradę!”.

Musiał pan poczuć dumę...

Nie do końca. Do tej pory działałem cały czas na adrenalinie, ale czułem się normalnie. A tu nagle w jednym momencie zaczęło się ze mną dzieć coś dziwnego. Ogarnął mnie jakiś dziwny niepokój, ręce zaczęły mi drżeć. Próbowałem to opanować, ale to było silniejsze ode mnie. Odebranie pierwszego życia tak właśnie działa. Nie wiem czy na wszystkich, ale u mnie tak to wyglądało.

Walczyliście w ramach Grupy Operacyjnej gen. Mikołaja Bołtucia w Armii „Pomorze”. Po Mełnie dostaliście rozkaz wycofania się na południe. Jak to wyglądało w warunkach wrzesniowego chaosu?

To nie był piękny widok. Cofaliśmy się bardzo osłabieni, nasze zaopatrzenie było niszczone przez Luftwaffe. Po kilku dniach właściwie nie mieliśmy zaplecza. Musieliśmy polegać tylko na tym, co mogliśmy unieść. Nie dość, że paliliśmy się gruntem pod nogami, to jeszcze sojusznicy nic nie robili. Francja i Wielka Brytania wypowiedziały Niemcom wojnę, ale nic wielkiego się nie działo! Kiedy jeszcze kilka dni wcześniej rozmawiałem o tym z dowódcą, dla nas obu było jasne, że gdy uderzą Francuzi, zaraz będziemy w Berlinie.

Przez Toruń, Włocławek podążaliśmy na południe, aż do rejonu koncentracji. Moja jednostka zmierzała w rejon Bzury, gdzie miała się rozegrać największa bitwa Września.

I to Polacy byli w tej bitwie stroną atakującą. Jaką rolę wyznaczyło panu dowództwo?

Dotarłem z moimi ludźmi pod Żychlin, jakieś 20 km na wschód od Kutna. Od Bzury dzielił nas podobny dystans. Pod lasem dostaliśmy rozkaz sformowania placówki obronnej, „patrzącej”

■ na południe. Byliśmy placówką nr 2, a oprócz nas zostały sformowane jeszcze dwie. Mieliśmy umożliwić naszym oddziałom w odwodzie rozwinięcie się.

„Moja” dwójka była pośrodku. Zajęliśmy pozycję w zagłębieniu na skraju lasu, byliśmy dobrze zakryci krzakami. Mieliśmy widok na kawał pola i las. Poza swoimi ludźmi, z którymi byłem od początku, miałem do dyspozycji jeszcze żołnierzy „dozbieranych po drodze”. Wtedy we wrześniu oddziały często się rozspychały i żołnierze szukali dla siebie nowych przydziałów. Myślę, że w sumie załoga „dwójki” składała się z jakichś 60 żołnierzy.

Nie byliśmy zupełnie w głuszy, bo nieopodal leżał uroczysko wyglądający dworeczek. Rządziła nim kobieta, o której okoliczni mieszkańcy nie mówili inaczej jak tylko „pani dziedziczka”. Naszą bazą została stodoła „pani dziedziczki”, stojąca poza zabudowaniami, nieopodal naszej placówki.

Rozumiem, że „pani dziedziczka” nie miała żadnego problemu z tym, iż się tam rozlokowaliście. Mimo że istniało przecież spore zagrożenie, że to wszystko wyleci w powietrze?

Oczywiście. Mało tego, dostawaliśmy jeszcze od niej dobrze zjeść. Ludność cywilna bardzo ofiarnie wspierała wtedy Wojsko Polskie. Gdy już rozlokowaliśmy się, nadszedł czas na rozejrzenie się po okolicy. I to był jeden z niewielu szczęśliwych momentów we Wrześniu '39. Nie mogłem uwierzyć, jaki mieliśmy fart! Wpadliśmy na porzucone działko przeciwpancerne! A obok było sporo amunicji.

To już było coś!

Mało powiedziane – to był w tamtych warunkach prawdziwy skarb! Był tylko jeden problem. Nasze znalezisko miało urwane jedno koło. Wyglądało na to, że doszło do tego na skutek wybuchu. Co się stało z załogą tego działka? Czy ktoś przy tym zginął, został ranny? Nie było żadnych śladów, nie mieliśmy na te pytania odpowiedzi.

Działko było nasze, teraz trzeba je było tylko zaciągnąć na naszą placówkę. Kilka godzin później mieliśmy je już



Polskie działko przeciwpancerne w akcji FOT. WIKIPEDIA

ustawione, a obok stał ręczny karabin maszynowy wz. 36. „Dwójka” była gotowa na Niemców. Myślę, że dwie pozostałe placówki mogły nam zazdrościć. Następne godziny to nerwowe oczekiwanie na nieuniknione starcie. Niemców w rejonie Bzury nie brakowało.

Nie trzeba było długo czekać, aż do naszych uszu doszedł warkot. Tankietki!

Polskie tankietki?!

Tak! Kilkaś metrów przed nami trzy takie maszyny wychynęły z lasu, ale za nimi posuwała się... niemiecka piechota. Czyli Niemcy zdobyli ten sprzęt i teraz używają go przeciw nam! Mój Boże, pomyślałem, jak to dobrze, że wpadliśmy na to działko. Moi żołnierze chcieli jak najszybciej strzelać, ale powstrzymywałem ich. „Jeszcze nie, jeszcze nie teraz. Czekamy. Jeszcze chwila!” – powtarzałem.

Trzy tankietki to nie zabawa, musiałem mieć pewność, że już pierwszy strzał będzie celny. Dwie po chwili schowały się w lesie, a jedna poszła na zwiad, zbliżając się do nas na odległość ok. 150 m. To był dystans, na który czekałem.

„Ognia!” – krzyknąłem.

Po drugiej stronie pola wybuch, w górę poszedł słup dymu, widzę przez lornetkę, że tankietka skrzyła w bok i stanęła. Dwie pozostałe jeszcze głębiej schowały się w lesie.

W końcu porządnie odgryźliście się Niemcom...

Tak, to była chwila radości. Pierwsze trafienie! Ale Niemcy nie odpuszczali. Co jakiś czas próbowali nas kasać, na co równie grzecznie im odpowiadaliśmy. Reszty tankietek już potem nie widziałem. Chyba dały sobie z nami spokój i pojechały dalej. Została tylko piechota.

Byliśmy na posterunku dwa-trzy dni. Nasi „sąsiedzi” przypominali nam jednak o swojej obecności.

Jak się zaczęła akcja, która na zawsze zmieniła pańskie życie?

Gdy zapadała ciśsza, wypuszczaliśmy się na patrole. Jeden z nich był dla mnie tragiczny i sprawił, że ta wojna przybrała dla mnie zupełnie inny obrót. To było 16 września. Nie odeszliśmy daleko od placówki, gdy wtem

patrzę: Niemcy są tuż obok! Sama piechota, ale było ich dużo więcej od nas. Też nas zobaczyli. Wszyscy rzuciliśmy się na ziemię. Mieliśmy rkm. Rozkazałem krótkimi seriami „ciąć” po nich. Niemcy też padli na ziemię i odpowiedzieli ogniem...

Moja prawa ręka została nagle wyrzucona do tyłu, jakby była szmaciana. Następne, co pamiętam, było uczuciem nie do wytrzymania – szum krwi. Ciemniało mi przed oczami. Dostałem w przedramię. Krew wyciekała takim strumieniem, że byłem pewien, iż na miejscu się wykrwawię. Cały mundur miałem we krwi. Wiłem się na ziemi, a wokół mnie toczyła się prawdziwa bitwa. Niemców było zbyt dużo, szybko natarli i moi żołnierze musieli się błyskawicznie wycofać.

Pańscy żołnierze zostawili tam pana?!

Nie mogli mnie zabrać. Nie miałem do nich o to pretensji. „Das ist ein Polnische Bandit!” – jak przez sen słyszę te słowa powtarzane kilka razy. Jakiś młody Niemiec, blondyn jak z plakatu hitlerowskiego, stoi nade mną i dyszy z nienawiści. „Schiessen!” – drze się. Było dla mnie oczywiste, że zastrzeli mnie tam na miejscu, na ziemi.

Robiło mi się coraz słabiej, obraz mi się rozmazywał coraz bardziej. Nagle pojawia się obok druga postać. Krzyczy na tego pierwszego, że ten Polak to żaden bandyta. „Das ist ein Polnische Soldat!”. Potem okazało się, że to był kapral Wehrmachtu, dowódca tego narwanego. Nachylił się nade mną, sięgnął po manerkę i dał mi się napić kawy. I nagle słyszę, jak mówi po polsku: „Tylko nie wychlej wszystkiego”. Człowiek, który mi uratował życie, był Ślązakiem...

Takie rzeczy nie należały wtedy do rzadkości...

To były pogmatwane czasy... Ślązak odciął nożem górę mojego rękawa, zrobił

z tego opaskę i zacisnął ją powyżej łokcia. Nie mogłem patrzeć na to, co było poniżej łokcia. To była jedna wielka miazga. Świat wirował mi w głowie. Odpyływałem...

Co Niemcy z panem potem zrobili? Wstawiennictwo tego człowieka sprawiło, że po ludzku się panem zajęli?

Śluzak podniósł mnie, przerzucił mnie sobie przez plecy i zaniósł do stodoły „pani dziedziczki”. Okazało się, że od teraz to była ich baza i urządzili tam sobie szpital polowy. Leżę, a oni tymczasem przynoszą rannych, samych Niemców. Czułem, że część tych Niemców urządzili tak moi żołnierze. Moja ręka zrobiła się czarna jak sadza, a przynajmniej takie miałem wrażenie. Szkoda było tak młodo tracić rękę – myślałem sobie ze smutkiem. Na zmianę traciłem przytomność i odyskiwałem ją. Zęby mi szczykały, trząsałem się. „Pani dziedziczka” opiekowała się mną.

Nie wiem, jak długo tam leżałem, ale nagle okazało się, że nikogo nie ma wokół mnie! Niemcy zniknęły, po prostu wyparowali.

Polacy odbili stodołę?

Tak! Po chwili słyszę język polski, męskie głosy, dużo męskich głosów. To nasi żołnierze! Kapitan Subocz, mój dowódca, załamał ręce, gdy mnie zobaczył. Byłem błądy jak ściana, a ręka nabrała przerażającego koloru.

„Nic się nie martw, zaraz tu będzie ambulans, przewiozą cię do szpitala w Nowym Dworze” – zapowiedział. I faktycznie, niedługo potem byłem już w drodze do Nowego Dworu. Ale nie dojechałem do tamtejszego szpitala. Po przejechaniu mostu kazali nam zawracać i jechać do Warszawy. Nie było negocjacji, trzeba było wykonać

polecenie. Wyjęli mnie z sanitarki, miałem jechać jakimś wozem. Most był podziurawiony, trzeba więc było wolno jechać. Woźnica zszedł z wozu i powiedział, że przeleci na drugą stronę pieszo. Myślałem, że oszalał. Jak to? Woźnica zostawia wóz i konia? Ale koń tak szedł, że przeszedł między dziurami!

To dopiero historia wojenna!

(Śmiech) Nigdy w życiu nie widziałem mądrzejszego konia. Trafiłem następnie do Szpitala Ujazdowskiego. Przez półtora roku tam leżałem. Obok mnie leżał wtedy Witold Jarosiński, wówczas jeszcze socjalista, a później wysoko postawiony komunista, wiceprzewodniczący Rady Państwa. Też był ciężko ranny. Chociaż nie mieliśmy dużo sił, to często się wtedy kłóciliśmy. Dla niego wolność miała przyjść ze Wschodu. Ja wiedziałem, że jeżeli ma być wolność w Polsce, to tylko z Zachodu może przyjść.

W zasadzie nie miał pan chyba większego wyboru, jeżeli chodzi o wybór zawodu. Niemal pół rodziny miał pan w wojsku.

(Śmiech) Chyba ma pan rację. Urodziłem się 15 lutego 1914 r., pół roku przed wybuchem I wojny światowej, pod rządami cara Mikołaja II. Miałem pięć sióstr i sześciu braci. Dwóch z nich służyło w brygadzie Piłsudskiego. Ja byłem przedostatni, młodszy brat walczył pod Monte Cassino.

„Widzisz tę szablę? – spytał mnie brat Jan, wyjmując lśniąca klingę z pochwy i obracając ją kilkakrotnie, żebym mógł jej się dobrze przyjrzeć. – Wiesz, ile jest na niej bolszewickiej krwi? Ściąłem nią tyle czerwonych łbów, ile jest snopków na polu za domem” – mówił ze śmiertelnie poważną miną.

Taka scena na każdym sześciolatku zrobiłaby ogromne wrażenie. Pamiętam, że wybiegłem na dwór, by policzyc snopki. Gdy przyszedłem, byłem cały zapłakany. Przeraziło mnie, ilu on musiał tych bolszewików zabić! To było w 1920 r., mój brat Jan wrócił właśnie z wojny polsko-bolszewickiej. Za udział w obronie ojczyzny dostał wówczas Krzyż Walecznych. Był moim bohaterem.

Wróćmy do Szpitala Ujazdowskiego. Dlaczego szybko zaczęto nazywać to miejsce Republiką Ujazdowską?

W tym szpitalu leżało kilka tysięcy rannych po kampanii wrześniowej. Między innymi był tam dowódca mojego pułku, ppłk Karol Kumuniecki. Personel i pacjenci spiskowali w najlepsze. I dlatego niektórzy śmiali się, że powstała tam wtedy Republika Ujazdowska. Szybko dotarły do nas wieści o założeniu Służby Zwycięstwu Polski. My, wojskowi pacjenci szpitala, też postanowiliśmy działać. Ile można leżeć i wpatrywać się w szpitalny sufit? Razem z innymi stworzyliśmy w szpitalu organizację konspiracyjną. Chętnych nie brakowało. Chociaż leżeliśmy w szpitalnych łóżkach, to jednak każdy marzył, by znów założyć mundur.

Niemcy zaczęli robić u nas rewizje, bo zorientowali się, że nawet w szpitalu ranni Polacy coś knują. My tymczasem mieliśmy na salach gazetki konspiracyjne. Pamiętam, że pewnego razu jedna z sióstr spytała, czy może wziąć trochę tych gazetek. Pech chciał, że Niemcy złapali tę biedną siostrę na „gorącym uczynku”, gdy przenosiła te gazetki. Nie mam pojęcia, co się z nią potem działo. To strasznie przykra historia. Wyższych oficerów, którzy byli zwalniani ze szpitala, Niemcy wysyłali do oflagów, ale niższych stopniem żołnierzy często zwalniali do domów. Tak było ze mną.

I tak trafił pan z tylko jedną działającą ręką do AK. Niejeden człowiek dałby już sobie spokój z konspiracją, ale pan walczył jeszcze w Powstaniu Warszawskim i dowodził kilkudziesięcioma chłopakami...

Byłem głodny akcji, chciałem jak najszybciej zacząć działać na poważnie, oczywiście na tyle, na ile pozwalała mi moja chora ręka. Zacząłem więc działać. Najpierw w ZWZ, a potem w AK. Szkołę młodzież, a w końcu stanęliśmy razem na warszawskich barykadach. Nawet okaleczony nie wyobrażałem sobie, że mógłbym w takich czasach siedzieć spokojnie w domu. © Wszelkie prawa zastrzeżone

plk Kazimierz Klimczak ps. Szron (ur. 1914 r.) – od 1936 r. służył w Wojsku Polskim. W szeregach 67. Pułku Piechoty walczył z Niemcami we wrześniu 1939 r. Ciężko ranny w bitwie nad Bzurą, działał w ZWZ i AK. Pułkownik Klimczak jest obecnie najstarszym żyjącym powstańcem warszawskim.





Tomasz Stańczyk

/ Niemcy nie zdołali zdobyć w boju stolicy Polski. O jej poddaniu się zdecydowało terrorystyczne bombardowanie wymierzone w ludność cywilną

Od 1 września 1939 r. mieszkańcy Warszawy słyszeli w radioodbiornikach komunikaty: „Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy”. Pierwszego dnia wojny myśliwce Brygady Pościgowej nie dopuściły samolotów Luftwaffe nad stolicę. Musiały zrzucać bomby na pola, by móc szybciej uciekać. Wyeliminowano z walki 14 niemieckich samolotów, jednak za cenę poległego pilota, 10 maszyn zniszczonych i 14 uszkodzonych.

Polscy piloci dokonywali cudów odwagi i bohaterstwa na samolotach PZL P.11 i P.7, gdyż nie mogły równać się z niemieckimi myśliwcami i miały problemy ze ściganiem szybszych niemieckich bombowców. Dzięki Brygadzie Pościgowej, a także działom przeciwlotniczym niemieckie samoloty nie zawsze przedostawały się w pierwszych dniach wojny nad Warszawę, a jeśli się im to udało, to musiały zrzucać bomby z dużej wysokości.

3 września, po wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Wielką Brytanię i Francję, mieszkańcy Warszawy wpadli niemal w euforię. Wiwatujący, rozradowany tłum otoczył ambasady zachodnich sojuszników. Optymizm trwał jednak bardzo krótko. Już następnego dnia nastąpił szok: władze państwowe opuszczały stolicę. Wyjeżdżały: rząd, ministerstwa, na dziedzińcach urzędów palono akta, urzędnicy zabierali ze sobą rodziny. Jednak nie tyle sam fakt opuszczenia Warszawy przez władze państwowe wpłynął fatalnie na nastroje mieszkańców, ile okoliczności.

Pułkownik Wacław Lipiński notował w swoim dzienniku: „Evakuacja rządu w tak nieprzyzwoicie pospieszny sposób



Wrzesień 1939 r. / Order Virtuti Militari dla stolicy

Heroiczna obrona Warszawy

przeprowadzona wytworzyła w Warszawie nastrój paniki, który szerzy się jak zaraza. Wszyscy ludzie, którzy odgrywali jakąkolwiek rolę publiczną, pędzą za Wisłę, gnani jakąś psychozą strachu i przerażenia”.

Mieszkańcy stolicy czuli się opuszczeni, wzbierało w nich rozgoryczenie. Fatalne nastroje i panikę pogłębił nieprzemyślany, niemal histeryczny apel płk. Romana Umiastowskiego, odpowiedzialnego za propagandę w Naczelnym Dowództwie, nadany przez radio z 6 na 7 września. Nakazywał masową budowę barykad i, co gorsza, wzywał wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni do opuszczenia miasta i kierowania się na wschód. Tak jakby czekali tam na nich broń i dowódcy.

Umiastowski siał psychozę, opowiadając ciągle o niemieckich dywersantach

(którzy rzeczywiście działali), zatrutych studniach i cukierkach. Na szczęście został odsunięty od mikrofonu. Apel o opuszczenie miasta został odwołany, ale wielu mężczyzn już nie wróciło do miasta.

Kryzys nastrojów przełamali dwaj ludzie: gen. Walerian Czumę, wyznaczony na dowódcę obrony Warszawy, i prezydent miasta Stefan Starzyński, który został mianowany przez Czumę komisarzem cywilnym przy Dowództwie Obrony Warszawy. Ci dwaj energiczni ludzie uspokoili sytuację. Czumę zajął się przygotowaniami do walki, Starzyński zaś swoimi zarządzeniami normalizował sytuację, przywracał spokój i normalne funkcjonowanie miasta.

Generał Czumę napotkał trudności, gdyż niespodziewanie, bez poinformowania go, wyjechało ze stolicy dowódz-



Kazimiera Mika nad ciałem siostry zabitej podczas bombardowania FOT. JULIEN BRYAN



Płonący Zamek Królewski zbombardowany 17 września 1939 r. FOT. WIKIPEDIA

two Okręgu Korpusu dysponującego materiałami wojennymi. Część z nich została zresztą wywieziona ze stolicy. Oficerowie Czumy musieli włamywać się do składów broni i amunicji, wysadzać bramy fortów, by wyciągać zgromadzone tam działa.

Szef sztabu Dowództwa Obrony Warszawy płk Tadeusz Tomaszewski wspominał: „Siłę oporu reprezentowaną przez gen. Czumę przejął Starzyński i przelał w półtoramilionową masę Warszawy, organizując, zaopatrując, kierując, prowadząc słowem, czynem, przykładem osobistym [...]. Nie wyobrażam sobie, czy i jak dalibyśmy sobie radę z zagadnieniem frontu ludności cywilnej, pomimo jej gotowości i ofiarności, gdyby nie było Starzyńskiego” (Tadeusz Tomaszewski, „Byłem szefem sztabu obrony Warszawy w 1939 r.”).

Podczas ewakuacji władz wyjechała duża część policji i, co gorsza, strażaków. Starzyński musiał więc powołać Straż Obywatelską z inż. Januszem Regulskim na czele. Warszawskich strażaków, na szczęście, przynajmniej częściowo zastąpili strażacy uchodzący z Łodzi. Starzyński zarządził otwarcie wszystkich sklepów i całodobową pracę aptek. Zakazał sprzedaży alkoholu i polecił, aby zakłady gastronomiczne wydawały tylko jeden posiłek – „zupę pożywną”. Kurczące się zapasy żywności warszawianie uzupełniali mięsem zabitych podczas bombardowań i ostrzału koni.

Starzyński krzepił mieszkańców swoimi emocjonalnymi przemówieniami radiowymi, nadawanymi zwykle dwa razy dziennie. Przemówienia miał także mjr Wacław Lipiński, podając komunikaty Dowództwa Obrony Warszawy, wygłaszając komentarze i relacjonując wydarzenia z pierwszej linii walk.

Z ziemi i powietrza

8 września wtargnęła na Ochotę, na osi ulicy Grójeckiej, czołówka niemieckiej 4. Dywizji Pancerniej. Chociaż została powstrzymana, Niemcy nadali triumfalny komunikat, że tego dnia wdarli się do Warszawy. Zdecydowany atak nastąpił następnego dnia na Ochocie i Woli.

Dowódca batalionu 41. Pułku Piechoty nie radził sobie z obroną na ul. Grójeckiej. Sprawy wziął w swoje ręce płk Marian Porwit (do końca walk będzie dowódcą obrony odcinka Warszawa „Zachód”)

i opanował sytuację. Świetnie spisał się oficer rezerwy, ppor. Józef Suchocki. Gdy pierwszy niemiecki czołg próbował sforsować barykadę z przewróconych tramwajów, dostał celny strzał, po nim trafione zostały cztery następne. Porucznik Eugeniusz Niedzielin, kierujący ogniem innego działa, zniszczył kolejne czołgi.

Niemcy próbowali atakować także na Woli. I tu też nie odnieśli sukcesu. Na osi ul. Wolskiej por. Zdzisław Pacak-Kuźmowski z 40. Pułku Piechoty powstrzymał niemiecką kolumnę pancerną. Do jej klęski przyczyniło się to, że Pacak-Kuźmowski nakazał rozlać na ulicę zawartość stu beczek z terpentyną. Podpalono jezdnię, na której zaczęły płonąć niemieckie czołgi. Tamtego dnia na placu boju pozostawili Niemcy kilkadziesiąt tanków.

6 września Brygada Pościgowa na rozkaz Naczelnego Dowództwa odleciała z podwarszawskich lotnisk polowych, pozbawiając miasto osłony z powietrza. Z ponad 50 myśliwców pozostało tylko kilkanaście i było tylko kwestią czasu, kiedy i one zostaną wyeliminowane z walki. Dowódca Brygady płk. Stefan Pawlikowski zadał jednak w gabinecie dowódcy lotnictwa pytanie: Kto będzie bronił Warszawy? Odpowiedzią było przynębiające milczenie (Jerzy Pawlak, „Nad Warszawą. Warszawskie Termopile 1939 i 1944”).

Gorzej, że ze stolicy została wycofana większość artylerii przeciwlotniczej. Ta decyzja nie miała uzasadnienia. Gdzie przydały się bardziej niż w Warszawie, pozbawionej osłony z powietrza?



Junkers 87, zwany sztukasem. FOT.WIKIPEDIA

Major Mieczysław Żylber, oficer obrony przeciwlotniczej, ocenił, że zestrzeliła ona 45 samolotów niemieckich. Uznał, że to niewiele w stosunku do bombardujących samolotów, ale ogromnie dużo w stosunku do liczby i jakości posiadanej artylerii.

Piloci Luftwaffe, ośmieleni brakiem przeciwników w przestworach i osłabieniem obrony przeciwlotniczej, zrzucaли bomby z niższej wysokości, więc precyzyjniej. Nie chodziło im bynajmniej tylko o obiekty i umocnienia wojskowe. Ich celem był powietrzny terror, złamanie psychiczne mieszkańców Warszawy, a co za tym idzie – osłabienie woli walki polskich żołnierzy.

Halina Regulska, żona komendanta Straży Obywatelskiej, pomagała w rozpościeraniu na dachu jednego ze szpitali znaku Czerwonego Krzyża, by nie został przypadkowo zbombardowany.

Dwa dni później zanotowała w dzienniku, że te znaki były pospiesznie ściągane. Zorientowano się, że niemieccy piloci kierują bomby właśnie na szpitale, a znaki Czerwonego Krzyża znakomicie ułatwiały to zadanie (Halina Regulska, „Dziennik z oblężonej Warszawy”).

Stanisław Rostworowski, oficer praskiego odcinka obrony, relacjonował skutki nalotu na Szpital Przemienienia Pańskiego, w którym znajdowało się kilkuset rannych. „Gdy zapalił się od bomb, powstał popłoch. Żołnierz z amputowanymi świeżo nogami próbował na łokciach wyczołgać się z ognia, inni skakali z okien wyższych pięter na bruk, dużo lekarzy i siostr zginęło, ratując chorych, gdy największa sala zawałiła się nagle. Kto widział ten pożar, ten Niemcom tego nigdy nie zapomni” (Stanisław Ordon-Rostworowski, „Łuna nad Warszawą”). Niemcy z premedytacją zbombardowali Szpital Chirurgii Urazowej i nie było tu mowy o pomyłce – znajdował się z dala od obiektów wojskowych. Od bomb spaliły się Szpital św. Ducha i Szpital Dzieciątka Jezus. Zabitych wojskowych i cywili podczas bombardowania chowano na skwerach i zieleńcach miejskich. „Brakło trumien, a zresztą któżby je przyniósł pod bombami. Składano nieboszczyków – czasami poszarpane ich szczątki – w szczerą ziemię. W kopczyk wtykano naprędce sklecony krzyżyk, święty obrazek, tabliczkę z nazwiskiem” („Pamiętnik z obrony Warszawy”).

Wyznaczonych zostało blisko 40 miejsc na pochówki, w parkach, ogrodach, na skwerach.

W niedzielę 17 września niemieckie bomby spadły na katedrę św. Jana. Odprawiano akurat mszę świętą. Byli zabici i ranni. Od bomb płonął tego dnia Zamek Królewski w Warszawie, w ogniu stanęła wieża Zygmuntowska. Zniszczona została największa sala zamku – Balowa. Pracownicy ratowali zabytki, wynieśli z palącego się zamku m.in. tron królewski. Kustosz Kazimierz Brokl zginął, śmiertelnie ranny odłamkiem pocisku artyleryjskiego. Katedra i zamek nie były przypadkowymi celami. Zostały wybrane, gdyż były zabytkami, a zamek ponadto – jako siedziba prezydenta RP – stanowił symbol polskiej państwowości.

Ciężkie walki trwały na prawym brzegu Wisły, na Pradze od nocy z 14 na 15 września. Polacy utracili Wał Gocławski górujący w terenie i dający przez to wrogowi pole do obserwacji. Niestety, nie udało się go odbić. Niemców zatrzymano na Saskiej Kępie, na barykadzie przy Zwycięzców. Chlubnie zapisał się w praskich bojach 21. Pułk Piechoty „Dzieci Warszawy” płk. Stanisława Sosabowskiego (późniejszego dowódcy brygady spadochronowej), który przy ul. Grenadierów odrzucił Niemców atakiem na bagnety.

Warszawianie

Tadeusz Tomaszewski stwierdzał: „Po raz pierwszy w historii wojen ponadmilionowe miasto, nieprzygotowane ani materialnie, ani psychicznie poddane zostało wielkiej próbie i próbę tę wytrzymało w postawie moralnej nie do opowiedzenia i omal bunt nie wybuchło, gdyśmy skapitulowali”. Nie widział objawów paniki, niechęci, załamania, słów protestu, zwątpienia czy skargi.

Marian Porwit zauważał, że wspaniała energia i wola walki Starzyńskiego nic by nie zdziałały, gdyby nie ofiarna i bohater-ska postawa mieszkańców Warszawy oraz ich reakcja na jego apele i przemówienia.

Halina Regulska wspominała, że gdziekolwiek pojawił się polski żołnierz, wszę-

dzie otaczała go serdeczność warszawian. Jeden z żołnierzy stanął w kolejce po papierosy. Przepuszczono go na jej początek, a sklepikarz nie wziął pieniędzy. „Kto tylko był w sklepie, chciał mu coś kupić, coś ofiarować. Żołnierz był zażenowany i nie chciał nic przyjąć, ale bezskutecznie”. Wpychano mu do kieszeni papierosy, czekoladę.

Kobiety masowo zgłaszały się do szpitali. „Opatrują, karmią, dają swoją krew” – relacjonowała Regulska. Wspaniale spisała się harcerska młodzież. Harcerki zakładały gospody żołnierskie, punkty dożywiania głodujących, także pracowały w szpitalach.

Powtórzył się fenomen obrony Lwowa w listopadzie 1918 r. przed Ukraińcami, o której Józef Piłsudski pisał: „Żołnierz staje się zależny od siły lub słabości tych, których broni, tak, że nie wiadomo nieraz, co ważniejsze, żołnierz czy duch miasta, którego ten żołnierz broni”. Tysiące ludzi zgłosiło się na apel PPS do Robotniczego Batalionu Obrony Warszawy i – na apel Starzyńskiego – do Batalionów Pracy. Lwów za postawę swoich mieszkańców otrzymał krzyż srebrny *Virtuti Militari*. W listopadzie 1939 r. taki sam order nadał Warszawie gen. Władysław Sikorski. Po wielu staraniach został umieszczony dopiero w 2004 r. (!) tylko w herbie wielkim Warszawy, niestety wyjątkowo rzadko wykorzystywanym.

Po nieudanej próbie zdobycia miasta szturmem zaczęły się walki pozycyjne. Jednocześnie nad Bzurą trwała największa bitwa Września. W Dowództwie Obrony Warszawy gorąco dyskutowano nad uderzeniem odciążającym ze stolicy, zgodnie z napoleońską zasadą maszerowania na huk dział. Ten wypadek ze stolicy mógł rozproszyć wysiłki Niemców skoncentrowane na oddziałach armii „Poznań” i „Pomorze”, ułatwić przebijanie się polskich żołnierzy ku Warszawie. Prosił o to gen. Juliusza Rómmela, dowódcę armii „Warszawa”, gen. Kutrzeba. A jeśli Warszawa przeżywała dni ulgi, także od nalotów Luftwaffe, to dlatego, że siły niemieckie były skoncentrowane na walce z wojskami gen. Kutrzeby.

Pułkownik Tadeusz Tomaszewski ocenił, że spośród 42 batalionów, którymi dysponowano w stolicy, 24 wystarczyłyby, żeby utrzymać pozycje obronne. Osiemnaście batalionów można było

rzucić do akcji odciążającą. Tomaszewski podsumowywał: „Nie ulega wątpliwości, że ciężar odpowiedzialności za tę bezczynność, a trwa ona na naszym zachodzie od 12 do 25 września, czyli pełne dwa tygodnie, nie licząc lokalnych natarć, spada głównie na gen. Rómmla”. Rómmel tłumaczył się we wspomnieniach, że przy osłabionej obronie Warszawa mogła być szybko zajęta przez Niemców.

Początkowo planowano uderzenie 18 batalionów, potem 12, jeszcze później siedmiu. Był nawet wydany rozkaz do ataku na 18 września, jednak w ostatniej chwili został odwołany. Ostatecznie z wielkiego planu pozostało tylko trzybatalionowe zgrupowanie płk. Okulickiego, które 18 września, mimo odwagi i dzielności dowódcy, nie odniosło lokalnego sukcesu.

Krwawy bilans

24 września Starzyński wygłosił ostatnie przemówienie, w którym mówił, że widzi stolicę w gruzach, płonąca od bomb. „Nie za lat pięćdziesiąt, nie za lat sto, lecz dziś Warszawa chroniąca honoru Polski jest u szczytu swojej wielkości i chwały”.

Najcięższe bombardowanie nastąpiło w poniedziałek 25 września, gdy ok. 300 niemieckich samolotów godzinami nadlatywało nad Warszawę, zrzucając tony bomb. „Pożary zlewające się w perspektywie w jedno dawały wrażenie, że cała Warszawa wraz z Pragą płoną, że wszystko to to jedno morze ognia i dymu” – relacjonował Tadeusz Tomaszewski. A straty byłyby jeszcze większe, gdyby nie bohaterstwo członków OPL, czuwających na dachach i strychach, gaszących zapalające bomby, pożary.

Wielogodzinne bombardowanie było wstrząsem psychicznym dla mieszkańców. Sytuacja miasta pogorszyła się dramatycznie, gdyż bomby zniszczyły Stację Filtrów. Warszawa została pozbawiona wody do gaszenia pożarów i dla mieszkańców. Nie było prądu – elektrownia także została zbombardowana. W szpitalach znajdowało się ponad 40 tys. rannych.

Bombardowanie w czarny poniedziałek było przygotowaniem do generalnego szturm.

W nocy z 25 na 26 września Niemcy opanowali ośrodek oporu Babice, utrzymywany przez żołnierzy mjr. Jacka De-

cowskiego. „Generał [niemiecki – przyp. T.S.] dowodzący 19. DP polecił zebrać po bitwie pozostałych przy życiu polskich żołnierzy broniących ośrodka »Babice«. Chciał sprawdzić, czy to naprawdę jeden samotny batalion III/26 pp. stawiał tak długi opór niemieckiej dywizji. Nie szczęśliwie dowódca 19. DP majorowi Decowskiemu słów uznania, a swoim żołnierzom stawiał za wzór ten mężny batalion” – pisał płk Marian Porwit (Marian Porwit, „Obrona Warszawy wrzesień 1939: wspomnienia i fakty”).

Bronił się zaciekle fort czerniakowski. Niemcy, nie mogąc go zdobyć, opanowali dach i rzucali do środka przez otwory wentylacyjne świece dymne i gaz łzawiący. Nic to nie dało. Wreszcie wysadzili jego mury w powietrze, grzebiąc w gruzach wielu polskich żołnierzy. Ci, którzy przeżyli wybuch, poddali się, wiedząc, że Niemcy kują korytarz w celu włożenia drugiej miny.

Niemcy nie zdobyli bojem Warszawy. Polscy żołnierze nie dopuścili do tego, by wróg w walce opanował stolicę. „Gdybym był Francuzem, napisałbym, że w Warszawie wrześniowej rozpałał się le feu sacré, święty ogień zapalu i poświęcenia. Jako żołnierz i dowódca oceniałem skromniej, że w drugiej dekadzie września rodził się szlachetny upór, który na wojnie jest pierwszym stopniem do osiągnięcia nazwy dobrego żołnierza” – stwierdzał Porwit.

Tomaszewski relacjonował: „Idziemy z gen. Czumą do gen. Rómmla, przedstawiając sprawę, proponując kończyć. Sprawa jest jasna jak słońce, a ściślej ciemna

jak noc, więc szkoda każdej chwili, szkoda każdej nowej kropli krwi”. Rómmel chciał jeszcze skonsultować się z członkami Komitetu Obywatelskiego. Starzyński zapewniał, że jeśli będzie wola dalszej walki, to on zrobi wszystko, by zapewnić środki do jej prowadzenia i funkcjonowania miasta. Na rzucone przez kogoś pytanie, czy nie szkoda, że każdego dnia giną pod bombami zabytki i domy, odpowiedział z przekonaniem: „Trzy razy tak piękną odbudujemy!”.

Na Radzie Wojennej dyskutowano 26 września plan ostatniej walki, wyjścia wszystkimi siłami z Warszawy i stoczenia bitwy na przedpolu, aż do ostatniego naboju, a potem poddanie się. Opowiadali się za tym gen. Kutrzeba i płk Lipiński. Jednak gen. Rómmel nie zgodził się na to rozwiązanie. Stolica mogła się bronić dopóty, dopóki wystarczyłoby amunicji, ale dalszą walkę uznano za bezcelową, przedłużającą tylko cierpienia ludności. 27 września nastąpiło zawieszenie broni, a następnego dnia – kapitulacja.

Nie wszyscy z tym się pogodzili. Podchorąży Piłsudski, być może syn brata Marszałka, zameldował się u gen. Rómmla, żądając podania motywów. Nosił się z myślą zastrzelenia generała. Rómmel „odkrył mu nagą prawdę”, jak wspominał Tomaszewski, i dzięki temu ocalał życie.

W obronie Warszawy poległo 2 tys. żołnierzy, zginęło na skutek bombardowań i ostrzału artyleryjskiego 10 tys. warszawian, w gruzach leżało 12 proc. zabudowy stolicy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Stanowisko przeciwlotniczego ckm przy Dworcu Głównym FOT. WIKIPEDIA



Wywiad / Z Rogerem Moorhouse'em, autorem książki „Polska 1939”



rozmawia Piotr Włoczyk

Kulisy zdrady Polski

Brytyjczycy i Francuzi nie wypełnili sojuszniczych obietnic. Konająca Polska nie doczekała się pomocy

PIOTR WŁOCZYK: Według samego Hitlera „Fall Weiss” był gigantycznym ryzykiem, ponieważ w przypadku wypełnienia zobowiązań sojuszniczych przez Francję i Wielką Brytanię doszłoby do „Finis Germaniae”. Ta wypowiedź była elementem

budowania przez Hitlera własnej legendy czy była to realna ocena sytuacji?

ROGER MOORHOUSE: Ciężko na to pytanie jednoznacznie odpowiedzieć. Gdyby sojusznicy Polski faktycznie ruszyli wówczas na III Rzeszę, to Niemcy na pewno mieliby ogromny problem. Myślę tu oczywiście głównie o Francuzach, ponieważ Brytyjczycy dopiero zaczęli przenosić swoje siły na drugą stronę kanału. Obietnica dana Polakom zakładała akcję wojskową dwa tygodnie po rozpoczęciu działań wojennych. Tym-

czasem uderzenie w głąb Niemiec było tak słabe, że aż przykro to komentować. Bywały sytuacje, gdy jeden niemiecki karabin maszynowy „zatrzymywał” całą francuską dywizję. W czasie tej akcji widać było mniej zaangażowania niż podczas ćwiczeń na poligonie...

Chyba ciężko w ogóle nazwać armią to, co Hitler wystawił wówczas naprzeciw Francuzów?

Niemcy rozlokowali wzdłuż swojej zachodniej granicy szczątkowe siły, bez lotnictwa i wojsk pancernych. Gdyby

Brytyjczy i francuscy żołnierze w czasie „dziwnej wojny”, 28 listopada 1939 r.

FOT. WIKIPEDIA



Niestety, ta decyzja wydawała się dla ówczesnych decydentów jedyną naturalną. Francuzi stracili w czasie I wojny światowej tytuł żołnierzy, że nie było u nich widać w 1939 r. żadnej woli, by iść na wojnę. W owym czasie trwała na łamach tamtejszej prasy wielka dyskusja, czy Francja powinna rzeczywiście bronić Polski. Jej symbolem stało się „umieranie za Gdańsk”. Bardzo wielu francuskich publicystów i polityków mówiło wprost, że to nie będzie ich wojna.

Wielka Brytania nie wyszła z I wojny światowej tak pokiereszowana jak Francja, ale również tam długo nie było widać woli walki...

To prawda, nasze straty w I wojnie światowej były dużo mniejsze niż francuskie. Jednak w Londynie bardzo długo uważano żądania Niemiec za uzasadnione w mniejszym bądź większym stopniu. Ta polityka skończyła się dopiero w marcu 1939 r... Również w Londynie podchodzono do kwestii wypowiedzenia wojny głównie w kontekście ratowania honoru narodu. Jeżeli bowiem przyjrzymy się z bliska temu, jak wyglądało potem przekazywanie tej deklaracji na praktykę, czyli wypełnianie zobowiązań sojuszniczych, to włosy stają dęba.

Jak źle to wyglądało?

Weźmy choćby wypowiedź naszego ministra lotnictwa podczas spotkania gabinetu. W odpowiedzi na pytanie, czy RAF zaplanował bombardowanie niemieckich sił stacjonujących w Schwarzwaldzie, minister odpowiedział: „Mój Boże, czy nie wiecie, że to własność prywatna?”.

A w tym samym czasie Polska była bezlitośnie bombardowana przez Luftwaffe, które niczym się nie przejmowało...

Gdyby tylko Churchill był wtedy premierem...

Biorąc pod uwagę, że ten polityk zawsze był jastrzębiem, można byłoby zakładać, że gdyby wtedy był u władzy, wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Być może jednak to upokorzenie Wielkiej Brytanii przez Niemcy, które musiało zająć trochę czasu, było niezbędnym warunkiem, by naród nabrał przekonania, że trzeba się ostro postawić Hitlerowi?

Może po prostu Wielka Brytania nie była we wrześniu 1939 r. tak gotowa na kogoś takiego jak Churchill, jak była gotowa wiosną następnego roku?

Jak nazwać to, co się stało w Abbeville 12 września 1939 r., podczas spotkania francusko-brytyjskiej Najwyższej Rady Wojennej?

W książce nazywam to „apogeum bierności sojuszników”, ale mówiąc wprost: to była najzwyczajniejsza zdrada. W Abbeville obaj sojusznicy umywają ręce od sprawy polskiej i koncentrują się już na innych teatrach wojny. Oznajmiają sobie całkiem wprost, że nic nie mogą zrobić, by uratować Polskę.

Do tego spotkania doszło pięć dni przed ostatecznym ciosem – inwazją sowiecką. W tych dniach dopiero zaczynała się wielka bitwa nad Bzurą. Nasi sojusznicy już wiedzieli, że to koniec?

Można to tak odczytywać, tylko problem w tym, że Brytyjczycy i Francuzi poddali się, zanim zrobili cokolwiek konkretnego. Bitwa nad Bzurą pokazała, do czego Wojsko Polskie było zdolne. To było zbyt wcześnie, by skreślić Polskę. Dlatego Abbeville to jeden wielki wstyd.

Stenograf z Abbeville tymi słowami streścił stanowisko głównodowodzącego armii francuskiej gen. Maurice'a Gamelina: „Odnosnie do użycia sojuszniczych Sił Powietrznych stwierdził, że zgadza się z poglądami głoszonymi przez sztab Brytyjskich Sił Powietrznych, że siły powietrzne nie powinny być w chwili obecnej użyte przeciwko obiektom w Niemczech. Uniknie się w ten sposób strat i usunie niebezpieczeństwo trafienia celów cywilnych oraz ewentualnych reperkusji”. Czy ci ludzie nie słyszeli o bombardowaniu Wielunia i Warszawy?

Polacy, przede wszystkim polska ambasada w Londynie, robili wszystko, co w ich mocy, by alarmować sojuszników na temat barbarzyństwa Niemców, ale Brytyjczycy i Francuzi nie chcieli tego przyjmować do wiadomości. Przykładem może być raport sporządzony dla brytyjskiego ministerstwa lotnictwa, w którym stwierdzono, że nie można się dopatrzeć

większych nadużyć w działaniach Luftwaffe w Polsce... Brytyjczycy i Francuzi przekonywali siebie samych, że wojna w Polsce nie jest aż tak straszna.



**ROGER MOORHOUSE
„POLSKA 1939. PIERWSI PRZECIWKO HITLEROWI”**

ZNAK

Francuzi – bo przecież to głównie na nich liczyli wtedy Polacy – mieli we wrześniu 1939 r. wolę walki, to mogli oczywiście osiągnąć spore sukcesy. Czy to by oznaczało szybką klęskę III Rzeszy? Na pewno Niemcy musieliby przerzucić z Polski znaczną część swoich sił pancernych i lotnictwa, co dałoby Polsce trochę wytchnienia.

Właśnie to było fundamentalnym założeniem polskiej strategii obronnej. Po latach nie brak głosów, że był to jednak szczyt naiwności z naszej strony.

Tak, Polacy oparli całe swoje strategiczne planowanie na tym jednym założeniu. Po drugiej stronie spotkali się jednak po prostu ze zdradą. Ta zdrada musiała być podwójnie bolesna, bo sojusznicy Warszawy nawet nie spróbowali w jakikolwiek realny sposób udzielić jej pomocy.



■ Czy nasi sojusznicy kupowali sobie po prostu wtedy czas?

Nie nazwałbym tego w ten sposób. Francuzi i Brytyjczycy rozumowali wówczas następująco:

„Nie możemy wprawdzie teraz pomóc Polsce, ale jak zbierzemy siły, to uderzymy na Niemców i w końcu odbudujemy Polskę”. Myślę, że to nie była poza, tylko ówcześni decydenci faktycznie tak podchodzili do sprawy. Oczywiście to wszystko okazało się po 17 września kompletną mrzonką.

W Polsce znajdzie pan wielu historyków, którzy twierdzą, że udzielone przez Brytyjczyków gwarancje były w istocie pułapką, w którą Warszawa dała się wpuścić. Nasi sojusznicy mieli w ten sposób skierować furię Hitlera najpierw na wschód, choć on sam myślał wcześniej o odwrotnym kierunku działania...

Nie widziałem żadnego dowodu, żadnego dokumentu, który uprawdopodobniałby taką tezę. Według mnie nie da się udowodnić, że Brytyjczycy mieli takie intencje, gdy dawali Polakom gwarancje. Zdaje sobie sprawę, że dość powszechna jest w Polsce tendencja, by patrzeć na politykę brytyjsko-francuską w kategoriach makiawelistycznych. W rzeczywistości polityka ta była powodowana zupełnie innymi motywami. Pełno w niej było naiwności, niepewności i zwykłych obaw. Brytyjczycy i Francuzi do samego końca nie chcieli tej wojny, nie chcieli prowokować Niemców. Po dokładnym zbadaniu archiwów mogę powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że nie widać w tamtym okresie makiawelizmu ze strony Paryża i Londynu.

Myślę, że wielu naszych czytelników polemizowałoby z panem. „Sytuacja Europy – mówił niezujący historyk prof. Paweł Wieczorkiewicz – wyglądała tak, że pędziły sanie z myśliwymi

(Francuzami i Anglikami), którzy musieli dopiero składać karabiny, a za nimi leciała sfera wilków. Żeby ocalić skórę, trzeba im było zrzucić kolejne ofiary. Pierwszą była Austria, drugą Czechosłowacja, a trzecią stała się Polska. Z tym że w naszym przypadku optymalnym rozwiązaniem dla Brytyjczyków, którzy już zdecydowali się na wojnę, był taki scenariusz, w którym Polska stawia opór”.

To pięknie opowiedziana historia, tylko że ja widziałem w dokumentach z tamtego okresu zupełnie co innego. Brytyjczycy i Francuzi nie chcieli wojny. Tutaj nie chodziło o zrzucanie kogokolwiek z sań. Oni naprawdę mieli nadzieję, że kolejne ustępstwo będzie tym ostatnim i dzięki temu nie dojdzie do przerażającego konfliktu. To podejście skończyło się wraz z wejściem Hitlera do Pragi. Brytyjskie gwarancje nie były celowo zastawioną pułapką. Brytyjski rząd naprawdę był przekonany, że widmo wojny na dwa fronty ostatecznie powstrzyma Hitlera.

Tylko że nieprzypadkowo brytyjska i francuska dyplomacja ma od zawsze świetną renomę...

Wiem, o czym pan mówi, ale sojusznicy Polski nie mieli wtedy żadnego planu B. To nie są moje domysły, tylko mówię to na podstawie dokumentów. Oni naprawdę naiwnie liczyli na to, że gwarancje powstrzymają Hitlera. Rozumiem, że wojenna trauma sprawia, że wielu Polaków szuka w tym wszystkim cynizmu, wyrachowania, ale mówienie o pułapce naprawdę nie ma tu większego sensu.

Przy okazji każdej rocznicy września 1939 r. pojawia się to samo pytanie: Czy mogliśmy to lepiej rozegrać?

Myślę, że Polska nie miała lepszego wyjścia z tamtej sytuacji. Byłście zgubieni przez geografę. Los sprawił, że Polska znalazła się między dwoma

totalitaryzmami, które były do tego nastawione wybitnie antypolsko. Jedynym wyjściem było utrzymywanie obu tych państw na dystans, co Polska do końca starała się robić. Przyjęcie oferty złożonej przez Niemców na początku 1939 r. na pierwszy rzut oka może wydawać się oczywiście bardzo pociągającą wizją, bo udało by się wam wtedy uniknąć ciosów z dwóch stron, ale wyobraźmy sobie, jaki byłby wasz los jako państwa wasalnego wobec III Rzeszy. Co by się z wami stało, gdyby faktycznie udało się Niemcom w takim wariacie pokonać Związek Sowiecki? Myślę, że historia alternatywna byłaby w takim przypadku co najmniej tak samo bezwzględna dla Polski jak to, co was spotkało w rzeczywistości.

Co pańscy rodacy wiedzą o wojnie obronnej Polski?

Myślę, że generalnie Brytyjczycy zdają sobie sprawę, iż Niemcy 1 września 1939 r. napadli na Polskę, w związku z czym my wypowiedzieliśmy im wojnę. Problemem jest wiedza o tym, co się stało potem. W brytyjskiej narracji na temat II wojny światowej po deklaracji wojny dzieje się coś niezrozumiałego dla historyka. Skupiamy się na tzw. dziwnej wojnie. Niewiele się wtedy ponoć działo. To bardzo anglocentryczne spojrzenie na historię. Napisałem tę książkę m.in. po to, by to jakoś naprawić. Jak można mówić, że nic się przez te osiem miesięcy nie działo, skoro kraj, któremu obiecaliśmy pomoc, był wtedy bezlitośnie niszczone? W naszych książkach o II wojnie światowej całe rozdziały poświęca się „dziwnej wojnie”, tymczasem jeżeli wojnie obronnej Polski poświęci się jedną stronę, to można to już uznać za sukces...

Który rozdział tej książki uważa pan za najciekawszy?

Bardzo mnie wciągnął temat inwazji sowieckiej. Na Zachodzie to wciąż mało znany fakt. I jest to niewątpliwie zwycięstwo sowieckiej propagandy. To był kolejny powód, dla którego napisałem „Polskę 1939”. Chciałem, żeby również czytelnicy na Zachodzie zrozumieli, że tak jak Niemcy przynieśli swoją wojnę rasową na tereny zachodniej i centralnej Polski, tak w reszcie kraju Sowieci prowadzili swoją zbrodniczą wojnę klas.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

POLAND

FIRST TO FIGHT

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

MN
Muzeum II Wojny Światowej

WYSTAWY
KONCERTY
KONFERENCJE
POKAZY 3D
ZAPRASZAMY
NA OBCHODY

80

ROCZNICA WYBUCHU
II WOJNY ŚWIATOWEJ
1939-2019

PATRONAT NARODOWY PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ ANDRZEJA DUDY
W STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI



PATRONAT
MEDIALNY



www.muzeum1939.pl



Sławomir Koper

/ Według kochanka aktorka histerycznie wykrzykiwała, by ją zabił, w związku z czym wyjął nabity wcześniej pistolet i strzelił jej w głowę...

Dziś w południe – informował »Kurier Lwowski« wieczorem 23 grudnia 1910 r. – zastrzelona została wśród niewyjaśnionych dotychczas okoliczności pani Ogińska, artystka teatru miejskiego, przez pana Kazimierza Lewickiego, byłego słuchacza Politechniki. Na miejscu wypadku urządza w chwili oddawania wieczornego numeru pod prasę komisja sądowa. Sprawca aresztowany w zakładzie leczniczym dr. Świątkowskiego przyznał się do zbrodni. Jako powód podał sprzeczkę. Odstawiono go do więzienia sądu karnego”.

Informacja prasowa zawierała pewne przeinaczenia, Lewicki nie studiował na Politechnice, ale na Wydziale Prawnym. Nie ukończył jednak studiów, gdyż nie przystąpił do końcowych egzaminów. Nie był też postacią anonimową we Lwowie, albowiem pochodził z zamożnej rodziny handlowców.

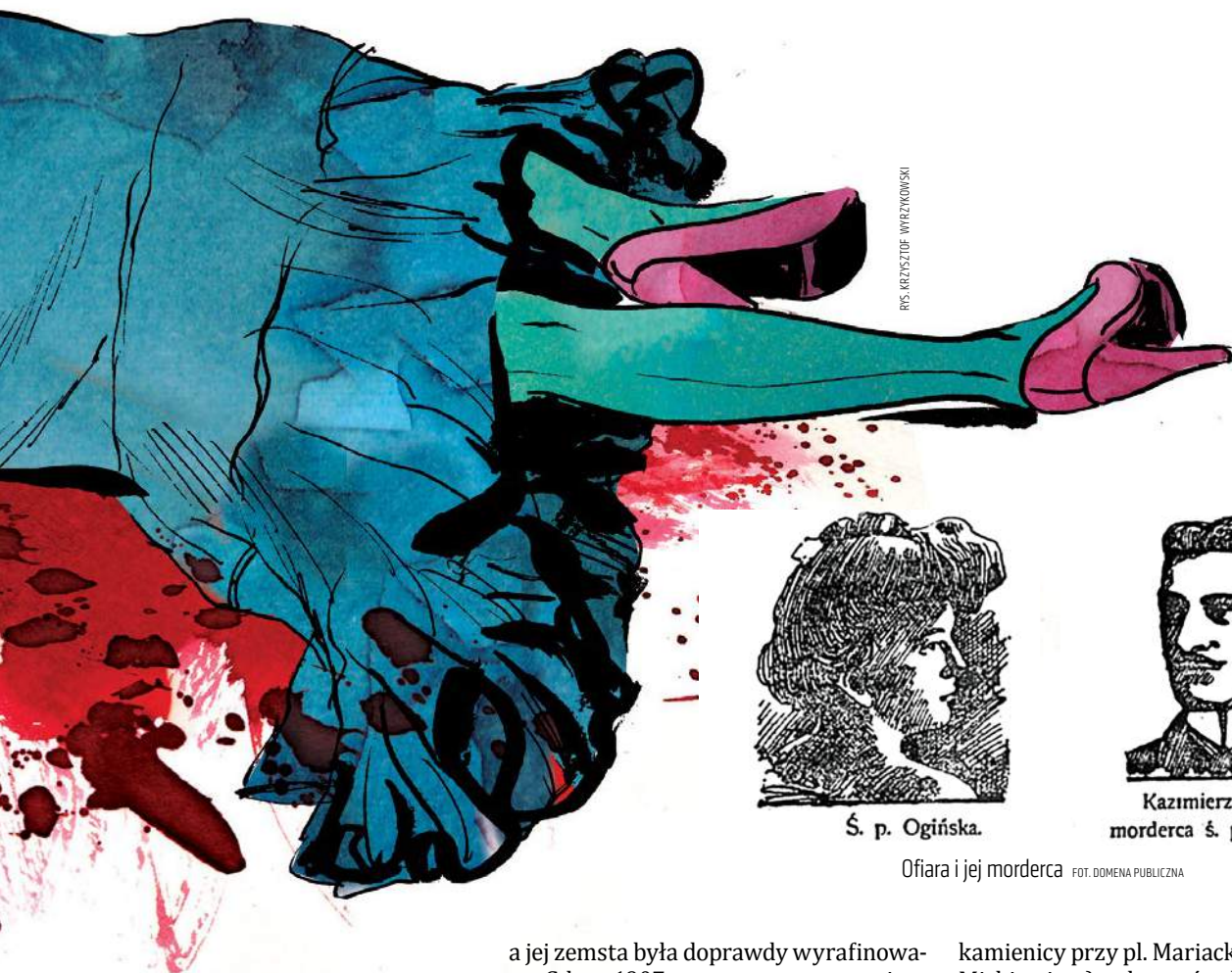
Aktorka i czarna owca

Ofiara nazywała się naprawdę Antonina Pietrzak (Ogińska to pseudonim sceniczny) i pochodziła z Warszawy. Karierę rozpoczynała na prowincji, zadebiutowała w wieku 17 lat w zespole teatru w Stanisławowie. Następnie występowała w Poznaniu, by wreszcie związać się z Teatrem Skarbinkowskim we Lwowie. Nad Pełtwią spędziła 14 lat i uważano ją za jedną z najlepszych aktorek lirycznych. Rozwijając karierę artystyczną, nie



1910 r. / Uczucie i pieniądze, zdrada i śmierć

Miłosna zbrodnia we Lwowie



DOKUMENT WYRZUTOWSKI



Ś. p. Ogińska.

Kazimierz Lewicki,
morderca ś. p. Ogińskiej.

Ofiara i jej morderca FOT. DOMENA PUBLICZNA

zapominała o względach praktycznych, doskonale wiedziała, że młodość i uroda nie trwają wiecznie. Najlepszym sposobem na zapewnienie stabilizacji było małżeństwo z zamożnym mężczyzną i wybór Ogińskiej padł na dziennikarza Leopolda Szenderowicza. Był on człowiekiem dobrze sytuowanym, współzałożycielem popularnej lwowskiej gazety „Wiek Nowy”.

Ogińska przyjaźniła się z Gabriellą Zapolską, dramatopisarka uważała ją za swoją najbliższą znajomą. To właśnie Ogińska była pośrednikiem w trudnych relacjach Zapolskiej z jej drugim mężem, plastykiem Stanisławem Janowskim, i chyba najważniejszą powierniczką pani Gabrieli.

Jednak nawet w tak bliskiej komitywie zdarzały się gorsze chwile, przyjaciółki pokłóciły się bowiem o psa. Chodziło o zwierzę Zapolskiej, którym Ogińska miała się opiekować, jednak uznała, że to przekracza jej możliwości. Pani Gabriela śmiertelnie się obraziła,

a jej zemsta była doprawdy wyrafinowana. Gdy w 1907 r. przygotowywano się do lwowskiej premiery „Moralności pani Dulskiej”, Ogińska miała obiecaną rolę Meli, chyba najsympatyczniejszą w całym przedstawieniu. W międzyczasie wybuchła awantura o psa i na życzenie Zapolskiej rolę dostała Tekla Trapszo. Ostatecznie przyjaciółka wprawdzie zagrała w dramacie, był to jednak drobny epizod Lokatorki w pierwszym akcie. Zapolska pozostała nieugięta, „miała szczerą uciechę”, gdy widziała cierpiącą Ogińską obserwującą Trapszo na scenie.

Zapolska bywała wyjątkowo pamiętliwa, dlatego panie pogodziły się dopiero po upływie ponad roku. Pojednanie warte było jednak czasu spędzonego w nieprzyjaźni. „Podałyśmy sobie ręce z Ogińską, powiem Ci, przy jakiej okazji, ale obie się popłakałyśmy!!! [...] Życie takie marne, takie krótkie, takie smutne. Tak nie mam do kogo czasem pójść, że aż przykro”.

Przyjaźń miała przetrwać do końca życia Ogińskiej.

Rodzina zabójcy była dobrze znana lwowiakom, firma Kazimierz Lewicki – Porcelana miała siedzibę na parterze

kamienicy przy pl. Mariackim (obecnie Mickiewicza), w bezpośredniej bliskości słynnego hotelu George. Elegancki salon zajmował połowę parteru budynku, a wielki sztyl ulokowano na dachu. Firma zresztą najlepsze lata miała dopiero przed sobą, dwa lata po opisywanych wydarzeniach powstała bowiem Pierwsza Galicyjska Fabryka Artystycznych Fałsów i Terakoty w Pacykowie niedaleko Stryja. Przetrwała ona do 1939 r., a jej wyroby osiągają dzisiaj wysokie ceny na aukcjach.

Zabójca Ogińskiej nie był właścicielem firmy, był imiennikiem i potomkiem jej założyciela. Od dzieciństwa stwarzał poważne problemy, rodzina wysłała go nawet na Śląsk do zakładu wychowawczego. Po powrocie dzięki protekcji trafił jednak do szkoły średniej, ale nauki nie ukończył. Nie przeszkodziło mu to rozpocząć studiów wyższych, sfałszował bowiem świadectwo maturalne (dla pewności dwa z różnych placówek). Prawa jednak nie ukończył, a bardziej interesowało go okradanie najbliższych. Jego pierwszą ofiarą była matka, podczas późniejszego procesu przyznał, że zabrał jej łącznie ok. 4 tys. koron (20 tys. euro).



Kamienica we Lwowie, w której mieścił się sklep firmy Lewickich

FOT. ZBIORY SŁAWOMIRA KOPRA

■ Z tego powodu skierowano go do zakładu psychiatrycznego, co nie przyniosło żadnych efektów. Tym bardziej że miał lekką rękę do wydawania pieniędzy, szybko przepuścił także cały spadek po ojcu, co wraz z pieniędzmi zabranymi matce stanowiło sumę 20 tys. koron (100 tys. euro).

Poszukując środków na wesołe życie, zaczął wreszcie okradać rodzinny sklep. Wynosił z niego kosztowne porcelanowe figurki. Subiekci zwrócili uwagę właścicielom (rodzonym braciom Kazimierz) na działalność brata, a obserwacja potwierdziła podejrzenia. Wówczas, by uniknąć skandalu, Lewickiego po raz kolejny wysłano do zakładu psychiatrycznego.

Po zakończeniu kuracji nie mógł już okradać sklepu, ale znalazł nowy sposób uzyskiwania dochodów. Tym razem jego ofiarami stały się znudzone mężatki, którym oferował dozgonne uczucie. Wcześniej jednak wyłudzał od nich pieniądze, a podczas późniejszego śledztwa w jego mieszkaniu znaleziono korespondencję z licznymi paniami, miał bowiem kilka romansów jednocześnie.

Fatalne zauroczenie

Do jego ofiar należała m.in. Ogińska. Była od niego o 12 lat starsza, ale to nie przeszkadzało Lewickiemu. Tym bardziej że w małżeństwie Ogińskiej nie wszystko się dobrze układało, po pięciu latach związku z Szenderowiczem doszło do kryzysu. Poza tym dziennikarz chorował na gruźlicę, inna sprawa, że nie przeszkodziło mu to przeżyć jeszcze wielu lat.

Romans rozpoczął się trzy lata przed śmiercią aktorki. Ogińska uległa młodemu uwodzicielowi, ale początkowo traktowała sprawę wyłącznie w kategoriach przygody. Nie zamierzała porzucać chorego męża, poza tym wiedziała, że wywołałoby to ogromny skandal. Aktorka była też osobą dość praktyczną i zdawała sobie sprawę z tego, że Lewicki nie zapewni jej stabilizacji finansowej. Z tego też powodu w rozmowach z kochankiem określała, że muszą oboje dysponować majątkiem o wartości minimum 100 tys. koron (500 tys. euro), by myśleć o wspólnym

przyszłości. Pamiętała też, że jest znacznie starsza od kochanka i porywów Lewickiego nie traktowała do końca poważnie. Ostatecznie w chwili, gdy się poznali, Kazimierz miał dopiero 21 lat.

Utracysz usiłował zdobyć majątek, a gdy bracia odrzucili jego pomysły na inwestycje, postanowił wygrać wielkie pieniądze w Monte Carlo. Skończyło się to tak, jak można było podejrzewać – Lewicki przegrał kolejne kilka tysięcy koron.

Z czasem związek kochanków stawał się coraz bardziej burzliwy. Aktorka kategorycznie odmawiała porzucenia męża i Lewicki zaczynał być coraz bardziej agresywny. Zdarzyło się, że szarpał się z Ogińską, w efekcie czego ona rzuciła w niego żelazkiem i podrapała mu twarz. Wreszcie po ponad dwóch latach znajomości Antonina miała już dosyć napięcia i próbowała popełnić samobójstwo. Zażyta dawka trucizny okazała się jednak zbyt słaba, a pomoc medyczna nadeszła w porę. Skończyć ze sobą usiłował również Lewicki, z podobnym zresztą skutkiem. Strzelił sobie w głowę z pistoletu, ale tak celował, że skończyło się tylko na skaleczeniu.

Jesienią 1910 r. zdesperowana Ogińska opowiedziała mężowi o Lewickim, upierając się jednak, że związek ma charakter wyłącznie platoniczny i z tego powodu on ją prześladowa. Szenderowicz przyjął sprawę z dużym spokojem, zabronił jej jednak spotkań z kochankiem. Aktorka zignorowała jego zalecenia. Faktycznie chyba jednak usiłowała się wyswobodzić z toksycznego związku, ale dalej ulegała Lewickiemu i odwiedzała go w jego mieszkaniu przy ul. Zimorowicza (Dudajewa).



SŁAWOMIR KOPER, TOMASZ STAŃCZYK „OSTATNIE LATA POLSKIEGO LWOWA”

FRONDA

Ten natomiast nie zamierzał z niczego rezygnować. Nie wiadomo zresztą, czy tak naprawdę zależało mu na Antoninie, czy chodziło o podrażnioną męską ambicję. Być może też miał nadzieję, że kochanka, odchodząc od męża, będzie dysponowała większy-

mi środkami finansowymi, jak zwykle był bowiem bez grosza. Podobno zresztą już wcześniej wymuszał od niej pieniądze, pożyczał od niej znaczne sumy, których nie zamierzał zwracać. 20 grudnia osobiście rozmawiał z Szenderowiczem, który kategorycznie odmówił zgody na separację z żoną. Wówczas Lewicki powiedział mu, że „swoim uporem postawił zanie katafalk we własnym domu”.

Trzy strzały

Wkrótce po rozmowie z Szenderowiczem Lewicki zażądał od Ogińskiej spotkania w jego mieszkaniu. Aktorka nie miała na to ochoty, ale ostatecznie uległa. Rankiem 23 grudnia poczękała, aż mąż uda się do redakcji, po czym wybiegła z mieszkania. Chyba nie planowała dłuższej nieobecności, gdyż o wyjściu nie powiadomiła nawet służącej. Około godz. 10 pojawiła się w mieszkaniu przy Zimorowicza, gdzie czekał na nią Lewicki. Prawdopodobnie doszło między nimi do zbliżenia erotycznego, po czym rozpoczęła się kłótnia.

Według Lewickiego aktorka histerycznie wykrzykiwała, by ją zabił, w związku z czym wyjął przygotowany wcześniej (!) nabyty pistolet i strzelił jej w głowę. Był przekonany, że ją zabił, jednak dla pewności strzelił jeszcze dwa razy. Podobno miał zamiar zaraz potem popełnić samobójstwo, jednak doszedł do wniosku, że „nie będzie przy nim, jak poprzednim razem okładów mamusi” (!), i zrezygnował z zamiaru. Zamknął drzwi na klucz i udał się do rodzinnego sklepu, gdzie poinformował braci, że w kłótni zastrzelił aktorkę.

Ci po wysłuchaniu jego relacji natychmiast odwieźli go do zakładu psychiatrycznego. Nikomu nie przyszło do głowy, by powiadomić lekarza czy policję, funkcjonariusze dowiedzieli się o zbrodni dopiero od dr. Świątkowskiego. Ten bowiem po wysłuchaniu Lewickiego odebrał mu

pistolet i natychmiast zatelefonował na policję. Lewicki został aresztowany, a policjanci udali się na ul. Zimorowicza. Wyważono drzwi i w sypialni na łóżku znaleziono nagie ciało Ogińskiej z trzema ranami postrzałowymi.

Podczas pierwszego przesłuchania Lewicki przyznał się do winy. Stwierdził, że pomiędzy nim a ofiarą „istniała gorąca miłość” i że „zastrzelił ją na jej życzenie”. Nie mogła bowiem dostać rozwodu, a oboje „nie chcieli prowadzić innego życia”.

Sekcja zwłok przyniosła skandaliczne rezultaty. Okazało się, że aktorka faktycznie została trafiona trzema pociskami, a pierwszy strzał oddano w głowę z tzw. przyłożenia. Rana nie była jednak

że zbrodniarz „jest tak pewien bezkarności za popełniony mord, że jest przekonany, iż na Święta Wielkanocne będzie już na wolności”.

Pierwsza rozprawa odbyła się jednak dopiero 22 maja 1911 r. Powołano kilkunastu świadków, wśród nich męża zamordowanej oraz Gabriellę Zapolską. Rozprawie przewodniczył sędzia Roman Lewicki (przypadkowa zbieżność nazwisk), a oskarżał prok. Jan Franke.

W akcie oskarżenia zarzucano Lewickiemu: zabójstwo z premedytacją, fałszerstwa dokumentów państwowych oraz posiadanie broni palnej bez zezwolenia. Oskarżony przyznał się do winy, twierdził jednak, że zabił Ogińską „na jej życzenie”. Prokurator przedstawił natomiast swoją wersję wydarzeń, zarzucając

karę śmierci przez powieszenie. Mecenas Makarewicz zgłosił „zażalenie nieważności”, a przewodniczący ławy przysięgłych poprosił o „przedłożenie losu skazanego łasce monarszej”.

Obrońcy przygotowywali apelację, a Lewicki nie tracił fantazji. W więzieniu ponownie zaczął „urządzać awantury”, odmawiał też spożywania posiłków. W efekcie trafił do szpitala więziennego, co chyba od początku było jego celem. W szpitalu miał bowiem znacznie lepszy wikt, „dostawał szynkę, a także rosół z mięsem”.

Rozprawa apelacyjna odbyła się 2 października przed Trybunałem Kasacyjnym w Wiedniu. Po kilkugodzinnych obradach odrzucono w całości zażalenie adwokatów Lewickiego, stwierdzając, że wszystkie podniesione przez prawników zarzuty były nieuzasadnione. W tej sytuacji trybunał utrzymał wyrok lwowskiego sądu, Lewickiemu pozostało tylko oczekiwanie na łaskę cesarza, który miał prawo złagodzić wyrok.

Inna sprawa, że nawet w przypadku ułaskawienia nie rokowano Lewickiemu zbyt długiego życia. Wykryto bowiem u niego gruźlicę w dość zaawansowanym stadium, ale skazaniec miał własny pogląd na sytuację. Zdążył już bowiem podjąć decyzję, nie czekając na cesarskie ułaskawienie.

Rano 23 października 1911 r. znaleziono go nieprzytomnego w celi. Lekarze orzekli, że zażył dużą dawkę weronalu, środka używanego w leczeniu bezsenności.

Faktycznie, skazaniec skarżył się na tę przypadłość i dostawał jedną tabletkę dziennie. Najwyraźniej ich jednak nie zażywał systematycznie, tylko gromadził, by wreszcie połknąć dużą dawkę. Zmarł następnego dnia.

Śmierć Antoniny Ogińskiej i jej zabójcy nie została zapomniana. Przetrwiała w folklorze miasta, a właściwie w balladzie z Łyczakowa. Oczywiście śpiewano ją w bałaku.

**Na Baturego czy wy słyszyci,
przed trybunałem Lewicki stał
On swy kochance udebrał życi
dajunc z browninga trzykrotny strzał.**

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem z: M. Sołtysik, „Zbrodnia w dzielnicy willowej” oraz roczników „Kuriera Lwowskiego”.



Rewolwer belgijski z 1910 r. FOT. ARCHIWUM

śmiertelna, kula nie uszkodziła mózgu, Ogińska nie straciła nawet przytomności i zerwała się z łóżka, kiedy dosięgły ją kolejne dwa pociski: w klatkę piersiową i we wzgórek łonowy. Według opinii lekarzy tylko postrzał w pierś okazał się śmiertelny, kula przeszła przez płuca i wątrobę. Ogińska nie zginęła jednak od razu, konała jeszcze przez dwie godziny i zmarła tuż przed przybyciem policji...

Proces i śmierć

Lewicki okazał się bardzo kłopotliwym więźniem, buntował się przeciwko regulaminowi, nie chciał nosić więziennego stroju. Urządzał awantury, odmówił opuszczenia celi na wizję lokalną i musiało go wynieść czterech strażników. Pewnej nocy wezwał do siebie lekarza więziennego, a gdy ten przybył, oświadczył, że czuje się dobrze, ale nie miał towarzysza do rozmowy. Obrażał też personel i niszczył sprzęty w celi.

Lekarze uznali jednak Lewickiego za całkowicie poczytalnego. Rodzina zatrudniła najlepszych adwokatów, ze słynnym prof. Juliuszem Makarewiczem na czele, późniejszym głównym twórcą Kodeksu karnego odrodzonej Rzeczypospolitej. Na mieście zresztą opowiadano,

Lewickiemu, że starannie przygotował się do zbrodni, o czym miał świadczyć nabity pistolet ukryty w mieszkaniu.

Obrońcy starali się wykazać niezrównoważenie psychiczne Lewickiego i udowodnić, że Ogińska namawiała go do podwójnego samobójstwa. O wszystkim jednak zadecydowały zeznania świadków, a wśród nich Gabrieli Zapolskiej. Dramatopisarka, podobnie jak kilka innych osób, potwierdziła gorącą miłość Ogińskiej do męża i chociaż nie negowała, że przyjaciółka „zblądziła”, nie myślała, żeby porzucić partnera. Nie mogła też pragnąć śmierci, była bowiem bardzo przywiązana do życia i swojej kariery.

Po północy 1 czerwca 1911 r., głosami dziesięć do dwóch, ława przysięgłych uznała oskarżonego za winnego zbrodni z premedytacją i Lewickiego skazano na



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Wołyń '43 / Fatalne skutki kontaktów z Sowietami

AK w kleszczach bolszewików



Piotr Zychowicz

Oficerowie AK na Wołyniu nawiązali współpracę z sowieckimi partyzantami. Chcieli razem z nimi walczyć z UPA. Skończyło się to tragicznie

W 1943 r. na terenie okupowanych ziem wschodnich Rzeczypospolitej zaktywizowały się oddziały sowieckiej partyzantki.

Bolszewicy uważali bowiem, że terytoria te stanowią integralną część Związku Sowieckiego. I po wojnie powinny zostać do niego przyłączone.

Stosunek miejscowej Armii Krajowej do oddziałów sowieckich był zróżnicowany. Na ziemiach północno-wschodnich, na Wileńszczyźnie i Nowogródzynie, oddziały leśne AK toczyły z czerwonymi partyzantami krwawą, bezpardonową wojnę. Na Wołyniu sytuacja potoczyła się inaczej. Tutaj oddziały leśne Armii Krajowej – które powstały na mocy rozkazu z 20 lipca 1943 r. – podjęły z bolszewikami współpracę.

Dlaczego? Wynikało to z obecności siły trzeciej – banderowców. Polaków i Sowietów działających na Wołyniu zbliżał do siebie wspólny wróg.

„Drzazga”

Jednym z oficerów AK, który współdziałał z Sowietami, był por. Jan Rerutko „Drzazga”. Stał on na czele oddziału „Łuna” wspierającego bazę polskiej samoobrony w Przebrażu. Początkowo polsko-sowieckie współdziałanie układało się poprawnie. Rerutko walczył ramieniem w ramieniu z sowieckimi partyzantami. Przeciwno zarówno UPA, jak i Niemcom.

Bolszewicy współpracę tę traktowali jednak taktycznie. Na dłuższą metę nie zamierzali tolerować na swoim terenie polskiego oddziału o nastawieniu niepodległościowym.

Gdy do Wołynia zaczął się zbliżać front i „Drzazga” stał się niepotrzebny, Sowietzi zakończyli grę. Na przełomie października i listopada 1943 r. por. Rerutko został zaproszony przez płk. Prokopiuka na „naradę wojenną” połączoną z uroczystymi obchodami rocznicy rewolucji październikowej. Na huczną, zakrapianą bimbrem imprezę ściągnięci zostali również komendanci miejscowych polskich samoobron.

Pułkownik – wspominał Apolinary Oliwa – oczekiwał, aż wszystkim napieką „stakany”, i wzniosł pierwszy toast:

– Za rewolucję, za rodzinę, za drużbę z Polakami! Odpowiedział mu gromkie trzykrotne „ura”.

Z każdą chwilą stawało się coraz bardziej gwarnie: pogawędki, rozmowy, wspomnienia, dyskusje... Ktoś zaczął nucić stare, niezwykle melodyjne rosyjskie pieśni. Spojrzałem na nuciącego młodego oficera. Jego półprzymknięte oczy patrzyły gdzieś w dal. Starałem się czytać w tych oczach...

W trakcie tej biesiady por. „Drzazga” dostał od gospodarzy propozycję nie do odrzucenia. Zażądano od niego, aby natychmiast podporządkował swój

oddział Sowietom. „Drzazga” zachował się z godnością i stanowczo odrzucił możliwość wypowiedzenia posłuszeństwa prawowitemu rządowi Rzeczypospolitej. Bolszewicy przyjęli jego decyzję do wiadomości.

Nazajutrz – 6 albo 7 listopada 1943 r. – „Drzazga” otrzymał kolejne zaproszenie od smutnych panów z NKWD. Tym razem w celu odbycia ważnej narady wojennej. Polski oficer wykazał się wręcz rozbrajającą naiwnością i pojechał do obozu sowieckiego. Kilka minut po opuszczeniu schronu bolszewickiego dowództwa, 400 m za obozowiskiem, wpadł jednak w zasadzkę.



Władysław Kochański „Bomba”

FOT. WIKIPEDIA

Furmanka, którą jechali por. Rerutko i dwaj jego towarzysze – Sławomir Steciuk „Piąty” i Jan Linek „Słoń” – została ostrzelana przez czerwonych z broni maszynowej. Jak pisał Aleksander Gogun, autor książki „Partyzanci Stalina na Ukrainie”, Polacy otrzymali serie prosto w plecy. Zwłoki miały również rany postrzałowe w potylicy, co świadczy o tym, że żołnierze AK zostali najprawdopodobniej dobitni z broni krótkiej. „Towarzysz Zubko – zapisał w dzienniku jeden z sowieckich oficerów, Grigorij Balicki – zorganizował zabójstwo polskich nacjonalistów, zjadających wrogów naszej sowieckiej Ojczyzny”.

Gdy upłynęły dwa dni, a dowódca nie wracał, żołnierze „Łuny” ruszyli na poszukiwania. Rozesłali patrole i przeczesywali gęstymi tyralierami cały okoliczny teren. Wreszcie, w lesie pod Hermanówką, znaleźli zmasakrowane

ciała „Drzazgi” i dwóch jego nieszczęsnych towarzyszy. Wywołało to szok w polskim oddziale.

Po przybyciu razem z „Olgierdem” do miejsca postoju oddziału – wspominał cichociemny Wacław Kopisto „Kra” – zastaliśmy w nim rozprężenie na skutek straty dowódcy. Większość była przekonana, że porucznik „Drzazga” zginął zamordowany skrytobójczo przez partyzantów sowieckich. Dlatego wśród bardziej zapalczywych wyczuwało się chęć odwetu. Niektórzy natomiast zdezorientowani i zawiedzeni rzekomym współdziałaniem z partyzantką sowiecką skłaniali się do buntu i dezercji.

Natychmiast więc trzeba było podjąć radykalne środki, ażeby przywrócić dyscyplinę i podporządkować oddział podporucznikowi Olgierdowi, jako nowemu dowódcy. Udało się to tylko częściowo, ponieważ wielu partyzantów rozprężyło się, zabierając broń. Przeważnie wracali do ośrodków samoobrony. W rezultacie pozostała tylko połowa dawnego oddziału.

Część ludzi „Drzazgi” uznała mord na swym dowódcy za otwarte wypowiedzenie wojny przez oddział Prokopiuka. I chciała uderzyć na bolszewików, by pomścić porucznika. Dowództwo AK ich jednak przed tym powstrzymało. Dlaczego? Oczywiście dlatego, żeby nie drażnić „sojusznika naszych sojuszników”.

Osiecki

Bardzo podobna sytuacja wytworzyła się na Zasluczu, w bazie polskiej samoobrony, której centrum stanowiła Huta Stara. Na tym terenie bolszewickie oddziały operowały już od końca 1942 r. Ich przybycie miejscowi Polacy powitali z radością. Sowietzi, dowodzeni przez Iwana Szytowa, z miejsca zabrali się bowiem do wojowania z UPA.

W efekcie czerwona partyzantka i polska samoobrona Huty Starej nawiązały bliską współpracę. Bolszewicy szybko jednak się zorientowali, że na czele samoobrony stoi groźny „białopolski” oficer. Był to por. Leon Osiecki, żołnierz przedwojennego Korpusu Ochrony Pogranicza i jednocześnie oficer „Dwójki”, czyli polskiego wywiadu i kontrwywiadu wojskowego. Dla Sowietów był to niebezpieczny „wróg ludu”, którego obecności nie zamierzali tolerować.

„Wasz Osiecki jest nam znany z okresu 1930–1935, kiedy był oficjalnym pracownikiem defensywy w Sarnach” – napisano w tajnej notatce sowieckiej „rozwiędki” z 19 czerwca 1943 r., którą w książce „Mord na Wołyniu” zacytował Marek A. Koprowski. „W tym czasie zostały podjęte próby werbunku Osieckiego.



Sowieccy partyzanci FOT. ARCHIWUM

■ Naszego werbownika on wydał Polakom. Podejmijcie przygotowania do jego likwidacji pod marką Niemców”.

Tak też się stało. Porucznik Osiecki 7 lipca został uprowadzony do lasu i zamordowany przez bolszewików. Wraz z nim zginęli jego zastępca i woźnica. Po likwidacji dowódcy samoobrony Sowietci podporządkowali ją sobie i przemianowali na oddział partyzancki imienia Feliksa Dzierżyńskiego. Zgłodzonego polskiego oficera zastąpił nowy dowódca – lejttnant Grigorij Sitajło. Oczywiście bolszewik.

„Bomba”

W sierpniu 1943 r. na Zasłucze przybył oddział kpt. Władysława Kochańskiego „Bomby”. Oficer ten zaakceptował panujące w terenie warunki. On również zawarł lokalny pakt z sowieckimi partyzantami. Obie strony wspólnie zwalczały banderowców, dochodziło też do rozmaitych spotkań towarzyskich.

Generał Kowpak – wspominał Władysław Kobylański – przybył ze swymi bojaczami do naszego obozu. Cały jego oddział został poczęstowany grachówką, a generał Kowpak był gościem naszego sztabu. Po obiedzie szef „Opór” wysłał kompanię honorową. Stałiśmy w dwuseregach. Nadszedł generał Kowpak w towarzystwie kapitana „Bomby”. Padła komenda:

– Baczność! Na ramię broń! Na prawo patrz!

Generał Kowpak wolnym krokiem przeszedł wzdłuż kompanii honorowej i przywitał nas po rosyjsku:

– Zdrastujcie, rebiata!

Odpowiedzieliśmy:

– Czołem, panie generale!

Generał uroczyście przeszedł przed naszym frontem, a jego zimny stalowy wzrok nie pominął niczego.

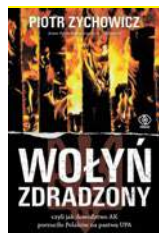
Wydawało mi się, jak gdyby sam do siebie powtarzał kilkakrotnie słowa:

– Ładno! Ładno! Ładno!

Był to człowiek w podeszłym wieku, wyglądał dziarsko. Ubrany był w długi skórzany płaszcz, czapkę futrzaną, buty z cholewami. Trzymał w ręku łaskę sięgającą ramienia. Przy pasie miał dwa nagan.

A tak wizytę gen. Kowpaka zapamiętał Czesław Piotrowski:

Siedzący przy ognisku, już po sutym obiedzie, generał Kowpak był bardzo wesoły, bez przerwy o czymś rozmawiał i dowcipkował, bo siedzący wokół niego nasi dowódcy i starszyzna sowiecka coraz to wybuchiła głośnym śmiechem. Ja z kolegami obserwowałem zza krzaków naszych gości z wielkim zainteresowaniem. Generał Kowpak palił jeden po drugim grube papierosy, które sam robił z machorki zawijanej w papier. Po krótkiej przerwie i odpoczynku spacerował się w towarzystwie „Wujka” [drugi pseudonim Władysława Kochańskiego „Bomby”] po terenie naszego obozu,



PIOTR ZYCHOWICZ
„WOŁYŃ ZDRADZONY”

REBIS

spotkał się z naszymi dziewczętami, z którymi śpiewał ukraińskie dumki, i posłuchał polskich piosenek.

„Wujek” podarował Kowpakowi swoją bryczkę wraz z końmi. Kowpak podarował „Wujkowi” nową pepeszę i niemiecki pistolet wielostrzałowy w drewnianej kaburze, po czym odjechał.

Z kolei ojciec Serafin Kaszuba, który w 1943 r. objął parafię w Hucie Starej, wspominał uroczyste obchody polskiego Święta Niepodległości. „Bomba” zaprosił na nie bolszewików. A więc przedstawiciele tej siły, która na polską niepodległość dybała. Polscy partyzanci przemaszewowali przed Sowietami, a później odbyła się – jakżeby inaczej – suto zakrapiana biesiada.

Byli zaproszeni goście z sowieckiej partyzantki. Panował nastrój braterskiej przyjaźni. Śpiewano razem „Wołgę” i polski hymn narodowy. Przy końcu brzęk tłuczonych szkielec zmieszał się z ogólną wrzawą. Poważny stary pułkownik ze złożonymi rękoma prosił o błogosławieństwo:

– Ja ruski człowiek, no pobłogosław mienia.

„Bomba” często składał swoim sojusznikom rewizyty i chętnie zaglądał do sowieckich obozów partyzanckich. Formalnie czerwoni zapraszali na „czaj-pitie”, ale pod tym określeniem krył się bimber.

Zapraszanie bolszewików do polskiego obozu i prezentowanie im żołnierzy było nieodpowiedzialne i krótkowzroczne. Aleksandr Gogun zwrócił uwagę, że przyniosło to Armii Krajowej opłakane skutki. Znacznie bowiem ułatwiło NKWD

rozpracowanie i rozbicie polskiego podziemia, gdy Wołyń ponownie dostał się pod okupację bolszewicką.

Jeżeli „Bomba” liczył na to, że wspólnie przelana krew i wspólne biesiady uratują go przed losem „Drzazgi”, to grubo się przeliczył. Sytuacja potoczyła się bowiem dokładnie tak jak w Przebrażu. Najpierw bolszewicy chętnie współpracowali z oddziałem AK, ale gdy do Wołynia zaczął zbliżać się front, przystąpili do likwidacji polskich niepodległościowców. Tutaj nie mogło być żadnych sentymentów.

Politycznie to ludzie dosyć ciemni – raportował na temat oficerów AK jeden z sowieckich oficerów, Petro Werszyhora. – Chociaż dobrze przyuczeni do parlamentarnych i burżuazyjno-partyjnych wykrętów. Temu narodowi ciągle jeszcze śni się Polska z balami i ułanami, Polska wytworna jak Francja.

Bolszewicy zamierzali takie fanaberie wybić polskim „paniczykom” z głowy. Ratunkiem dla „Bomby” było przedarcie się na koncentrację powstającą w pobliżu Kowla i Włodzimierza dywizji AK. Gdy sztuka ta mu się nie udała i musiał powrócić na Zaslucze, czekali już na niego bolszewicy. Sowieci nie zamierzali tolerować na bezpośrednim zapleczu frontu żadnych oddziałów, nad którymi nie mieli kontroli. A tym bardziej kierowanych przez skoczka spadochronowego z Anglii!

„Bomba” 21 grudnia 1943 r. dostał zaproszenie od bolszewików na naradę we wsi Bronisławka. Z polskim oficerem miał konferować sam gen. Michaił Naumow. „Bomba” oczywiście... pojechał. Warto przy tym odnotować, że kpt. Kochański był bardziej zapobiegliwy niż „Drzazga”, wziął bowiem ze sobą kilkunastu uzbrojonych ludzi. Na niewiele się to jednak zdało. Jego eskorta została na zewnątrz miejsca spotkania, a do środka wszedł tylko w towarzystwie swojego sztabu. „Weszliśmy do mieszkania, w którym generała nie było – wspominał uczestnik niefortunnej wyprawy. – Byli natomiast wymierzone w nas lufy pistoletów. O oporze nie było mowy. Przyłożono nam pistolety do głów i powiązano nas”.

Jednocześnie egzekutorzy NKWD otoczyli czekającą na zewnątrz ochronę. Jeden z Polaków – Henryk Sawicki – nie chciał się poddać i został na miejscu zastrzelony. Sowieccy oficerowie mieli

pistolety z tłumikami, dlatego „Bomba” i jego sztab nie słyszeli wystrzałów.

Z dalszej relacji cytowanego wyżej oficera – którą zamieścił w swojej książce Władysław Kobylański – wynika, że po pewnym czasie grupa aresztowanych oficerów została zawieziona na leśne lotnisko i wpakowana do samolotu. Maszyna poleciała do Moskwy, gdzie oficerowie AK trafili natychmiast na Łubiankę. Tam poddano ich intensywnemu śledztwu.

Nieco inną wersję wydarzeń przedstawił członek ochrony „Bomby”, plutonowy Lucjan Paczewski „Staszek”. Według niego po zakończeniu rozmów jeden z oficerów sowieckich o pseudonimie Bohun zaprosił „Bombę” do sąsiedniej wsi Zawołoczce „na kolację, inaczej mówiąc na popicie”. Tam w osobnym pomieszczeniu bawił się sztab kpt. Kochańskiego, a w osobnym jego ochrona.

Na stole stały zakąski i gąsiorzy z wódką – wspominał „Staszek”. – Zaczęła się popijocha. Sowieccy partyzanci zaczęli tańczyć jakiś pełen grozy taniec gruziński, a myśmy stali wokoło i klaskali w dłonie. W pewnym momencie wpadli do naszego pokoju so-

rzysze niedoli zostali przetransportowani samolotem na Łubiankę. Po drodze, przy leśnym obozowisku, oficerowie NKWD rozstrzelali kolejnych Polaków. Do Moskwy z 18 AK-owców dotarło zaledwie siedmiu.

Oddział „Bomby” po aresztowaniu dowódcy uległ dezintegracji. Część żołnierzy się rozeszła, jeszcze inni przystąpili do bolszewików. Tylko część – pod komendą nowego dowódcy – podjęła drugą próbę przebicia się na koncentrację formującą się dywizji AK. Spora grupa żołnierzy pozostała na Zasluczu, uznawszy, zresztą słusznie, że ich obowiązkiem jest obrona żon i dzieci, a nie zabawa w antyniemiecką partyzantkę.

Sam „Bomba” po przewiezieniu do Moskwy otrzymał propozycję przejścia na stronę Sowietów i objęcia funkcji oficerskiej w armii Berlinga. Odmówił i wkrótce znalazł się w łagrze. Wyrok: 25 lat pozbawienia wolności. Dzielnego polskiego oficera musiał wydobywać miedź w kopalni na skutej lodem Kamczatce. Z bolszewickiej katongi wycieńczony

i schorowany powrócił dopiero w 1956 r.

Podstępne zamordowanie por. Jana Re-

rutki „Drzazgi” oraz uprowadzenie kpt. Władysława Kochańskiego „Bomby” były jasnymi sygnałami dla wołyńskiego dowództwa AK. Oczywiście probierzem sowieckich intencji. Agresywne zachowanie Sowietów nie pozostawiało żadnych wątpliwości, jaki jest ich stosunek do Armii Krajowej i polskiej niepodległości.

Mimo to w styczniu 1944 r. na Wołyniu sformowano potężną 27. Wołyńską Dywizję Piechoty AK. Jednostka ta ujawniała się wobec bolszewików. A następnie u boku Armii Czerwonej przystąpiła do walki z Niemcami. W efekcie dywizja najpierw skrwawiła się w ciężkich, bezadziejnych walkach z Wehrmachtem, a na koniec została rozbrojona przez NKWD.

Dowództwo AK zignorowało sygnał ostrzegawczy, którym było zamordowanie „Drzazgi” i uprowadzenie „Bomby”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



wieccy oficerowie z „Bohunem” na czele. Komisarz „Bohun” wystrzelił w Kopija [nazwisko częściowo występujące w oddziale – przyp. P.Z.], zabijając go na miejscu. A nas, nierozumiejących, co się dzieje, złapało po kilku na jednego, wykręcając ręce do tyłu, wiążąc i rozbierając. Po chwili leżeliśmy skrepowani jak barany, a nad nami stali nasi przyjaciele z automatami gotowymi do strzału. Kopija wyciągnięto zaraz za nogi i wytarto podłogę.

Na miejscu bolszewicy zamordowali kilku polskich żołnierzy – resztę zapakowali na sanie i ruszyli w drogę. Według wersji „Kazika” konwój przekroczył front i dopiero z Kijowa „Bomba” i jego towa-

Wiosna 1831 r. / Polska szlachta kresowa chwyta za broń Powstanie listopadowe na Rusi



Marek Gałęzowski

/ Dokonywali cudów odwagi i tracili wszystko podczas odwrotu – jak pospolite ruszenie szlacheckie z czasów dawnej Rzeczypospolitej...

Na polecenie polskiego dowódcy, gen. Benedykta Kołyszki, rosyjscy trębacz musieli odegrać sygnał polskiego zwycięstwa. Tak zakończyła się jedna z ostatnich zwycięskich bitew polskiej szlachty z Moskalami na ukraińskich kresach dawnej Rzeczypospolitej. Był 18 maja 1831 r...

Wieść o wybuchu powstania listopadowego wywołała wśród szlachty

polskiej osiadłej w województwach ruskich dawnej Rzeczypospolitej wielki entuzjazm. Przygotowania do walki z zaborcą na Wołyniu i Podolu zaczęły się wczesną wiosną 1831 r. Sygnałem do rozpoczęcia powstania miało być przejście przez Bug wyprawy dowodzonej przez weterana napoleońskiego i świetnego kawalerzystę gen. Józefa Dwernickiego, pogromcę Rosjan pod Stoczekiem u początku listopadowego zrywu.

Jako pierwszy sztandar powstańczy podniósł Ludwik Stecki, który na czele przeszło setki ochotników (w tym trzech Żydów) opanował Uściług, gdzie powstańcy zrzucili carskie orły z miejscowych koszar, a następnie 15 kwietnia zdobył Włodzimierz. Radość z tych sukcesów była tak wielka, że zapomniano zniszczyć most na Bugu pod Kryłowem. Dwa dni później przeszli po nim Rosjanie i uderzyli na miasto. Jak podaje Dariusz Ostapowicz, badacz powstania 1831 r. na tym obszarze, po zaciętym boju na ulicach przeciwnik, mający znaczną przewagę liczebną, wyparł powstańców z Włodzimierza; nieliczni ze Steckim dotarli do korpusu Dwernickiego, który szedł wzdłuż granicy austriackiej na Podole. Rosjanie zachowali się w czasie zdobywania Włodzimierza brutalnie wobec ludności cywilnej miasta, wydanego



stoczonej z sukcesem bitwy pod Boremlem zmuszonego przejść granicę austriacką, powstańcy w pierwszych dniach maja zaprzestali walki.

Część uczestników ruchu, którzy wrócili do swoich majątków, została uwięziona w Dubnie (które jeszcze nie tak dawno bezskutecznie usiłowali zdobyć

powstańcy pod dowództwem szlachcica o malowniczym, niespotykanym dziś imieniu Reces nazwiskiem Wątróbka) i Żytomierzu, a później w części zesłani na Syberię. Nieliczni tylko zdołali przedostać się do Zamościa i wziąć udział w dalszej walce, lecz już nie na rodzinnej ziemi, np. Gesperiusz Dobiecki, który wcześniej na czele kilkudziesięciu ludzi stoczył pomyślnie walki między Hołubiem a Włodzimierzem.

Ostatnim, który dotarł do Zamościa, był Karol Różycki. Wyruszył on 17 maja 1831 r. spod Żytomierza na czele może 200 ludzi, w znacznej części Ukraińców. Pod Krasnopollem pobił zagrządzającą mu drogę część pułku imienia księcia Wellingtona, wspieranego przez Kozaków, tracąc ledwie kilku rannych. W miarę marszu na zachód jego oddział zasilali kolejni ochotnicy. Różycki jeszcze raz pobił Rosjan, tym razem pod Tyszcą nad Słuczą, a 10 czerwca przekroczył Bug i dołączył ze swoim dzielnym pułkiem jazdy wołyńskiej do polskiej armii.

Kawalerskie wyczyny tego świetnego dowódcy powtórzy na tym samym Wołyniu, ponad 30 lat później, w dobie powstania styczniowego, jego syn Edmund.

Stary wiarus

Tymczasem po upadku powstania wołyńskiego ruch powstańczy zaczął się na Podolu. Na czele sformowanej tam w pierwszych dniach maja ostatniej armii polskiej szlachty na Ukrainie, która chciała bić się o Rzeczpospolitą w granicach sprzed I rozbioru, dowództwo objął gen. Benedykt Kołyszko. Urodzony w czasach saskich, w połowie XVIII w., był już w dość zaawansowanym wieku, kiedy po raz pierwszy przyszło mu wziąć udział w wojnie. Był rok 1792 i Rzeczpospolita broniła przed rosyjską agresją

swojej konstytucji majowej. Kołyszko jako oficer 8. Brygady Kawalerii Narodowej odznaczył się dużym męstwem, został mianowany majorem i jako jeden z pierwszych odznaczony ustanowionym wówczas krzyżem *Virtuti Militari*.

Wojna została jednak przegrana, a rok później, po II rozbiorze Rzeczypospolitej, brygadę Kołyszki wcielono do armii rosyjskiej i skierowano w rejon Kijowa. Wiosną 1794 r. dotarła do niej wieść o rozpoczęciu powstania przez Tadeusza Kościuszkę. Nie trzeba było polskich żołnierzy przekonywać, by ruszyli do kraju, a jednym z tych, którzy ich tam poprowadzili, szczęśliwie unikając rosyjskiego pościgu, był Kołyszko. Po przeszło miesiącu, przechodząc Wołoszczyznę i zabór austriacki, stanęli w Warszawie. Kołyszko bronił dzielnie stolicy przed Moskalami i Prusakami, wyróżniając się w licznych akcjach zaczepnych przeciw oblegającym miasto zaborcóm, np. 28 sierpnia, kiedy odbił zajęte przez Prusaków baterie polskiej artylerii. W dowód uznania otrzymał od naczelnika Kościuszki obrączkę „Ojczyzna Obrońcy Swemu” i awans generalski. Po klęsce powstania udał się na emigrację. Wziął jeszcze udział w próbach tworzenia oddziałów polskich w Turcji i Mołdawii, jednak wskutek niepowodzenia tych zamierzeń wycofał się z działalności niepodległościowej, by wrócić do niej po przeszło 30 latach, kiedy to 5 maja 1831 r. – jak pisał Jerzy Kowceki – zebrana „w Krasnosiółce szlachta z Podola obrała go swoim naczelnikiem”.

Starego wiarusa „nadal cechowała odwaga” (Kowceki), lecz ostatni raz dowodził w 1794 r., a przede wszystkim przekroczył już osiemdziesiątkę. Prym wiedli więc młodszy, głównie z rodów Jełowickich i Sobańskich. Było w tej armii wiele patriotycznej, oddanej sprawie szlachty, lecz chyba najbardziej malowniczą postacią był Wacław Rzewuski. Syn jednego z trzech twórców zdradzieckiej targowicy, która bagnetami rosyjskimi obaliła Konstytucję 3 maja, stając się na zawsze synonimem zdrady w Polsce, nie poszedł w ślady ojca, chociaż długo mogło się wydawać, że na sprawę narodową jest całkowicie obojętny. Oto w czasie wojen napoleońskich wstąpił do armii austriackiej i walczył przeciw Francuzom w kampanii 1809 r. Okazało się to w jego biografii jednak epizodem – zdecydował się na dymisję i następne lata spędził



Piotr Michałowski „General Józef Dwernicki na czele II pułku ułanów”. Powyżej: herb Rusi

FOT. WIKIPEDIA

na rabunek wojsku, w czasie którego spalono niektóre domy. Jeden z wziętych do niewoli dowódców powstańczych o nazwisku Czarnoleski został rozstrzelany, a jego zwłoki powieszono.

Stecki był jedynym, który „zgrał” swoje wystąpienie z przekroczeniem Bugu przez Dwernickiego. Pozostałe oddziały powstańcze, zorganizowane przez Ksawerego Godebskiego, Narcyza Olizara i jednego z późniejszych przywódców radykalnej lewicy Wielkiej Emigracji Stanisława Worcella, były bardzo nieliczne i słabo uzbrojone – często jedynie w strzelby myśliwskie i kosy. W końcu kwietnia ich dowódcy zdecydowali się uderzyć na Kowel. Miasto zostało zdobyte, lecz sukces okazał się przejściowy. Nie mogąc liczyć na wojsko gen. Dwernickiego, bez powodzenia usiłującego przedostać się na Podole, a w końcu mimo

■ między swoim majątkiem na najdalej wysuniętych kresach Podola a Bliskim Wschodem – Turcją i Syrią. Tam podróżował, mieszkując wśród Beduinów i zwiedzając starożytną Palmyrę, a pamiątką po tych wojażach była stadnina rasowych koni arabskich, które po wielu kłopotach przywiózł do swojej posiadłości w kresowym Sawraniu.

Kilka lat przed wybuchem powstania Rzewuski, nazywany „Emirem”, wstąpił do Towarzystwa Patriotycznego, za co był poddany przez dwa lata śledztwu przez Rosjan – ostatecznie jednak poza tym nie był represjonowany, jeżeli nie liczyć żądania cara Mikołaja I, by zgolił swoją ufarbowaną na złoto brodę. Z początkiem 1831 r. wziął udział w przygotowaniach powstańczych, własnym kosztem uzbrajał ludzi i przyprowadził do obozu Kołyszki jednolicie umundurowany i dobrze uzbrojony szwadron kozacki – „Więc ściągnął, jak wszyscy ściągali pod Daszów, / Gdzie nasza konnica ze szczękiem pałaszków, / Z wesołym okrzykiem stanęła w mur szykiem / I chmurą proporców powiała” – pisał Juliusz Słowacki w „Dumie o Wacławie Rzewuskim”.

Stepowe bitwy

Właśnie pod Daszowem liczące ok. 2,5 tys. ludzi oddziały powstańcze 14 maja 1831 r. zostały zaatakowane przez Rosjan. Straż tylna w ciężkich zmaganiach powstrzymała uderzenie nieprzyjacielskiej kawalerii, a nawet rozproszyła dwa szwadrony. Szef sztabu Kołyszki, mjr Józef Orlikowski, poprowadził następnie szarżę na armaty rosyjskie, ich ogień zatrzymał jednak brawurowo nacierających Polaków. W sukurs przyszedł im Kołyszko, który osobiście poprowadził do ataku kolejne oddziały kawalerii. Wtedy jednak cofający się konni Orlikowskiego zmieszali się z pędzącym naprzód Kołyszką. Powstał chaos, a trwający nieprzerwanie ostrzał Rosjan spowodował ucieczkę z pola bitwy większości powstańców. Nie wszystkich jednak. Pół setki z nich – wśród nich bracia Jełowiccy i Sobańscy (z których Aleksander poległ) – w bohaterskiej szarży zdobyło rosyjskie armaty, ułatwiając

szczęśliwe opuszczenie pola bitwy przez pozostałe siły powstańcze.

Straty nie były duże, ale znaczna część wojska gen. Kołyszki została rozproszona. Wśród tych, którzy pozostali w szeregach, nie było Wacława Rzewuskiego. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Jak dociekali współcześni, został zamordowany po bitwie przez towarzyszącego mu kozaka, legenda zaś mówiła, że wrócił na Wschód i osiadł wśród Arabów. Jak podaje Stefan Kieniewicz, w latach 40. polski podróżnik Hermanowicz natknął się w pobliżu Mekki na starego pustelnika, który podawał się za Rzewuskiego. Hermanowicz nie uwierzył w to. Okoliczności śmierci „Emira” nie udało się wyjaśnić po dziś dzień i poezją jest tylko wers Słowackiego, jak to Rzewuski, gdzieś na stepach, w drodze do Turcji „zasnął głęboko – bo trud go osłabił... / Śpiącego od cara najęty chłop zabił / I sztylet dziewicy o złotej głowicy / W pierś nurzył rękami drżącymi”.

Tymczasem mimo zwycięstwa pod Daszowem Rosjanie nie mogli jeszcze ogłosić triumfu. Trzy dni później Polacy pobili rosyjskich ułanów pod Tywrowem, a 18 maja pod Obodnem rozbili zastępujących im drogę strzelców konnych pod dowództwem generała o z polską brzmącym nazwisku Szczucki, zdobywając dwa działa. To wówczas stary kościuszkowski dowódca gen. Kołyszko kazał odegrać rosyjskim trębaczom sygnał zwycięstwa, którego wysłuchał Szczucki i jego 300 wziętych do niewoli żołnierzy.

Nadchodził już jednak kres tej walki. 23 maja, po przeprawie przez Boh, Rosjanie uderzyli pod wsią Majdan i w zażartej walce zdobyli tabor, mordując znajdu-

jących się w nim rannych powstańców. Kontratak powstańczej kawalerii załamała się w ogniu rosyjskiej piechoty, a wkrótce mimo mężnego oporu uległa nieliczna artyleria, złożona z owych zdobytych kilka dni wcześniej armat. Zginął zakłuty w walce kozackimi spisami ojciec braci Jełowickich Wacław, marszałek szlachty podolskiej, który cały swój majątek przekazał na cele powstańcze. Wówczas też, a nie jak chciał Słowacki pod Daszowem, „sam się zastrzelił na dziale” mjr Orlikowski, którego poeta niesłusznie czynił winnym powstania paniki w tamtej bitwie.

Wobec miażdżącej przewagi wojsk rosyjskich powstańcom pozostawało już tylko skierować się do granicy austriackiej, co też uczyniono. Tam, podobnie jak wcześniej żołnierze gen. Dwernickiego, zostali internowani, niektórzy jednak przedostali się do Królestwa Polskiego i wzięli jeszcze udział w powstaniu. Ich dowódca, gen. Benedykt Kołyszko, pozostał we Lwowie, tam zmarł w 1834 r. i tam został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim. W 1917 r. w „Kurjerze Lwowskim” pisano, że grób znajduje się w stanie zaniedbanym...

Patrioci z Owrucza

Ostatnim bojem powstańczym na dalekich kresach Rzeczypospolitej był lokalny zryw szlachty zaściankowej w powiecie owruckim na wschodnich krańcach Wołynia, blisko 100 km na północ od Żytomierza (obecnie w pobliżu granicy ukraińsko-białoruskiej). Około 25 maja 1831 r. zebrał się tam oddział powstańczy

pod dowództwem Wilhelma Hołowińskiego, owruckiego marszałka szlachty, oraz szlachcica Baranowskiego o nieznanym imieniu. Liczył on kilkuset, najwyżej do tysiąca ludzi, w tym także garść powstańców, przybyłych aż z Mińszczyzny. Po zwycięskich potyczkach pod Potapowiczami i Waśkowiczami powstańcy opanowali Owrucz.

Jak skrupulatnie wylicza Dariusz Ostapowicz, „zdołali tam cztery działa, kasę z 60 tys. rbs [rubli srebrem], pojмали sprawnika”, zwracając też uwagę na wielkie



Wojciech Kossak „Ułan w walce z Kozakiem. Epizod z powstania listopadowego” FOT. CYFROWE MNW

wsparcie, jakiego powstańcom udzielili bazylianie na czele z przeorem ks. Janem Sierocińskim, którzy nie tylko dostarczyli im kilku armat i moździerzy, ale wstępowali do ich szeregów.

Ksiądz Sierociński drogo za to zapłacił. Zesłany wraz z innymi powstańcami owruckimi do Omska, w 1834 r. uczestniczył w spisku mającym na celu ucieczkę z zesłania. Zdrada uniemożliwiła realizację tego planu, a jego przywódców, w tym ks. Sierocińskiego, skazano na karę kilku tysięcy kijów. Sierociński był bity jako ostatni i jak czytamy w „Dziejach Polaków na Syberii” Michała Janika, „umarł jak męczennik, z modlitwą na ustach i z pamięcią o cierpieniach nie swoich, ale nieszczęśliwych rodaków”.

I tutaj przemoc moskiewska zdusiła tę wyspę polskości. 26 maja, albo nieco później 2 i 3 czerwca, Rosjanie uderzyli na oddział piechoty powstańczej stacjonujący w Owrużu pod osobistym dowództwem Hołowińskiego. W lesie w pobliżu miasteczka doszło do zaciętego boju, w którym powstańcy ulegli przewadze regularnego wojska i kozaków; ci zamordowali też część wziętych do niewoli. Ponadto w odwecie za poparcie udzielone powstańcom Moskalem dopuścili się licznych zbrodni przeciwko mieszkańcom Owruża.

Hołowiński z garścią ludzi zdołał wy dostać się z matni, ale kilka dni później i ten ostatni oddziałek rozbito, a jego dowódca został wzięty do niewoli. Dalsze jego losy odzwierciedlały tragiczny los polskiej szlachty, od wieków



Józef Dwernicki FOT. DOMENA PUBLICZNA

mieszkającej na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej, od schyłku XVIII w. znajdujących się pod zaborem rosyjskim. Majątek Hołowińskiego skonfiskowano, a jego samego zesłano do guberni jeniisejskiej na Syberii. Próbował uciec z zesłania. Schwytyany na trakcie irkuckim, miał później popełnić samobójstwo. Inna wersja mówi, że ciężko ranny dostał się do niewoli w Owrużu, był więziony w Żytomierzu i Kijowie, a zmarł w drodze na zesłanie do guberni władymirskiej.

„Faktem jest, że ci, którzy znaleźli się w oddziałach Kołyszki, stanowili pod wieloma względami najwartościowszy i najbardziej ofiarny element społeczności polskiej na Ukrainie. To byli właśnie ci, którzy postawili wszystko na jedną kartę [...] – postanowili walczyć” – pisał Andrzej Wroński, badacz powstania na kresach dawnej Rzeczypospolitej. Tak

silnie podkreślając szlachetność intencji insurgentów, marzących o wskrzeszeniu Rzeczypospolitej, dodawał: „Samo poświęcenie nie mogło jednak zastąpić braku wykształcenia, karność i dyscypliny wojskowej. Z opisów obozu i pierwszych dni marszu oddziałów Kołyszki wyłania się obraz strojnej, malowniczej, ale bezładnej masy, obarczonej nadmierną ilością taborów, dodatkowych koni, idącej jakby na triumfalny pochód, a nie na wojnę”. Powstańcy potrafili atakować Moskali z wielką brawurą, bez trwogi, lecz nie umieli dokonać przegrupowania w czasie walki, a w momentach kryzysowych boju, tak jak pod Daszowem, łatwo ulegali panice powodującej ucieczkę z placu boju. Jak zauważa Wroński, dokonując w jednej bitwie cudów odwagi i tracąc „wszystko podczas odwrotu”, przypominali pospolite ruszenie szlacheckie z czasów dawnej Rzeczypospolitej, a według Wacława Tokarza – konfederatów barskich.

Ich powstanie było jednak elementem prawdziwie malowniczego zmięczenia, chociaż jeszcze nie końca, świata kresowej szlachty polskiej, którą to kolorystykę tak świetnie wyraził autor „Beniowskiego”, pisząc „o naszej konnicy, co z wesołym okrzykiem...”, i o „Emirze”, który „gdy ogień ucichał armatni, / Ujeżdżał z rozpaczą, choć zjeżdżał ostatni. Któż męstwa zaprzecza? gdy szczyrby nić miecza / Powlekły jak perły różańca”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem Uczelni Łazarskiego.

REKLAMA

BELLONA



Wspomnienia
asa
lotnictwa

Jak Wielka
Brytania
zdradziła
Polskę i straciła
imperium



Nowatorskie
spojrzenie
na politykę
zagraniczną
Adolfa Hitlera

Żydowskie dzieci w porcie
w Londynie, styczeń 1939 r.

FOT. ARCHIWUM

Lata 30. / „Kindertransporty” z Rzeszy, Gdańska, Czech i Polski
do Wielkiej Brytanii

Żydowskie dzieci z Narnii



Piotr Semka

**Tuż przed II wojną
światową Brytyjczycy
otworzyli swój kraj dla
dzieci narodu
prześladowanego przez
hitlerowców**

Przed Dworcem Głównym w Gdańsku liczni podróżni mijają pomnik grupki dzieci z walizkami. Takie same pomniki znaleźć można przed berlińskim dworcem Berlin-Friedrichstrasse oraz Liverpool Street Station w Londynie. Wszystkie one upamiętniają zjawisko „kindertransportów”, czyli akcji ratowania żydowskich dzieci przez ludzi dobrej woli w Wielkiej Brytanii. Te trwające między grudniem 1938 r. a wybuchem wojny transporty dzieci uratowały ok. 100 tys.

młodych Żydów i Żydówek z krajów, na które padł cień agresji Hitlera.

Opinia publiczna w Wielkiej Brytanii i miejscowe środowiska Żydów do jesieni 1938 r. patrzyły na prześladowania Niemców żydowskiego pochodzenia z pewnym spokojem. Z jednej strony publiczne bojkoty sklepów, gabinetów lekarskich i kancelarii adwokackich będących w posiadaniu żydowskim budziły zrozumiały wstręt. Z drugiej strony bardzo długo zakładano, że to tylko chwilowa polityka III Rzeszy, którą niemieccy Żydzi powinni starać się przetrzymać aż do momentu jakiegoś złagodzenia linii.

Kolejnym problemem była niechęć państw europejskich do przyjmowania Żydów. Zaważyła na tym opinia, że szczególnie tzw. East Jews to przedstawiciele warstw ubogich, „kłopotliwych” i obcych językowo. Swoją rolę odgrywały też nastroje antysemityczne, które w epoce sukcesów Hitlera znajdowały echo w wielu krajach. W lipcu 1938 r. w miejscowości Évian nad Jeziorem Genewskim doszło do konferencji 33 krajów z Europy i obu Ameryk, która miała rozstrzygnąć kwestię jakiejś formy przyjmowania

ludności żydowskiej z terenów III Rzeszy i obszarów przez nią zagarniętych. Tylko niewielka karaibska Dominikana zgodziła się na przyjęcie nielimitowanej liczby uchodźców. Reszta państw albo mówiła o rozmaitych kwotach ilościowych, albo unikała jednoznacznych obietnic. Fiasko konferencji w Évian wywołało rozgoryczenie europejskich i amerykańskich organizacji żydowskich.

Zmianą w nastawieniu Brytyjczyków do położenia Żydów w Niemczech była upiorna noc kryształowa 9 listopada 1938 r., kiedy to na terenie III Rzeszy i Wolnego Miasta Gdańska doszło do spalenia 267 synagog, fizycznej agresji wobec Żydów i deportacji tysięcy obywateli niemieckich żydowskiego pochodzenia do obozów koncentracyjnych. Blisko 100 Żydów zostało zakatowanych przez bojówki nazistowskie. Te dane znane były dopiero po pewnym czasie, ale same zdjęcia płonących świątyń żydowskich przerażyły Brytyjczyków. Londyńska prasa relacjonowała te przykłady agresywnego barbarzyństwa, przyrównując je do pogromów inicjowanych przez

władze carskie. Dla brytyjskich władz było to dodatkowo upokorzenie po podpisaniu porozumień monachijskich, które miały w opinii premiera Neville Chamberlaina zmoderować politykę Hitlera. Rząd brytyjski z nieprzyjemnym zdziwieniem odkrył, że Hitler wcale nie złagodził.

Na fali tych nastrojów 15 listopada 1938 r. premier Chamberlain przyjął delegację Żydów brytyjskich na czele z Wilfridem Israelem i rabinem Salmonem Schoenfelderem. Po spotkaniu premier Zjednoczonego Królestwa ogłosił, że jego kraj zgadza się na tymczasowe przyjęcie sporej grupy dzieci i nastolatków żydowskich z III Rzeszy, Wolnego Miasta Gdańska i terenów Sudetów. W praktyce okazało się, że Brytyjczycy przyjmą także grupę dzieci żydowskich z okrojonej Czechosłowacji i Polski, gdyż ich rodzice byli pewni, iż kraje te w niedługim czasie staną się obiektem agresji Hitlera. Chamberlain podkreślał, że gościna dla dzieci możliwa jest tylko dla osób do 17. roku życia i nie obejmuje opiekunów ani rodziców. Ponadto podkreślał, że przyjęcie dzieci będzie tymczasowe i będzie tylko punktem na trasie wyjazdu do Palestyny. Wspólnota żydowska zobowiązała się pokryć koszty transportów i zadeklarowała opłatę 50 funtów za każde dziecko. Zapelowano do rodzin brytyjskich o zgłoszenie się z gotowością przyjęcia dzieci.

Wyścig z czasem

Jednym z najbardziej ofiarnych organizatorów akcji był Brytyjczyk żydowskiego pochodzenia nazwiskiem Nicholas Winton. Ten makler giełdowy w Londynie odwiedził w 1938 r. przyjaciele w Czechach i od niego dowiedział się o Żydach kierowanych do obozów pracy na terenach sudeckich włączonych

do III Rzeszy. To on wpadł na pomysł ratowania dzieci jako najcenniejszego kapitału społeczności żydowskiej. Ważną rolę w przekonaniu brytyjskich elit do konieczności ratowania żydowskich dzieci i nastolatków odegrała arystokratka Joan Hoare, kuzynka szefa brytyjskiej dyplomacji Simona Hoare'a. Joan Hoare pisała w apelu o pomoc: „Stajemy wobec szansy uratowania młodego pokolenia. To także sposób na złagodzenie cierpień, które dotyczą ich rodziców”.

Pierwszy transport 200 dzieci wyładował drogą lotniczą na lotnisku w Harwich 2 grudnia 1938 r. W ciągu kolejnych miesięcy do Wielkiej Brytanii zaczęły docierać tysiące dzieci. Specjalne pociągi z Wiednia, Berlina, Pragi wyjeżdżały do Belgii i Holandii, skąd dzieci umieszczano na promach jadących do Wielkiej Brytanii. Tutaj przesadzano je do pociągów, które jechały na londyń-

jednej rodziny ścierały się przeciwstawne opinie. Jedni byli zdania, że represje mimo wszystko za jakiś czas osłabną, a rodzice zostaną być może już na zawsze bez naturalnych pomocników w niełatwym życiu niemieckich Żydów. Inni, którzy nie mieli już specjalnie złudzeń, wskazywali, że nie wolno skazywać dzieci na długie lata życia w poniżeniu, a być może i zagrożeniu śmiercią. Jeszcze inni martwili się, jak dzieci wysyłane do domów obcych ludzi będą traktowane. Dopiero wojna i wysyłka setek tysięcy niemieckich Żydów do obozów zagłady pokazały, że opinie największych pesymistów były trafne.

Na obczyźnie

Dzieci trafiały do bardzo różnych domów. Przede wszystkim w rozdziale małych przybyszów kierowano się deklaracjami woli przyjmowania uchodźców. Ponieważ akcja była nagła, nie sprawdzano, jakie są warunki i intencje przyjmujących. Zdarzało się więc, że dziecko trafiało do rodzin wspaniałomyślnych humanistów, którzy poruszeni byli informacjami o przesładowaniu Żydów w Niemczech. Bardzo często mali przybysze z Niemiec czy Czech traktowali ich jako rodziców i dzięki ich wsparciu robili w powojennej Anglii błyskotliwe kariery. Przykładem takiego szczęśliwego dzieciństwa są losy Helli Pick, jednej z najbardziej znanych brytyjskich dziennikarek.

Bywały też jednak domy, w których dzieci sprowadzano do roli parobków. Samotne nastolatki stały wobec problemu bariery językowej. Nauczenie się języka musiało trochę potrwać, a każda wypowiedź zdradzała obce pochodzenie. W Anglii, gdzie tradycyjnie zachowywano nieufność i dystans wobec „bloody foreigners”, czyli „cholernych obcokrajowców”, było to wyjątkowo dolegliwe. W szkołach dzieci potrafiły kpić z ich słabej angielszczyzny lub – jeśli ich rodzice mieli niechętny stosunek do Żydów – atakować z pozycji antysemitów.



Wiza wydana Żydówce, która opiekowała się transportem dzieci z Gdańska

ski dworzec Liverpool Street Station. To właśnie w tym miejscu dzieci odbierane były przez brytyjskie rodziny, żydowskie instytucje dobroczynne lub sierocińce. Dzieci, w stosunku do których nikt nie zadeklarował woli ich przyjęcia, trafiały do obozu przejściowego w Dovercourt.

Władze hitlerowskie nie oponowały, gdyż było to zgodne z ich planami wypychania Żydów na emigrację. Dla rodziców wysyłka dzieci w nieznaną była potworną decyzją. Często w obrębie



„Kindertransport – przybycie”, rzeźba Franka Meislera w Londynie. FOT. HOWLINGPIXEL.COM

D Kolejną próbą dla dzieci wygnańców było lato 1940 r., kiedy Wielka Brytania spodziewała się niemieckiej inwazji na wyspy. Ponieważ służby specjalne podkreślały, że nie można wykluczyć, iż jakiś procent szczególnie starszych dzieci mogli stanowić „uśpieni” niemieccy agenci, władze brytyjskie nakazały internowanie wszystkich przybyszów z Niemiec. Tysiąc internowanych umieszczono na wyspie Man, a 400 wyekspediowano do Kanady drogą morską. Im bardziej mijał lęk przed inwazją, tym rygory wobec uchodźców z Niemiec słabły. W czasie wojny zatrudniano ich w wojsku, szpitalach. Potem im było bliżej do zniszczenia się wizji zajmowania przez wojska brytyjskie ziem niemieckich, tym chętniej sięgano po nich z racji doskonałej znajomości języka niemieckiego.

Dopiero po latach wychodziły na jaw rozmaite tragedie. Najbardziej znaną historią były losy rejsu statku „Dunera” do Australii. 10 lipca 1940 r. wysłano do Australii na jednym statku 2036 Żydów z Niemiec w wieku od 16 do 60 lat. W wyniku urzędniczej bezduszości uchodź-

ców spod władzy Hitlera zaokrętowano razem z grupą 500 jeńców niemieckich i włoskich. Bardzo szybko wybuchły scysy między Niemcami a Żydami, które bez rozróżnienia racji brutalnie pacyfikowały służby wartownicze statku. Rejs trwał 57 dni, warunki higieniczne i aprowizacyjne były fatalne. Gdy już Żydzi przybyli do Australii, osadzono ich w dwóch obozach internowania w Nowej Południowej Walii i prowincji Wiktorii. Dopiero w 1942 r. władze brytyjskie zdołały się na uznanie akcji za „ubolewania godny incydent”. Nie zmienia to faktu, że uczestnicy tego rejsu do dziś wspominają HMS „Dunera” jako „hell ship”, czyli piekielny statek.

Ratunek nad Motławą

W Wolnym Mieście Gdańsku akcja zorganizowana została przez zarząd Gminy Synagogałnej. W negocjacjach z władzami senatu, gdańską policją i kon-

sulatem Wielkiej Brytanii ogromną rolę odegrali przewodniczący Gminy i były senator WMG Ernst Berent oraz gdański kupiec Julius Becker. Na początku marca gotowa była już lista dzieci. Chętnych było więcej niż miejsc, choć koszty podróży były niemałe. Na szczęście dzięki pomocy Anglo-Palestine Bank udało się włączyć do transportu także biedniejsze dzieci. Jak wspominają historycy, prasa gdańska unikała tematu. Wynikało to z taktyki władz hitlerowskich, które nie chwaliły się wypychaniem Żydów niemieckich na emigrację. Gdańsk był wówczas rządzony przez nazistę Alberta Forstera, który od połowy 1938 r. demonstracyjnie ignorował zwierzchność Ligi Narodów nad miastem i wcielał w życie prawne szykany przeciwko gdańskim Żydom.

3 maja 1939 r. 94 dzieci żydowskich zgromadziło się na nabrzeżu celnym na Wyspie Spichrzów. Władze gdańskie pozwalały na zabranie ze sobą tylko jednej średniej wielkości walizki. Dzieci załadowano do autobusów jadących do Malborka. Tam z kolei dzieci załadowano do specjalnego pociągu, który pojechał do Holandii. Wszystkie okna były zamknięte i podróż trwała 36 godzin. Kolejne „kindertransporty” były już znacznie mniej liczne. Transport z 5 lipca 1939 r. objął kilkoro dzieci, kolejny z 10 lipca tylko 15 dzieci i wreszcie ostatni czwarty wyjazd – 25 sierpnia 1939 r. – uratował 16 osób. Tragikomicznym akcentem tej ostatniej wyprawy była obecność mężczyzny z gestapo, który wysiadając na granicy holenderskiej, żartował, że musi opuścić dzieci, bo „Londyn nie jest dobrym miejscem, gdyż za dużo tam deszczu i mgły”.

„Kindertransporty” pozostaną świadectwem upiornych czasów, gdy rodzice musieli rozstawać się z tym, co mieli najcenniejsze, czyli swoimi dziećmi, w trosce o ich przetrwanie. Wtedy, w 1939 r., tylko najwięksi pesymiści zakładali, że wyjazd dzieci ratuje je od śmierci. Jednak to właśnie oni okazali się najlepszymi znawcami sposobu myślenia i działania hitlerowców. A małych przybyszów dotknęła gorycz, która towarzyszy wielu emigrantom. Poczucie wykorzenienia w jednym przypadku miało szybkie – gdy natrafiano na dobrych ludzi. A w innych – gdy w dzieci uderzała ludzka podłość i ksenofobia – urazy pozostawały na całe życie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Mądrość zbudowała
sobie dom...

Państwo krzyżackie
w Prusach

Muzeum Zamkowe w Malborku

Wisdom has built
her house...

The State of Teutonic Order
in Prussia

The Malbork Castle Museum

SAPIENTIA ÆDIFICAVIT SIBI DOMUM...

14.09.
— 17.11.
2019



patronat honorowy

oficjalny przewoźnik

patronat medialny

prof. dr hab. Piotr Gliniak
Minister Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego
w Gdańsku





Krzysztof Masłoń

/ Nowak radiem rządził w sposób despotyczny i grubiański. Sekował Józefa Mackiewicza i innych pisarzy

Mam przed sobą dwa tomy książki niebywale niepoprawnej politycznie. Opowiada o Radiu Wolna Europa, a skoro o RWE, to naturalnie w dużej, przytłaczającej części o jego twórcy i wieloletnim pierwszym dyrektorsze, Janie Nowaku-Jeziorańskim. Zmarłym w 2005 r. bohaterze niedawno zrealizowanego przez Władysława Pasikowskiego filmu „Kurier”, kawalerze Orderu Orła Białego i przyznanego w 1944 r. krzyża srebrnego Virtuti Militari, doradcy kolejnych prezydentów III Rzeczypospolitej, w powszechnej opinii jednego z nielicznych autorytetów, które przetrwały burzliwe czasy transformacji ustrojowej.

A jednak praca Andrzeja Świdlickiego „Pięknoduchy, radiowcy, szpiedzy” ukazuje nam postać zgoła niepomnikową. Przy czym książka ma znaczący podtytuł: „Radio Wolna Europa dla zaawansowanych”. Ponieważ uważam się za kogoś właśnie w tej materii, „zaawansowanego” i o większości najbardziej sensacyjnie brzmiących informacji zawartych w „Pięknoduchach...” dowiedziałem się wiele lat temu, goszcząc w Monachium i rozmawiając z ludźmi Nowakowi raczej niechętnymi, nie przypłaciłem lektury zawałem. Co może grozić niewprowadzonym w meandry zawiłych, nierzadko ciemnych spraw radia wolności nadającego z siedziby w Englischer Garten w Monachium.

O Nowaku dyktującym polskiej sekcji RWE od początku, czyli od 1952 r., nieprzerwanie przez 24 lata, Andrzej Świdlicki powiada, że był on „jak Romulus, mityczny założyciel Rzymu. Za dyktatorem Sullą można powiedzieć o nim: »W tym Cezarze drzemie wielu Mariuszów«. Postrzegał rzeczywistość jako sieć spisków, intryg, kampanii,

1914–2005

/ Ciemna strona Jana Nowaka-Jeziorańskiego



Mściwy i bezwzględny szef RWE

FOT. WIKIPEDIA

rozgrywek i nagonek. Politykę pojmował jako serię ataków personalnych, co ilustrują publikowaną po raz pierwszy korespondencją z Marianem Hemarem. Miał też w zwyczaju rozprawiać się z politycznymi wrogami po ich śmierci”. Słowa te, ciężkie jak kamienie, niestety są prawdziwe.

Za największych swoich wrogów uznawał – wylicza autor „Pięknodułów...” – „pisarza Józefa Mackiewicza, jego brata Stanisława, PAX-owca Bolesława Piaseckiego i przywódcę narodowych komunistów Mieczysława Moczara. Pierwszego z nich zwalczał za – uwaga! – antykomunizm i podważanie legendy Armii Krajowej, drugiego za nagłośnienie agenturalnej sprawy Bergu, trzeciego za dywersję w Kościele, a czwartego za domniemany antysemityzm”. Na punkcie tego ostatniego był bardzo czuły, być może z racji pochodzenia, przodkowie jego wywodzili się bowiem z frankistów.

Podwoje Wolnej Europy zamknął przed wielkimi pisarzami: Józefem Mackiewiczem, ale i Ferdynandem Goetlem oraz Sergiuszem Piaseckim. Temu ostatniemu odmówił nadania przez radio jego powstałej wówczas satyrycznej powieści „Zapiski oficera Armii Czerwonej”, która zasłużenie bić będzie rekordy powodzenia czytelniczego. Nowak skorzystał z pretekstu, że wcześniej trzy odcinki książki bez wiedzy autora nadało Radio Madryt. Nic dziwnego, że rozżalony Piasecki pisał do niego:

„Zdawałoby się, że jako pisarz i Polak, który bolszewizm zwalczał przez całe życie na wszystkich dostępnych mu drogach. Który był przez wiele lat wywiadowcą wojskowym, pracował też w kontrwywiadzie. Który był już przy narodzeniu bolszewizmu w Moskwie w 1917 roku. Który jest pełen zapału i chęci walki, oraz pomysłów skutecznej kontrpropagandy powinien być wykorzystany przez jakąś zachodnią placówkę mającą za cel zwalczanie bolszewizmu... po prostu dla dobra sprawy i abym nie marnował swych sił i zdolności. Tymczasem doprowadzono mnie do rozgoryczenia, utraty wiary w rozum, uczciwość i siłę moralną Zachodu, wtrącono w nędzę i zmuszono zamilknąć. Zrobiono to, czego nie mogli dokonać ani bolszewicy, ani bierutowcy... chociaż byłem sprytnym graczem ocalałym z tysięcy”.

Dlaczego dyrektor RWE postąpił tak, a nie inaczej? Odpowiedź jest prosta: „Jan

Nowak mógł wiedzieć, że Piasecki był niedoszłym wykonawcą wyroku śmierci na Józefie Mackiewicz, a we Włoszech w II Korpusie bronił go przed sądem koleżeńskim”.

Odnosnie do samego Józefa Mackiewicza, wręcz słów szkoda. Mieszkał on z żoną, Barbarą Toporską, w tym samym Monachium, ale żeby kierujący działem kultury sekcji polskiej RWE Włodzimierz Odojewski mógł w ogóle wymienić w audycji jego nazwisko, musiał czekać, aż Nowaka na dyrektorskim fotelu zmieni Zygmunt Michałowski. Nawiasem mówiąc, Odojewskiego Jan Nowak w pewnym momencie zwolnił z pracy, a przywrócił dopiero na skutek zdecydowanego oporu znaczącej części radiowców i, chyba, dyskretnego wsparcia Jerzego Giedroycia.

A legendarny Marian Hemar swój ostatni otwarty list do dyrektora RWE, gdzie przez 15 lat prowadził „Kabaret polityczny”, napisał w formie wiersza:

*Chciałbym jeszcze podkreślić
bo różne jełopy
Mogłyby źle zrozumieć, co jest
moim planem:
Że ja nie atakuję Radia
Wolnej Europy
Wręcz przeciwnie, jak umiem,
Bronię go przed panem.*

W okupowanej stolicy

W dopiero co wydanej przez Agorę książce Jarosława Kurskiego pt. „Kurier wolności” pada stwierdzenie, że to Józef Mackiewicz miał rozpowszechniać nieprawdziwe informacje o okupacyjnym administrowaniu przez Nowaka (pod prawdziwym nazwiskiem – Jeziorański) żydowskim majątkiem skonfiskowanym przez Niemców. To nieprawda. Niezależnie od prawdziwości zarzutów, spreparowanych bądź nie, autor „Kontry” w tej, wyjątkowo drażliwej i stawiającej Nowaka w złym świetle, sprawie zachowywał dyskrecję.

A wpłatał go w nią nie kto inny, ale współpracownik Nowaka z RWE, znany z anteny radiowej Wiktor Trościanko, w kontaktach z wywiadem PRL używający kryptonimu Medal. To on miał opowiadać esbeckiemu płk. Mikołajew-

skiemu o tym, że to Józef Mackiewicz rozpowszechnia oskarżenia Nowaka o korzystanie z profitów płynących z pracy na początku lat 40. w Komisarycznym Zarządzie Nieruchomości w Warszawie. Pikanterii dodaje temu fakt – pisał w „Ptaszniku z Wilna” Włodzimierz Bolecki – „że to Trościanko [po latach to on będzie też niefortunnym kontaktem w RWE Józefa Szaniawskiego – przyp. K.M.] podczas II wojny światowej stał do władz AK oskarżenia Mackiewicza o kolaborację z Niemcami (»jako członek Rady Politycznej Departamentu Informacji w Kraju stwierdzałem te rzeczy w drodze służbowej«), a w latach 1945–1946 oskarżał go przed Sądem Koleżeńskim Dziennikarzy Polskich w Rzymie...”.

Wracając do Józefa Mackiewicza, to nie chciał on nagłaśniać przeszłości Jana Nowaka, czyli – jak zauważa Andrzej Świdlicki w „Pięknoduchach...” – „walczyć z nim jego bronią ani nawet afirmować takiej walki prowadzonej przez innych”. Wolał występować jako krytyk jego stosunku do komunizmu, czemu dał wyraz w broszurze na ten temat. O kolaboranckiej przeszłości swego życiowego



ANDRZEJ ŚWIDLICKI
„PIĘKNODUCHY, RADIOWCY, SZPIEDZY. RADIO
WOLNA EUROPA DLA ZAAWANSOWANYCH”, T. 1-2

WYDAWNICTWO LENA

antagonisty raczej nie był przekonany, co wytykała mu Barbara Szubska, pisząc do autora „Drogi donikąd” w październiku 1969 r.: „Naturalnie Jeziorański pracował z Zarządzeniem Komisarycznym przed wysmuglowaniem się w porcji węgla via Szwecja z Polski do Londynu. Musiał to być rok 1940 lub 41, może 42, jak pracował dla Zarządu. [...] Brat Jeziorański obecnie zamiesz-

■ kały w Chicago, ciągle jako Jeziorański i zajmujący się sprzedażą ubezpieczeń. [...] pracował w zarządzie znacznie dłużej, prawie do samego końca, i teje współpracy nie zaprzecza nawet, tyle że się nie chwali tym niepytany”.

Z ustaleń Grzegorza Eberhardta zawartych w „Pisarzu dla dorosłych” wynika, że chodzi prawdopodobnie o rok 1940, kiedy to nie można jeszcze mówić o delegowaniu Nowaka do pracy jako treuhändera przez podziemie, ale w ten sposób szef RWE tłumaczył zawsze swą obecność w Kommissarische Verwaltung. Józef Mackiewicz pozostawał obojętny na wszelkie Nowakowe enuncjacje i w liście do Juliusza Sakowskiego oświadczał: „[...] nie obchodzi mnie, co Nowak robił podczas okupacji niemieckiej, a obchodzi wyłącznie to, co robi teraz. [...] Nowaka nie zwalczam osobiście, lecz ideowo za uprawianie przez Free Europe »polskiego titoizmu« (»nacionalkomunizmu«)”.

W Ogrodzie Angielskim

Cała sprawa ciągnęła się bardzo długo, a w pewien sposób sfinalizował ją wyrok Sądu Krajowego w Kolonii z lipca 1975 r. Jan Nowak zaskarżył dziennikarza Joachima Georga Görlicha, że ten, omawiając w niemieckiej gazecie aż za dobrze znaną w Polsce książkę agenta Służby Bezpieczeństwa Andrzeja Czechowicza, komunistycznej „wtyki” w Wolnej Europie, a więc „Siedem trudnych lat”, napisał, że Jeziorański był „hitlerowskim treuhänderem”. Sąd zawyrokował nie po myśli Nowaka, a przynajmniej nie do końca po jego myśli. Wyrok głosił m.in.: „Nie chodzi tu o to, czy powód był istotnie nazistowskim treuhänderem, czy też czynność, która spowodowała owe obwinienie ze strony autora książki, spełniał tylko z przedstawionych przez niego pobudek i motywów. Jak już zaznaczono, w tym sporze prawnym nie idzie bowiem o prawidłowość czy nieprawidłowość twierdzenia, że powód był nazistowskim treuhänderem, tylko wyłącznie o stwierdzenie w zakwestionowanym artykule, czy obwiniano go w książce »Siedem trudnych lat«, że był nazistowskim treuhänderem. To twierdzenie nie jest jednak, jak wynika z przedstawionych wyłuszczeń,

nieśluszne i z tego powodu nie musi być przez powołanych odwołane”.

Dla Jarosława Kurskiego jest to wszystko – jakżeby inaczej! – nieistotne. „Nie był [...] Nowak żadnym komisarzem i żydowskich domów nikomu nie odbierał” – i już. Rozwodzi się natomiast redaktor „Gazety Wyborczej” nad zagrożeniami czyhającymi na dyrektora Radia Wolna Europa. Relacjonuje więc Kurski mrozące krew w żyłach nagłe, bez podania przyczyn, odwołanie z Helsinek, gdzie przyjechał – jasne, że incognito – na Festiwal Młodzieży Komunistycznej. Po powrocie do Monachium od amerykańskiego dyrektora Free Europe Rodneya Smitha dowiedział się, że planowane



Józef Mackiewicz FOT. ARCHIWUM

było jego porwanie, a z Helsinek do Leningradu było niedaleko. Nowakowi przypominało się wówczas, że na dworcu kolejowym w stolicy Finlandii zapraszali go do siebie „mówiacy po polsku przemili harcerze morscy”. „Zapaliły mi się czerwone światła...” – oznajmia bohaterksi szef polskiego desku RWE. Inny dowód bohaterstwa Jana Nowaka z lat „wolnoeuropskich” polegać miał na tym, że – jak się dowiadujemy – w pewnym czasie odbierał moc telefonów od nieznanymi osób, które mówiły, że wiedzą, gdzie mieszka, gdzie spaceruje ze swoim golden spanielem i kądędy chodzi do pracy przez Ogród Angielski. Porozumiał się w związku z tym ze swoimi amerykańskimi mocodawcami, których ochrona zaleciła mu zaniechanie samotnych

przechadzek. Od tego czasu w codziennej drodze do pracy towarzyszyła mu... żona.

W polskim desku

Andrzej Świdlicki (ur. 1950, redaktor RWE w latach 1980–1994) w „Piękno- duchach, radiowcach, szpiegach” tak charakteryzuje Jana Nowaka: „Ten ekonomista z wykształcenia i konspirator z powołania był ambitny, miał zdolności przywódcze, dobre pióro i polityczny instynkt, poczuwał się do odpowiedzialności za rozgłoszenie do końca, ale bardziej niż liderem był ustawiaczem dbającym o zachowanie osobistych, rzeczywistych bądź domniemyanych wpływów. Nie miał poczucia humoru, był pamiętliwy i bezwzględny wobec tych, których uznał za politycznych wrogów”.

A praca w Wolnej Europie dla wielu pozostawała marzeniem, innych zaś wprowadzała w ciężkie depresje. Już kandydaci do pracy w RWE wypełniać musieli kwestionariusz, który Krystyna Marek nazwała „nieprzyzwoitym”. „Zawiera on – pisała w liście do Nowaka w 1951 r. – serię pytań, które mogłyby zadać gestapowiercy dyrektor cyrku w jednej osobie. [...] Tak nie wolno traktować ludzi, od których oczekuje się nie »służby«, ale bądź co bądź politycznej współpracy, będącej wynikiem chwilowej zbieżności interesów na ograniczonym odcinku. Zwłaszcza nie należy pytać Polaków o przynależność do NSDAP. Jeśli z punktu widzenia amerykańskiego tak nie wolno nas traktować, to z punktu widzenia naszego tak nie wolno się dać traktować, albowiem postawiłoby to nas od początku w zupełnie niewłaściwej sytuacji”.

„Nowak miał despotyczne usposobienie – pisze dalej Andrzej Świdlicki w swej wydanej nakładem Wydawnictwa Lena w »Bibliotece Solidarności Walczącej« książce – mówiono o nim »ryczywół«, a stosunek do podwładnych porównywano z nastawieniem kaprała do rekruta. W ważnych sprawach programowych zezwalał na swobodne wypowiedzi, ale dyskusja służyła spuszczeniu powietrza, bo miał ostatnie słowo. Nie tolerował krytyki swojej oceny politycznej sytuacji i był czuły na punkcie prestiżu”.

Oczywiście zaśluzgi Wolnej Europy, w tym osobiste Jana Nowaka, są przeogromne i Andrzej Świdlicki ich nie pomija, wyliczając m.in. nagłosnienie



Jan Nowak-Jeziorański (z lewej) w siedzibie Radia Wolna Europa. FOT. OSSOLINEUM

trudnej sytuacji Polaków w ZSRS, obronę Kościoła, przybliżanie słuchaczowi z kraju twórczości emigracyjnych pisarzy i poetów (choć, jak wiemy, nie wszystkich). Dyrektor polskiego desku Free Europe skutecznie zabiegał o amerykańskie pieniądze na utrzymanie takich placówek jak Biblioteka Polska w Paryżu czy Instytut Sikorskiego w Londynie. W okresie jego kierowania rozgłośnią powstał Fundusz Społeczny Pracowników anonimowo wspierający weteranów Armii Krajowej.

Wszystko to nie zmienia faktu, że w konkretnych przypadkach zachowywał się obrzydliwie. O Józefie Mackiewiczu była już tutaj mowa, ale przed mikrofonami RWE nigdy nie wystąpił też jego brat, Stanisław Mackiewicz „Cat”. Nie tylko więzy krwi decydowały o tym, ale i to, że był „Cat” może nie antyamerykański, ale generalnie nie-

ufny wobec i Stanów, i całego Zachodu, a Powstanie Warszawskie uznawał za akt samobójczy. Dość było tego, by w oczach Nowaka uchodził za germanofila, a po powrocie do kraju wręcz zdrajcę.

Z kolei o jego bracie, Józefie, po tegoż śmierci, orzekł, że był on w Wilnie chroniony przez – uwaga! – NKWD, a po wojnie przez PRL-owską cenzurę. Z całą pewnością „Kurier Wolności” przekroczył w tym miejscu wszelkie granice absurdu i przyzwoitości zarazem.

Na warszawskim Powiślu

Jan Nowak (1914–2005) ostatnich lat dożył w Polsce, jako – powiada Świdlicki – „odwrócony kurier – nie z Warszawy,

którym był za okupacji, lecz z Waszyngtonu, jako promotor Pax Americana i lobbysta interesów żydowskich”. Brzmi to nadzwyczaj mocno, ale jest prawdą, że w roli wujka „Dobra Rada” kładł nacisk na rozliczanie się Polaków z rzekomo antysemicką przeszłością. To on interweniował u premiera Mazowieckiego, by spotkał się z władzami Światowego Kongresu Żydów i ustąpił w kwestii znajdującego się w Oświęcimiu klasztoru ss. Karmelitanek, o co toczyły się zacięte spory na przełomie lat 1989 i 1990. Polski rząd wtedy – co oczywiste – ustąpił. Naturalnie, przeciwny był protestom przeciw filmowi „Sztetl”, marcowego emigranta z Polski Mariana Marzyńskiego („Telewizyjny Turniej Miast”, jeśli ktoś to jeszcze pamięta!), podobnie jak suflował prezydentowi, premierowi i prymasowi, by hurtem przepraszały za mord w Jedwabnem, który właśnie odkrył z triumfem Jan Tomasz Gross. „»Pedagogika wstydu«, jak nazywano żydowską politykę historyczną wobec Polski – pisze Andrzej Świdlicki – której Jedwabne było kulminacyjnym punktem, miała na celu wzbudzenie w Polakach poczucia winy za rzekomą rolę w hitlerowskiej zagładzie Żydów i uczynienie ich bardziej podatnymi na roszczenia majątkowe”. No cóż, Nowak uważał, że w stosunkach z Żydami Polska jest stroną słabszą, a w razie przegranej cena, jaką byśmy zapłacili, w postaci zepsucia stosunków z USA byłaby nazbyt wysoka. „Było w tym coś na rzeczy” – przyznaje autor „Pięknoduchów...”.

Po powrocie do Polski Jan Nowak zamieszkał w Warszawie, na Powiślu. Stworzył wtedy u siebie coś w rodzaju narodowego sanktuarium. Andrzej Świdlicki cytuje taką relację: „Gość wchodzi i od razu czuje się mały. Z góry patrzą na niego: halabardy, zbroje, obrazy – Chełmoński, Wierusz Kowalski, Gierzyński, nad stropem pas słucki, w przeszłości równowartość kilku wsi. Usługuje gospościa w fartuszkach. Nowak marszczy brew, a może to nie on. Może brew marszczy historia, w jego imieniu dając wyraz dezaprobaty dla gościa”.

Dowiadujemy się, że ten bardzo sugestywny obrazek sporządził kolega autora. Anonimowy jednak. To naprawdę bardzo niepoprawna książka.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER GŁÓWNY



PARTNERZY



NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.



Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.



NAJ Z KAŻDEJ STRONY



Radastau Astrouski przed
frontem oddziału policji
białoruskiej FOT. WIKIPEDIA

1941–1945

/ Od jednostek policji do Waffen-SS

Białoruska kolaboracja



Arkadiusz Karbowski

**/ Policjanci z 13.
batalionu Schuma
u boku Niemców
dokonywali egzekucji
w „kacetach”, walczyli
z partyzantami
sowieckimi, tłumili
Powstanie Warszawskie**

Białoruskie elity narodowe – na emigracji zarówno w Polsce, jak i w krajach Europy Zachodniej – zdawały sobie sprawę, że idea powstania niepodległej Białorusi ma szansę realizacji tylko dzięki dekompozycji i upadkowi istniejącego na Starym Kontynencie od

zakończenia I wojny światowej porządku wersalskiego. Jedynym krajem zdolnym i chętnym, by ów porządek zburzyć, była narodowosocjalistyczna III Rzesza. Dlatego właśnie w oparciu o siłę Niemiec zamierzał prowadzić swe działania białoruski obóz niepodległościowy.

Głównym zwolennikiem niemiecko-białoruskiego sojuszu był przywódca Białoruskiej Partii Narodowosocjalistycznej Fabian Akińczyc. Po zakończeniu kampanii wrześniowej w 1939 r. stanął on na czele powołanego przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych Rzeszy Białoruskiego Przedstawicielstwa. Jako jego prezes podjął starania zmierzające do wypuszczenia z niewoli jeńców pochodzenia białoruskiego. Dzięki pomocy Wehrmachtowi od 3 grudnia 1939 r. zainicjował wydawanie skierowanego do jeńców tygodnika „Ranica”. Dzięki niezwyklej aktywności Akińczycowi udało się doprowadzić do chwilowego przejęcia kierownictwa nad powstałym w 1940 r. w Warszawie Komitetem

Białoruskim. Jednak szybka interwencja niemiecka spowodowała, że zrezygnował on z pełnienia funkcji prezesa komitetu i powrócił do Berlina. Stamtąd wystosował memoriał do władz niemieckich, w którym proponował szkolenie kadr białoruskich na potrzeby administracji oraz przygotowanie białoruskich formacji zbrojnych do walki z Sowietami.

Niemcy z uwagi na brak szerszego poparcia nie chcieli wspomagać partii Akińczyc. Co prawda w styczniu 1942 r. pozwolili mu wraz z grupą 70 współpracowników pojawić się w Generalnym Komisarzacie Białoruś, ale ograniczyli zdecydowanie jego aktywność, kiedy tylko wdał się w konflikt z innym białoruskim przywódcą Iwanem Jermaczenką, protegowanym generalnego komisarza Wilhelma Kubego. Ostatecznie życie Akińczycza zostało przerwane przez jego kolegę z redakcji „Białoruskiej Gazety”. Nie jest wykluczone, że zabójstwo miało podtekst polityczny i stali za nim Sowietci.



Konkurencyjną i znacznie silniejszą niż BPNS strukturę ukierunkowaną na współpracę z Niemcami, występującą pod nazwą Białoruskie Centrum Narodowe, powołali do życia w Berlinie działacze białoruscy skupieni wokół Mikołaja Szczorsa, prezesa komitetu białoruskiego w Warszawie oraz, rozstrzelanego w grudniu 1942 r. przez Niemców, lidera konspiracyjnej Białoruskiej Partii Niepodległościowej, ks. Wincentego Godlewskiego. Centrum współdziałało z wywiadem wojskowym Abwehra. Dzięki tej kooperacji udało się stworzyć pod auspicjami niemieckimi 54-osobowy oddział, formalnie noszący nazwę 1. Białoruskiego Plutonu Szturmowego. Jego siedmiu członków tuż przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej 18 czerwca 1941 r. przerzucono na terytorium ZSRS, gdzie zostali szybko ujęci przez funkcjonariuszy sowieckich organów bezpieczeństwa. Szturmowcy mieli dużo szczęścia, bo – osadzeni w łomżyńskim więzieniu – odzyskali wolność po wkroczeniu do miasta oddziałów Wehrmachtu.

Uratowani sabotażyści nie byli jedynymi białoruskimi dywersantami, którzy pojawili się w „ojczyźnie światowego proletariatu” przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej. Inną grupę desantowano w nocy z 21 na 22 czerwca 1941 r., 40 km na zachód od Mińska. Dowodził nią były chorąży WP Włodzimierz Koczan. Wspomniany oddział, podobnie jak poprzedni,

podlegał operacyjnie abwehrowskiemu 800. pułkowi do zadań specjalnych „Brandenburg”. Po przeprowadzeniu kilku akcji sabotażowo-dywersyjnych na liniach kolejowych Białorusini wycofali się na obszary zajęte przez oddziały niemieckie.

Tuż po rozpoczęciu okupacji przez Wehrmacht terytoriów Białorusi administracja wojskowa przystąpiła do tworzenia policyjnych jednostek pomocniczych. Ich zadaniem było utrzymywanie porządku na terenach okupowanych. Formacje te nazwano Ordnungsdienst – Służba Porządkowa. Służyło w nich początkowo 2 tys. policjantów. W strukturach OD znalazła swe miejsce spora liczba białoruskich działaczy narodowych, chociażby komendant OD w Mińsku Dymitr Kosmowicz czy jego następca – zabity potem przez patrol likwidacyjny AK – Julian Sakowicz. Ludzie ci, rozumujący w kategoriach białoruskiej racji stanu, podejmowali kolaborację z Niemcami,

aby budować podwaliny białoruskiego państwa narodowego. Bez wątpienia sprzyjała temu polityka białorutenizacji prowadzona przez generalnego komisarza Białorusi Wilhelma Kubego.

W rękach Polaków...

Zanim ją rozpoczęto, w początkowych miesiącach niemieckiej okupacji na obszarach głównie zachodniej Białorusi zarówno w administracji, jak i policji stanowiska kierownicze obsadzili Polacy. Wypada przypomnieć, że był to czas euforii wyrażanej przez przedstawicieli wszystkich grup narodowościowych (poza Żydami) z powodu wyzwolenia Białorusi przez armię niemiecką z rąk bolszewików. Raport Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury Rządu na Kraj o sytuacji na Białostocczyźnie

i Grodzieńszczyźnie w drugiej połowie 1941 r. tak charakteryzował istniejące nastroje:

„Ogólny nastrój ówczesny wśród ludności polskiej to radość z powodu uwolnienia się spod terroru bolszewickiego i połączenia z resztą kraju... Na tym tle w pierwszych miesiącach odnoszono się raczej z sympatią do Niemców, zachowując na ogół rezerwę i nie angażując politycznie. Zdarzały się jednak wypadki, szczególnie na Białostocczyźnie, na terenach białoruskich, że część młodzieży o przekonaniach faszystowskich, a nawet szereg dawnych członków organizacji niepodległościowych poszło na służbę niemiecką, tworząc oddziały milicji. [...] W chwili obecnej prawie wszystkie posterunki administracyjne z wyjątkiem kierowniczych obsadzanych przez Niemców znalazły się w rękach Polaków, gdyż okupant stał na stanowisku powrotu do pracy tych ludzi, którzy na danych placówkach znajdowali się do 1939 r. Zresztą



Pojazd pancerny batalionu policyjnego SS „Siegling”, składającego się z Białorusinów i Rosjan FOT. WIKIPEDIA

■ brak fachowców białoruskich zmusił okupanta do oparcia się na elemencie polskim”.

Ci, którzy znaleźli się w strukturach niemieckiego aparatu represji, postanowili ich ostrze skierować w stronę Białorusinów oskarżanych – czasami słusznie, a czasami nie – o kolaborację z Sowietami. Te antybiałoruskie postawy dostrzegali działacze Białoruskiego Komitetu Narodowego z Grodna, pisząc w liście z 26 lipca 1941 r. do niemieckiego komendanta miasta, że w oczach Polaków każdy Białorusin jest komunista. Biorąc pod uwagę zaistniałą sytuację, nie sposób się dziwić, że na przykład w rejonie wronowskim latem 1941 r. wśród 36 policjantów zidentyfikowanych jako osoby dokonujące egzekucji na Żydach i Białorusinach aż 35 było Polakami, a jedna – Rosjaninem.

Czas „polskiej władzy” skończył się po zmianie administracji z wojskowej na cywilną. Wtedy to nastąpiła zasadnicza modyfikacja polityki niemieckiej. Generalny komisarz Wilhelm Kube zdecydowanie odrzucił przyjętą przez wojskowych zasadę opierania się na polskim elemencie – jako zdecydowanie wrogim III Rzeszy – i zdecydował się na podjęcie współpracy z Białorusinami. Od tej chwili rozpoczęła się masowa depolonizacja struktur okupacyjnych, a sami Polacy, choć głównie ci współpracujący z podziemiem, stali się obiektem represji ze strony Niemców i zemsty ze strony Białorusinów za wydarzenia z lata 1941 r. Pomimo podejmowanych wysiłków Kubemu nie udało się przeprowadzić całkowitej antypolskiej czystki w strukturach administracyjno-policyjnych. One same do końca okupacji stały się obszarem rywalizacji Polaków i Białorusinów.

Przyczynami niezrealizowania zasadniczych założeń antypolskiej polityki były z jednej strony szczupłość białoruskich kadr, z drugiej chęć wykorzystania pod koniec 1943 r. oddziałów Armii Krajowej do walki z sowiecką partyzantką oraz niechęć do wspierania polityki białorusenizacyjnej miejscowych dowódców SS i policji. Ci ostatni reprezentowali powszechnie obowiązującą, szczególnie na wschodzie, linię bezwzględного postępowania wobec ludności cywilnej, szczególnie tej wspierającej partyzantkę. O skali niemieckiego terroru może



świadczyć to, że podczas niemieckiej okupacji Niemcy przeprowadzili na Białorusi 627 pacyfikacji wsi. Takie postępowanie odstręczało pewną część społeczności białoruskiej od akcesu do wykazującego zdecydowanie proniemiecką orientację obozu niepodległościowego i kierowało jej sympatię w stronę bolszewickiej partyzantki, skądinąd także posługującej się w celu wymuszenia posłuchu metodami terroru.

Bataliony Schuma

Białorusini stanęli przed dramatycznym wyborem między niemieckim młotem a sowieckim kowadłem. Pomimo tego dylematu polityka kolaboracji z Niemcami przynosiła pewne efekty. Zaliczyć do nich należy wyrażenie przez Niemców pod koniec 1941 r. zgody na powołanie białoruskiej kolaboracyjnej organizacji w postaci Białoruskiej Samopomocy Ludowej. Kierownictwo jej objął mało znany działacz niepodległościowy Iwan Jermaczenka, cieszący się bezwzględnym zaufaniem Kubego. Pod patronatem BSL powołano Białoruskie Towarzystwo Naukowe, Ligę Kobiet, przystąpiono do organizacji szkół średnich z językiem białoruskim oraz stworzono niezależną od moskiewskiej Białoruską Autokefaliczną Cerkiew Prawosławną.

Dzięki zabiegom BSL w połowie 1942 r. doszło do utworzenia Białoruskiego Ochotniczego Korpusu Samoobrony. Miał on podlegać przywódcy BSL Iwanowi Jer-

maczence oraz operacyjnie dowódcy SS i policji w Okręgu Generalnym Białoruś. W Mińsku powstała szkoła oficerska, którą kierował przedwojenny oficer WP w stopniu kapitana, absolwent oficerskiej szkoły piechoty w Warszawie mjr Franciszek Kuszel. W ciągu krótkiego okresu do oddziałów samoobrony zaciągnęło się 15 tys. ochotników. Ich poziom wyszkolenia i uzbrojenia przedstawiał jednak wiele do życzenia. Około 30 proc. jej członków nie posiadało broni, co było skutkiem zaniedbań strony niemieckiej.

Powołaniu formacji od początku przeciwny był dowódca SS i policji. Obawy co do lojalności żołnierzy samoobrony, potwierdzone faktami licznych dezercji do oddziałów partyzanckich, spowodowały, że płk Hugo Klupsch – komendant Ordnungspolizei w Mińsku, w kwietniu 1943 r. rozwiązał samoobronę. Nominalny jej dowódca Iwan Jermaczenko musiał opuścić swoje stanowisko i wyjechać do Pragi. Część żołnierzy BOKS trafiła do innych formacji policyjnych, m.in. do Schutzmannschaftu. Z ochotników białoruskich utworzono 12 takich jednostek: siedem wartowniczych, cztery polowe i jedną zapasową. Należy zaznaczyć, że ok. 20 proc. członków policji białoruskiej stanowili Polacy. Niektórzy z nich, tak jak Józef Kozłowski „Las”, późniejszy szef PAS i komendant warszawskiego okręgu NZW, zostali potem dowódcami oddziałów partyzanckich polskiego antykomunistycznego podziemia.

Najbardziej znaną białoruską jednostką policyjną, biorąc pod uwagę zarówno wielkość, jak i aktywność, był powstały w pierwszym kwartale 1943 r. w Mińsku 13. białoruski batalion Schutzmannschaft der Sipo. Była to jedyna białoruska formacja policyjna podporządkowana policji bezpieczeństwa Sicherheitspolizei (pozostałe bataliony Schuma podlegały niemieckiej policji porządkowej Orpo). Batalion liczył ok. 1 tys. policjantów skupionych w siedmiu kompaniach. Część policjantów, tzw. trzynastki, uczestniczyła w akcjach przeciw sowieckiej partyzantce, a 4. Kompania pełniła służbę jako załoga obozu koncentracyjnego w Kołdyczewie, gdzie wielu jej członków brało udział w masowych egzekucjach więźniów. Latem 1944 r. batalion wycofał się na tereny GG. Od 3 sierpnia stacjonował w ognionej powstaniem

■ Warszawie. Tam ochraniał w tzw. niemieckiej dzielnicy budynki przy al. Szucha, w Al. Ujazdowskich, al. Róż, ulicach Koszykowej i Wiejskiej.

Najpewniej zakres wyznaczanych żołnierzom zadań nie ograniczał się tylko do zabezpieczania budynków. Za udział w walkach z powstańcami Oberfeldfebel Ilia Sanetz (zapewne Ilia Zaniec) 13 września 1944 r. został uhonorowany złotym medalem II klasy odznaczenia „Za Waleczność dla Narodów Wschodnich”. We wniosku odznaczeniowym napisano: „Sanetz przełamał jeden z najcięższych broniących odcinków na skutek swojej dzielności i swoich przymiotów dowódczych w niepowstrzymanym parciu naprzód szybciej niż sąsiednie oddziały, znacznie ułatwił im dalsze natarcie. Pozycja została przeniesiona do przodu przed nadchodzącą nocą, około godziny 2 i znów to był Sanetz, który jako pierwszy

ka i najpierw 21 grudnia 1943 r. powołał białoruski organ kolaboracyjny w postaci Białoruskiej Centralnej Rady z Radosławem Ostrowskim na czele, a 23 lutego 1944 r. Białoruską Obronę Krajową. Głównym celem powstania BCR było zmobilizowanie Białorusinów do walki z bolszewizmem.

W szeregach SS

Tuż przed wkroczeniem na Białoruś Sowieci – 27 czerwca 1944 r. – odbył się w Mińsku II Kongres Wszechbiałoruski. W obradach uczestniczyło 1039 białoruskich delegatów pochodzących z całej Europy. Jedną z przegłosowanych uchwał kongresu potwierdziła deklarację niepodległości ogłoszoną przez Radę Białoruskiej Republiki Ludowej 25 marca 1918 r. Tuż po zakończeniu obrad więk-

Po rozwiązaniu Hromady w okresie rządów sanacyjnych przeszedł na pozycję lojalistyczne. Po zajęciu Białorusi przez Wehrmacht pełnił funkcję burmistrza w Mohylewie, Smoleńsku i Briańsku. Stojąc na czele BCR, zaangażował się w działania zmierzające do utworzenia białoruskich sił zbrojnych. Miały one stać się załącznikiem białoruskiego wojska. Jego emanacją stanowiły właśnie jednostki BKO z kmdt. płk. Franciszkiem Kuszlem na czele, jednocześnie kierującym Wydziałem Wojskowym Białoruskiej Rady Centralnej.

Ogółem udało się zmobilizować w ramach BKO 39 batalionów, w których służyło 25 tys. żołnierzy. W lipcu 1944 r. część oddziałów BKO wycofała się wraz z Wehrmachtem na zachód. Dołączyli do nich także policjanci z białoruskich batalionów Schuma. Spośród nich pod koniec lipca 1944 r. powołano do życia Schutzmannschaft Brigade Siegling dowodzoną przez SS-Obersturmbannführera Hansa Sieglinga. 24 października 1944 r. przeformowano ją w 30. Waffen-Grenadier Division of SS (russische Nr 2). Wbrew nazwie dywizja miała charakter nie tyle rosyjski, ile wieloetniczny. Tę konstatację potwierdza analiza struktury etnicznej jednego z batalionów 4. Pułku. Znalazło się w nim 447 Białorusinów, 53 Rosjan, 15 Ukraińców, 63 Polaków i trzech Tatarów. W sierpniu 1944 r. na skutek masowych dezercji dywizję przerzucono do Francji, gdzie jej żołnierze wzięli udział w ciężkich walkach zarówno z aliantami, jak i z francuską partyzantką.

11 stycznia 1945 r. jednostkę wycofano z frontu i rozwiązano, a uzbrojenie jej przejęła 600. Dywizja Piechoty, czyli własowska 1. Dywizja Piechoty KONR (Komitet Wyzwolenia Narodów Rosji utworzony pod przywództwem gen. Andrieja Własowa). Numer po rozwiązanej jednostce oraz żołnierzy zarówno niemieckich, jak i białoruskich przydzielono do nowo utworzonej, 9 marca 1945 r., białoruskiej 30. Dywizji Grenadierów SS (30. Waffen-Grenadier Division der SS – weissruthenische Nr 1). Nie uczestniczyła ona w żadnych operacjach bojowych, a w kwietniu ją rozwiązano. Niemiecką kadrę dyslokowano do 38. Dywizji Grenadierów SS „Niebelungen”. W Białoruscy esesmani jako de facto cywile wojnę zakończyli 30 kwietnia, poddając się żołnierzom US Army. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Członkowie policyjnego batalionu SS „Siegling”

FOT. BUNDESARCHIV BILD

ze swoimi ludźmi zajął i rozbudował nową budowlę. Chociaż ta budowla leżała pod skrzydłowym ostrzałem...”

Obok istniejących batalionów Schuma próbowano zbudować stricte białoruskie formacje policyjno-wojskowe. Zaczęto tworzyć je w lutym 1944 r. Wtedy to następcą zlikwidowanego przez sowieckich agentów 23 września 1943 r. Wilhelma Kubego i jego główny konkurent SS-Obergruppenführer Kurt Gottberg, w obliczu rozwijającego się ruchu partyzanckiego i nadchodzącej Armii Czerwonej, postanowił sięgnąć po pomysły swego poprzedni-

szość delegatów z przewodniczącym BCR Ostrowskim opuściła Białoruś, uchodząc przed nadchodzącymi bolszewikami. On sam, mając bardzo bogatą i dość niejednoznaczną przeszłość polityczną, nie miał złudzeń, że za kolaborację z Niemcami Sowietom wymierzą mu stosowną karę.

Ostrowski był weteranem białej armii ochotniczej gen. Antona Denikina z okresu wojny domowej w Rosji. Potem, na początku lat 20., należał do grona – aktywnie kooperujących z Komunistyczną Partią Zachodniej Ukrainy – działaczy białoruskiej skrajnie lewicowej Hromady.

HISTORIA

DO
RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

**PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA JACKA KOMUDY „WESTERPLATTE”**

WESTERPLATTE MIAŁO PAŚĆ W CIĄGU KILKU GODZIN. BRONIŁO SIĘ PRZEZ 7 DNI!

Obrona, która stała się symbolem niezłomnej walki, była możliwa dzięki rozkazom jednego z dowódców, który wbrew wszystkim zdecydował się walczyć.

Dzięki poświęceniu jego żołnierzy, którzy bez rozkazów zdecydowali się pozostać na stanowiskach, aby przywitać Niemców seriami kul zamiast białych flag. Dzięki załodze składnicy, która w nieludzkim wysiłku, łamiąc rozkazy i stawiając desperacki opór, postanowiła za wszelką cenę bronić ostatniego skrawka polskiego wybrzeża w Gdańsku.

Oto powieść oparta na najnowszych pracach historycznych odsłaniających dramatyczne i nieznane tajemnice siedmiodniowej, bohaterskiej obrony składnicy tranzytowej w Gdańsku.

Oto historia żołnierzy z Westerplatte

81 zł

oszczędność 71 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

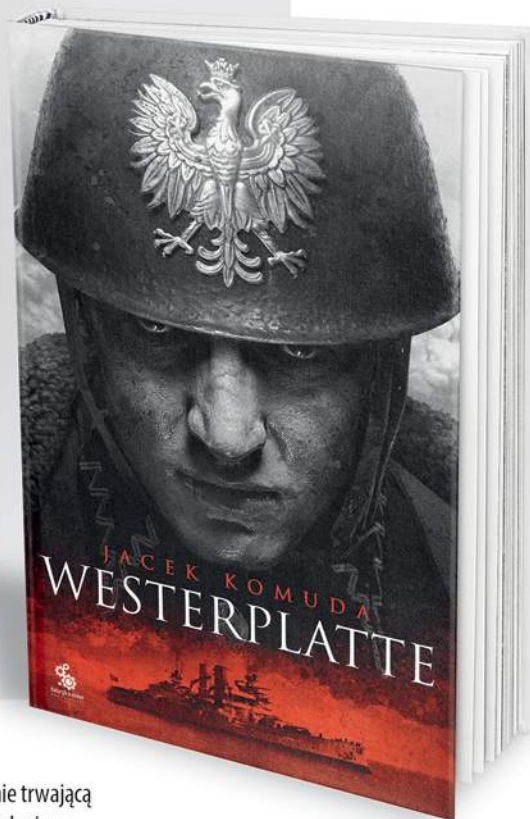
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.



WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl e0ed276cf8



PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2019



II wojna / Jak John i Tom mieli się odnosić do Niemców

Kieszonkowy przewodnik **US Army**



Marian Zacharski

/ Treść kieszonkowego przewodnika jasno wskazuje na chęć potraktowania pokonanego przeciwnika w sposób humanitarny

U dane lądowanie w Normandii przybliżyło perspektywę rychłego wejścia wojsk alianckich na tereny III Rzeszy. Jak mają zachowywać się w okupowanych Niemczech żołnierze amerykańscy? Pierwszym większym miastem zajęтым przez nich był Akwizgran (Aachen). 48-stronicowy kieszonkowy przewodnik dla żołnierza US Army był już gotowy. Wydrukowano 2 mln egzemplarzy.

W kołach decyzyjnych Waszyngtonu już wcześniej toczył się spór o to, jak postąpić z Niemcami, którzy cyklicznie wyruszali na kolejne wojny i podboje. Początkowo wśród doradców prezydenta Roosevelta panowało przekonanie o konieczności uczynienia z tego państwa kraju nieomal stricte rolniczego, którego głównym obowiązkiem miało być zagwarantowanie zaopatrzenia Europy w żywność. Kiedy przyjaciel prezydenta o niemiecko-judajskich korzeniach Hans Joachim Morgenthau przygotowywał plan zmierzający do likwidacji „raz na zawsze” problemu niemieckiego, prezydent Roose-



Plakat werbunkowy do armii Stanów Zjednoczonych

FOT. WIKIPEDIA

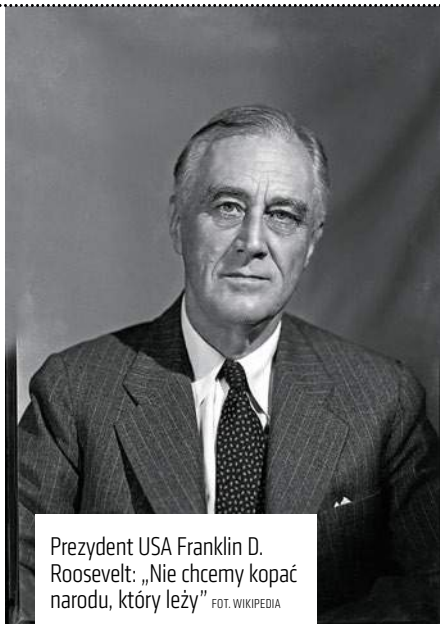
velt nagle, ku zaskoczeniu wielu, doszedł do wniosku, że zdecydowanie lepszym rozwiązaniem dla ludzkości byłoby, aby państwo niemieckie i jego obywatele stali się na tyle zasobni, otwarci na świat, respektujący wymogi demokracji, by już samo pojawienie się groźby utraty majątków, przywilejów i ogólnego komfortu życia skutecznie odstraszało od podejmowania kolejnych prób rozwiązywania konfliktów drogą wojen.

Prezydent Roosevelt oczekiwał więc od swoich dowódców i żołnierzy, aby po wejściu na terytorium wroga przestrzegali lokalnych praw i zarządzeń z wyjątkiem tych, które skorygowane zostały przez lokalne wojskowe władze amerykańskie. Prezydent wymagał także, aby miejscowe zwyczaje, w szczególności te, które dotyczyły spraw religijnych, brane były pod rozwagę i traktowane z należytym szacunkiem. Żołnierze winni także bezwzględnie szanować prawo własności, a akty wandalizmu miały być traktowane jako niewybaczalne. Zgodnie z życzeniem prezydenta dewiza: „Nie chcemy kopać narodu, który leży” miała stać się naczelnym drogowskazem dla wszystkich jego podwładnych.

Koncyliacyjna postawa prezydenta znalazła również uznanie szefa wojsk amerykańskich w Europie, gen. Luciusa D. Claya.

Oczywiście w warunkach wojennych nawet tak przejrzyste polecenia prezydenta wsparte postawą gen. Claya nie mogły całkowicie wyeliminować przypadków łamania prawa przez niektórych GI's (Government Issues), jak popularnie nazywano żołnierzy i lotników amerykańskich. Gwałty na kobietach, w szczególności w pierwszych tygodniach okupacji, nie należały do rzadkości. Oduchy natychmiastowego rozprawienia się z oprawcami, jak to było w momencie oswobodzenia obozu koncentracyjnego w Dachau, były z jednej strony naganne, ale z drugiej w pełni zrozumiałe. Młodzi żołnierze, widząc ogrom barbarzyństwa zgotowanego niewinnym ludziom, nie potrafili powstrzymać emocji i ściśle trzymać się litery prawa. Tak czy inaczej treść poniższego streszczenia kieszonkowego przewodnika jasno wskazuje na bezwątkową chęć potraktowania pokonanego przeciwnika w sposób humanitarny:

Twoje zadanie w Niemczech. Czy wejdiesz bojem czy po prostu wmaszerujesz, aby



Prezydent USA Franklin D. Roosevelt: „Nie chcemy kopać narodu, który leży”
FOT. WIKIPEDIA

okupować Niemcy, to zgodnie z postanowieniami rozejmu będziesz wykonywać swoją żołnierską pracę na terenie wroga.

Okupacja Niemiec da ci szansę zbudowania osobistej gwarancji, że kiedy odwrócisz się plecami, aby powrócić do domu, Niemiec znów nie podniesie broni, aby rozpylić ołów i kłamstwa wśród niczego niepodjęzającego świata. Jednym z największych wyzwania zmierzających do ustanowienia pokoju jest upewnienie się, że naród niemiecki, jako użyteczni obywatele, zajmie miejsce w rodzinie państw przestrzegających prawa. Nie pomniejszaj i nie bądź krytyczny co do waleczności byłych żołnierzy. Teraz będziesz miał dobrą okazję, by ocenić, jak dobrym żołnierzem był przeciwnik.

Nie wolno bratać się. Jest to nieodwolalne! Nie będziesz odwiedzać niemieckich domów ani obcować z Niemcami na warunkach przyjaznej zażyłości, chyba że za zezwoleniem wyższych przełożonych. Nie wolno ci im się zwierzać. To ostrzeżenie przeciwko brataniu się nie oznacza, że masz zachowywać się jak osobnik zgorzkniały lub jak wojskowy robot. Twoja mina nie powinna być surowa i odpychająca. W domu robiłeś małe interesy z wieloma ludźmi. Byłeś dla nich kurtuazyjny, ale nigdy nie dyskutowałeś o sprawach intymnych, nie ujawniałeś sekretów lub nie zwierzałeś się im. Niech tego typu zachowanie będzie teraz dla ciebie modelem.

Niemcy będą ciekawi. Będą zainteresowani. Ich zainteresowanie zrodzi się w wyniku obserwacji. Zauważą twój doskonały sprzęt. Zauważą twoje wyso-

kie zarobki (wysokie w porównaniu ze standardami ich własnych oraz innych krajów europejskich). Zauważą twoje morale i wspaniałego ducha współpracy oraz wzajemnego poszanowania, jakie panują w armii amerykańskiej. Będą zadawać pytania na temat Ameryki i amerykańskiego stylu życia. W granicach instrukcji dotyczącej bratania się i intymności swoją postawą możesz dać im wgląd w życie w demokracji, gdzie nikt nie jest panem drugiego, gdzie jedyną barierą do odniesienia sukcesu są umiejętności każdego z osobna. Jednak nie spieraj się. Nie próbuj ich przekonać. Jeżeli zdołasz zasiać ziarno dumy z własnego kraju i jego stylu życia, to czas oraz inni zrobią resztę. W międzyczasie sama twoja obecność na ziemi niemieckiej będzie służyć narodowi niemieckiemu jako stały wzorzec, że teoria nadras, która wysłała ich, aby skąpać świat we krwi, była jedynie tragicznym nonsensem. Według ich własnych wartości to oni powinni okupować twoje miasto zamiast twojej okupacji ich ziemi. „Nadrasa” nie sprawdziła się.

Na straży. Utrzymuj dystans. Jesteś w kraju wroga! Ci ludzie nie są naszymi aliantami lub przyjaciółmi. Związani są wojskowymi porozumieniami. Mimo że przyjaźni i okazujący skrucę, mimo że mający obrzydzenie do partii nazistowskiej, to jednak Niemcy zgrzeszyli wobec praw ludzkości i nie mogą powrócić do cywilizowanej owczarni jedynie poprzez zwykłe wyciągnięcie rąk i powiedzenie: przepraszam. To cały naród musi udowodnić, że raz jeszcze zasługuje na miejsce wśród szanowanych narodów. Nie zapominaj, że 11 lat temu naród niemiecki głosowaniem przekazał władzę partii nazistowskiej.

Cały naród niemiecki przeczytał książkę Hitlera „Mein Kampf”. Wiedzieli, co Hitler planował zrobić mniejszościom i światu. Chociaż ta książka im to uświadomiła, większość z nich zagłosowała na nazistów, wiedząc, że da to partii nazistowskiej, z Hitlerem jako kancle-rzem, pełną kontrolę. Z Hitlerem dobrze okopanym przy władzy plan z „Mein Kampf” zaczął stawać się rzeczywistością – terroryzowanie ras, niszczenie państw miłujących pokój, marsz w kierunku podbicia świata. I ta gangsterka została entuzjastycznie i energicznie poparta przez naród niemiecki – dotąd dokąd

■ wyglądało na to, że odniesie sukces. Zapamiętaj te fakty. Nie jesteś w Niemczech, aby poniżać lub brutalizować mieszkańców. Nie jesteś jak naziści. Ale także nie jesteś tam na wyjeździe dobrej woli.

Miej oczy otwarte. Nawet po poddaniu się lub podpisaniu rozejmu miej oczy otwarte na ziemi niemieckiej. Bądź ostrożny. Nie ryzykuj. Jesteś na nieprzyjacielskim terytorium. Twoje życie może znajdować się w większym niebezpieczeństwie, niż miało to miejsce w trakcie bitew. Na polu walki trzymałeś oczy otwarte i skupiony rozum w każdej sekundzie. Dlatego dzisiaj jesteś żywy. Nie możesz teraz uśpić czujności. Chroń siebie w każdym momencie.

Pilnuj się. Przekonałeś się na własnej skórze, że wojna nie jest sportem takim jak football lub boks, toczonym z zachowaniem reguł i kończonym wraz z komendą „czas”. W walce pięściarskiej o trofeum, kiedy gong ogłasza koniec rundy, tylko bez troski bokser opuszcza ręce. Nawet wtedy, w przypadku kiedy po czasie oponent zada nokautujący cios w szczękę, ofiara może do czekać się sprawiedliwości i pomocy u sędziego. Kiedy oprzytomnieje, dowie się, że zdradliwy przeciwnik został zdyskwalifikowany. W przypadku wojny i następującej po niej okupacji różnica jest taka, że ten, który opuści gardę i zostanie uderzony, już się nie obudzi.

Nie zapominaj, że zostałeś teraz odkomenderowany do Niemiec po części i z tego powodu, że ostatnim razem ojcowie zbyt szybko zapomnieli, czym jest wojna. Zbyt łatwo nabyli pewności, że przyjacielskie przyjęcie, które po zawieszeniu broni w 1918 r. przygotowali dla nich Niemcy, było dowodem, że w końcu Niemcy posiadli dobre intencje. Tym razem możesz nie spotkać takiego przyjacielskiego przyjęcia. Niemiecka nienawiść do Ameryki została zogniskowana poprzez edukację, propagandę i celność bombardowań alianckiego lotnictwa. Niemiec wierzy, że gdyby nie amerykańska interwencja, to tym razem ich stare marzenie o podbiciu

świata zostałyby zrealizowane. Dlatego trzymaj wysuniętą lewą prostopadłą. Nikomu nie ufaj z wyjątkiem swoich. Szczególnie uważaj na młodzież niemiecką w przedziale wieku 14–28. Od 1933 r., kiedy to Hitler doszedł do władzy, młodzież niemiecka była skrupulatnie i dogłębnie przygotowywana do podboju świata, zabijania i zdrady. Jedną z rzeczy, z której jesteśmy dumni w Ameryce, jest wpojony naszym chłopcom w trakcie procesu edukacji duch sportu, przyzwoitości i fair play. Większość młodych Amerykanów nienawidzi tchórzy znęcających się nad słabszymi, gardzi donosicielami i jest pełna pogardy dla zdrajców. [...]

Od 1933 r. niemiecki chłopiec celowo był kształcony według odwrotnych reguł. Słyszałeś cytaty: kiedy gałąź jest zgięta, drzewo się chyli. Oznacza to, że każdy człowiek jest produktem jego

Hitlera i partii nazistowskiej poświęcić wszystko, siebie, rodzinę, a nawet swoją żonę. Wykazuje tylko jedną, fanatyczną, lojalność, którą jest lojalność wobec Adolfa Hitlera. I nie ma znaczenia, czy Hitler jest żywy czy martwy. Fanatyzm dla hitlerowskiej idei nadrasa, podboju i rządzenia pozostanie. [...]

Co Niemcy myślą o Stanach Zjednoczonych.

Dowiesz się, że wielu Niemców dorastało z ideą, że Ameryka, w przeważającej większości, była pełna kowbojów, Indian i bogatych wujków. Niemcy, którzy przeżyli I wojnę światową, pamiętają, że „Wujek Sam” był przedstawiany jako bogaty stary skąpiec, który pożyczał pieniądze aliantom i osiągał wysokie zyski z ich walki i śmierci. Po tamtej wojnie, ale przed nadejściem nazizmu, Niemcy nabyli inną wizję Ameryki – kraj drapaczy chmur i milionów samochodów, masowej produkcji i nieograniczonych zasobów. W tamtym czasie rozwinął się wielki podziw i szacunek dla Ameryki, do tego stopnia, że Niemcy w latach 20. zaczęli mówić o amerykanizacji Niemiec. Większość Niemców ma krewnych w naszym kraju lub posiada przyjaciół, którzy mają tam krewnych. [...]

Kiedy naziści przyszli do władzy, chcieli udowodnić, że nazistowskie Niemcy są lepsze niż jakikolwiek inny kraj na świecie. Szczególnie ważne było obniżenie roli Ameryki, a w szczególności amerykańskiej demokracji. Stąd próbowali wymazać wszystkie dobre wrażenia, jakie Amerykanie zrobili na Niemcach w okresie dni Republiki [Weimarskiej].

Nasz kraj został ukazany jako pełen bogactwa i okropnej biedy, skorumpowany przez polityków, sterroryzowany przez gangsterów i pełen bezrobotnych. Odkąd weszliśmy do wojny z Niemcami, pojawiła się propaganda, najgorsza z możliwych. Najpierw nasze siły zbrojne przedstawiano jako miłych, prostych chłopców, którzy byli słabymi żołnierzami, ale po naszym wyładowaniu w Afryce, na Sycylii, we Włoszech i po tym, jak nasze lotnictwo bombardowało Niemcy dzień po dniu, zmienili ton. Zaczęli

Kolumna jeńców niemieckich w Akwizgranie zdobytym przez US Army

FOT. ALAMY/BEGW



wczesnej edukacji w okresie wrażliwych lat. Młody Niemiec w trakcie większości tych wrażliwych lat uczony był, że silny może zniszczyć słabego, że szlachetnym czynem jest szantażowanie, a nawet donoszenie na członka własnej rodziny, że wygranie drogą oszustwa jest równie dobre jak każdym innym sposobem, że dane przyrzeczenie lub słowo honoru winny być dotrzymywane tylko tak długo, jak jest to pomocne dla zrealizowania założonego celu, i mogło być złamane w każdej chwili. Uczono go torturowania i przetrwania tortur. Stale i wciąż mówiono mu, że jest członkiem nadrasa i że ludzie z innych narodów są mniej warci, stworzeni, aby być jego niewolnikami. Został nauczony, aby dla Adolfa

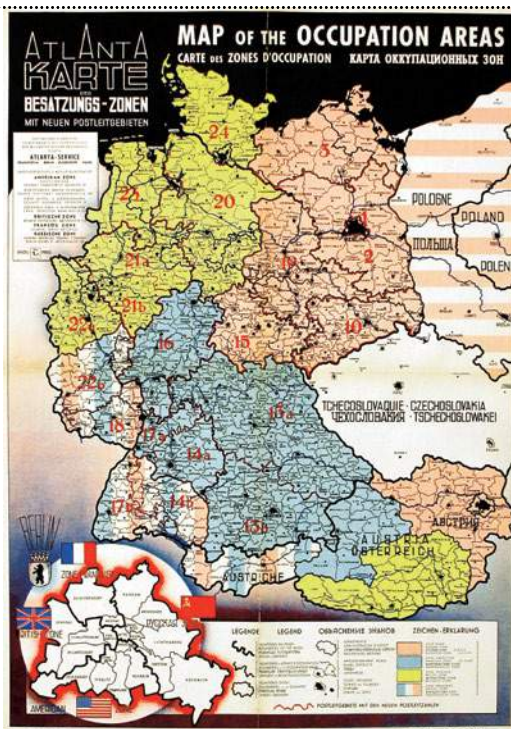
nazywać naszych żołnierzy zdeprawowanymi i brutalnymi produktami gangsterysty i korupcji. Nasi lotnicy przedstawiani byli jako bombardujący jedynie kościoły i szpitale oraz z premedytacją ostrzeliwujący z pokładowych karabinów maszynowych kobiety i dzieci.

Alibi. Niemiecka propaganda przeciwko Ameryce wskazuje, że najsilniejszą bronią wymachiwaną przez państwo nazistowskie, przed wojną i w jej czasie, było kłamstwo. Ta broń nie zniknie wraz z pokonaniem niemieckiego żołnierza i ze wstrzymaniem ognia. Przegrany niemiecki wróg może grać uczuciem sympatii. Pokazał tego typu tendencję po ostatniej wojnie w 1918 r. i można oczekiwać, że znów to zrobi, ale na większą skalę. Przegrywając wojnę, możesz być pewny, że zrobi wszystko, aby wygrać pokój. Na końcu języka może mieć całą serię alibi; nie będą to dobre alibi. Nie po to, abyście kłócili się z wrogiem, ale po to, by znać prawdę o roli twojego kraju w tej wojnie, przeczytaj kilka typowych linii niemieckiej propagandy i amerykańskie odpowiedzi na nie:

Niemcy mówią: To nie my zaczęliśmy tę wojnę. Amerykańska odpowiedź: Niemcy wypowiedziały wojnę USA w grudniu 1941 r., pięć dni po tym, jak niemiecki sojusznik, Japonia, zaatakował Pearl Harbor. Wielka Brytania i Francja weszły do wojny we wrześniu 1939 r., wypełniając obietnicę daną Polsce, po tym jak niemieckie armie bezlitośnie najechały Polskę.

Niemcy mówią: Nawet zakładając, że naziści chcieli wojny, naród niemiecki jako ogół chciał pokoju i teraz po wyrzuceniu nazistów wszystko już będzie piękne. Amerykańska odpowiedź: Oczywiście Niemcy chcieli pokoju, ale pod warunkiem, że mogliby dostać wszystko, co chcieli (światowa dominacja), bez konieczności walki o to. Jest zabawnym przypadkiem, że dwa razy w ciągu generacji naród niemiecki poparł rządy, cesarza oraz Hitlera, które oddane były polityce wywoływania wojen, agresji, brutalności i nienawiści do demokracji.

Niemcy mówią: Dlaczego Amerykanie winni być nieprzyjaźni wobec Niemców? Czyż nie ma X milionów Amerykanów niemieckiego pochodzenia i czyż nie są oni dobrymi obywatelami i dobrymi



ludźmi? Amerykańska odpowiedź: Oczywiście. Ale Niemcy, którzy emigrowali do Ameryki, byli Niemcami kochającymi pokój i nienawidzącymi tyranii. Wielka fala niemieckiej emigracji do USA podążyła za nieudaną rewolucją 1848 r. i składała się z mężczyzn oraz kobiet, którzy pozostawili swoje domy i ruszyli, aby szukać szans w nowym kraju, a nie poddawać się rządowi tyranii. Trudno się dziwić, że krewni tych odważnych ludzi są gotowi podjąć walkę o wolność z każdym.

Niemcy mówią: Na świecie rzeczywistymi nikczemnikami są Żydzi, katolicy, wolnomularze, komuniści, międzynarodowi bankierzy, którzy eksploatują narody i wszczynają wojny. Amerykańska odpowiedź: Hitler powiedział, że jeżeli zaprezentujesz wystarczająco wielkie kłamstwo, to ludzie ci uwierzą. Uczynił zbyt wielu Niemców wierzącymi jego propagandowym kłamstwom na temat różnych ras, wiar i klas. Z tymi kłamstwami nie udało mu się zawładnąć umysłami Amerykanów, Brytyjczyków ani Rosjan. I dlatego przegrał wojnę. Im szybciej naród niemiecki zacznie poznawać prawdę, tym szybciej Niemcy uzyskają szanowaną pozycję w rodzinie narodów. [...]

Zdrowie. Przed wybuchem wojny warunki zdrowotne w Niemczech były dobre. Pomimo że wskaźniki zachorowań są nieco wyższe niż w USA, przeciętna osoba mogła wówczas podróżować po Niemczech bez większego ryzyka niż

w naszym kraju. W miastach woda i restauracje były bezpieczne; na terenach wiejskich mniej pewne. Bez wątplenia warunki pogorszyły się podczas wojny. Obecnie nie można bez ryzyka polegać na dostawach [czystej] wody, a i jedzenie nie jest całkowicie bezpieczne. Pojawił się tyfus i zwiększyła się liczba wszy. Braki mydła obniżyły standard czystości. Choroby stały się bardziej powszechne. Jeżeli zarazisz się chorobą weneryczną, natychmiast zamelduj się celem rozpoczęcia kuracji. Ogólnie, jeżeli będziesz przestrzegał zwykłych procedur armijnych, a w szczególności będziesz unikał nie do końca bezpiecznej wody oraz jedzenia, będziesz dbał, aby nie zarazić się wszami, to nie napotkasz większego ryzyka, jak w każdym innym kraju.

Fakty dotyczące [zawarcia] małżeństwa. Teraz kiedy jesteś na obcej ziemi, powinieneś wiedzieć, że małżeństwo z obcą dziewczyną jest skomplikowaną procedurą. Zanim staniesz się zbyt romantyczny, pamiętaj, że obce dziewczyny w przypadku małżeństwa z Amerykaninem nie zostają automatycznie obywatelkami. Potrzeba trzech lat mieszkania w USA, zanim może ona przystąpić do egzaminu. Tak czy inaczej nie możesz wziąć ślubu bez zgody dowódcy. Nawet z tą zgodą będziesz miał trudności zabrania żony do USA, ponieważ zarówno w czasie wojny, jak i przez dłuższy czas po niej nie będzie gwarancji zabezpieczenia transportu dla osoby będącej na twoim utrzymaniu.

Kolejne rozdziały traktowały o historii Niemiec, klimacie, krajobrazie, systemie monetarnym, miar i wag. Ostatnim rozdziałem był ministrowiczek angielsko-niemiecki i odwrotnie.

Na zakończenie raz jeszcze podkreślę wielką rolę prezydenta Roosevelta w szybkim rozkwicie niemieckiej gospodarki, podniesieniu standardów życia jej poszczególnych obywateli i zaszczepieniu reguł obowiązujących w państwach demokratycznych oraz radykalnym wyciszeniu chęci podbojów. Państwa sąsiadujące z Niemcami odetchnęły z ulgą.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

/ – Powstanie wywołało kilku kompletnie niekompetentnych ludzi. Wbrew logice. I oni, jak ślepcy z obrazu, poprowadzili nas ku tragedii – mówi Stanisław Aronson „Rysiek”

EMIL MARAT, MICHAŁ WÓJCIK: Stanisław Sosabowski „Stasinek” w swoich niepublikowanych wspomnieniach napisał, że gdy 1 sierpnia rano dowiedział się, że zaczynacie, był wstrząśnięty. „Brzmiało to jak wyrok śmierci” – napisał. I dodał, że los wasz i miasta właśnie został przesądzony.

STANISŁAW ARONSON: To jest chyba nieprawda. Nikt nie miał pojęcia, że skończy się to taką tragedią i klęską. Nie aż taką! Że Warszawa zniknie, że 150 tys. ludzi zginie, że z dymem pójdą cała kultura, zabytki, biblioteki. Całe dziedzictwo. Tego ja przynajmniej nie potrafiłem sobie wyobrazić. Nikt nie potrafił.

Ja naprawdę byłem przekonany, że AK to potęga militarna. Tak myślałem. Nie wiedziałem wtedy, że Kedyw, moja jednostka, to jedynie elita elit. Myślałem, że takich oddziałów są setki. I one wszystkie czekają w pogotowiu, szykują broń. I gdy tylko nadejdzie chwila, wszyscy wyjdą na powierzchnię. Pamiętam, że ten dobry nastrój psuły mi plotki. A te już były. Że podobno „Andrzej” jest przeciwko powstaniu, że „Stasinek” też jest sceptyczny. Ale oni byli przeciwni z innych przyczyn: kończy się jedna okupacja, a zaczyna druga. Sowieci, wypierając Niemców i prąc na zachód, aresztując AK-owców. Witanie ich w roli gospodarzy na „odbitym” Niemcom terenie nie bardzo nam wychodzi. Może więc może w trosce o własne bezpieczeństwo nie powinniśmy się ujawniać.

Dzisiaj już wiemy, że nie mieliście żadnych szans.

Powstanie miało potrwać kilka dni i koniec. Kłopoty miały się zacząć dopiero potem, gdy wkroczą Sowieci. Nikt nie przypuszczał, że zanim Sowieci zagnają swoje porządki, Niemcy zniszczą Warszawę do cna. Do cna. Dlatego dziś uważam, że decyzja o powstaniu była zwyczajnie głupia. Zła, nierozważna, ze wszech miar



Prezydent Lech Kaczyński dekoruje Stanisława Aronsona Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, 2007 r. FOT. PAP/PAWEŁ KULA

1944 r. / Fragment książki „Wojna nadejdzie jutro”

rozmawiają Emil Marat i Michał Wójcik

To był koszmarny błąd



krótkowzroczna. Mówię o decyzji. Nie o samej walce. Po prostu do tej walki nie powinno dojść. Mówię to jako długoletni wojskowy, sztabowiec i frontowiec. Nie powinniśmy zaczynać tej walki. Okazało się, że nasi dowódcy byli słabo wyszkoleni, militarnie nieprzygotowani do takiej roli. Do tego dochodzi coś, o czym dziś już możemy mówić. Góra AK to byli megalomani.

W PRL za takie słowa uznano by pana za zwolennika reżimu.

Kiedyś, kiedyś. Ale tak było. Powstanie wywołało kilku kompletnie niekompetentnych ludzi. Wbrew logice. I oni – jak ślepcy z obrazu – poprowadzili nas ku tragedii. Stało się z nimi coś arcy-polskiego: oni oszaleli, zachłystnęli się Polską i oszaleli. Stracili zdolność racjonalnego myślenia. To trzeba wreszcie jasno powiedzieć. Liderzy AK w sposób zupełnie nieodpowiedzialny, szafując życiem setek tysięcy ludzi, rzucili się w szalonej szarży z pięściami na wroga. I jeszcze dali rozkaz, abyśmy my to wykonali. Na tym polega ta tragedia.

Wszyscy działaliście jak zahipnotyzowani.

Ale tak nie wolno mówić. My byliśmy wojsko. Jest rozkaz – robimy. Od myślenia są dowódcy, my – młodzi ludzie – nie mieliśmy obrazu całości. Nikt nie wiedział, nie znał sytuacji. „Stasinek” był starszy, myślę, że miał świadomość, że to jest przegrana sprawa. Ale na pewno by nam tego nie powiedział. No jak to sobie wyobrażacie? Że zbiera nas i mówi: „Słuchajcie, to nie ma sensu”? Zrozumcie: każdy z nas był zaledwie podchorążym! I to podchorążym ze znakiem zapytania. Przecież to nasze wojskowe szkolenie to był śmiech na sali. Wiem, że tego przykro słuchać. Mnie jest przykro mówić. Myśmy szli do powstania, na kilka dni krótkiej wymiany ognia. To była perspektywa najbliższych godzin, dni – nie dalej. W takim razie albo nas dowódcy oszukali, albo sami nie zdawali sobie sprawy! Prawdopodobnie to drugie.

Historia was oszukała.

To potem, bo potem zaczęły się wygibasy intelektualne, jak się z tej katastrofy wytłumaczyć. Dzisiaj interpretacji są setki, jest nawet Muzeum Powstania Warszawskiego, z przekazem dla zwiedzających o niemal zwycięskim zryw. Bohaterskim, heroicznym, arcy-polskim.

Zwycięskim, bo my, Polacy, nigdy się nie poddajemy. Walczymy zawsze. Nie dajemy sobie narzucić niewoli. Ja już tego wytrzymać nie mogę! Trzeba było do tej niewoli nie dopuścić. Znacznie wcześniej. A nie wysyłać potem górnarzy, żeby szli jak kurczaki na rzeź.

Panie Stanisławie, przez lata bronił pan sensu powstania.

Nigdy po powstaniu nie broniłem jego sensu! Przed powstaniem uważałem, że jest to słuszne posunięcie, ale wtedy nie miałem najmniejszej wiedzy o stanie przygotowań. A potem chodziło mi o to, żeby ocalić pamięć tych, którzy zginęli. To była moja główna misja. Zresztą nie tylko moja. Ocalić pamięć. Przynajmniej to zwrócić ofiarom. Powstańcom i cywilom. Ja zawsze byłem skrajnym antykomunistą. Ale w jednym z komunistami muszę się niestety zgodzić. Komuniści zawsze obarczali odpowiedzialnością za klęskę powstania dowództwo AK. Dzięki temu mogli jakoś wytłumaczyć swoją beczynność, gdy stali po drugiej stronie Wisły. Przez lata

propaganda czerwonych mówiła o bohaterskich szeregowcach czy podchorążych i zbrodniarzach generałach czy pułkownikach. Ja tak tego nie powiem, ale to, że nasi dowódcy zrobili koszmarny błąd, to dziś przyznaję. To był błąd, który zaważył na historii Polski na całe najbliższe stulecie!

Jednak wielu publicystów, w ślad za Jarosławem Markiem Rymkiewiczem, twierdzi, że klęska powstania zadziałała jak antysowiecka szczepionka, że dzięki klęsce Polska odniosła zwycięstwo na innym, metafizycznym poziomie. Nie dała się przez kolejnych 45 lat skomunizować. Zachowała swój katolicki, zachodni fundament.

To jest mit! To jest absolutny mit, że Polacy obronili przed Sowietami swoje dusze. Niestety nie. Komunizm doskonale się w Polsce przyjął. Nie byliśmy impregnowani. Mnie się zdaje, że ta „powstańcza” szczepionka nie zadziałała. Zgadza się z gen. Andersem, który powiedział, że pada na kolana przed bohaterstwem powstańców, ale uważa, że samo powstanie to zbrodnia, a ci, którzy je wywołali, to zbrodniarze.



Ruiny Starego Miasta po Powstaniu Warszawskim FOT. WIKIPEDIA

■ Czy powstanie ocaliło w Polakach instynkt wolności? Powstanie Warszawskie jako mit założycielski nowej Polski...

Skąd Rymkiewicz tak doskonale zna polskie dusze? To może dobrze brzmi, ale to jest tylko atrakcyjna figura intelektualna. Jeśli coś ma być kamieniem węgielnym, to niech to będzie fenomen konspiracji. Nie powstanie, czyli klęska, ale sama konspiracja, budowanie Polskiego Państwa Podziemnego. To jest coś wielkiego, o czym Polacy powinni pamiętać. Że mimo terroru, mimo dwóch okupacji powstało Polskie Państwo Podziemne, organizacja, struktury. Próbowano ratować ludzi, dobra kultury, język. Działo szkolnictwo. To był wielki wysiłek setek tysięcy bezimiennych cywili. To powinno stać na piedestale pamięci, a nie sierpniowa jatka i zniszczenie. Polacy od lat żyją kultem wojny i wojskowości. Przesadzają.

A polityczne znaczenie powstania?

Przez lata historycy w ten sposób bronili sensu Godziny „W”. Że AK, wykorzystując wycofywanie się Niemców z Warszawy, miała przejąć nad miastem kontrolę i już w roli gospodarza przywitać Armię Czerwoną. Dać im klucze do miasta. Dzisiaj pytam, czy to w ogóle miało sens. Klucze to oni sami sobie wzięli, Polska już była oddana Sowietom we władanie. Sprawa była przegrana.

No właśnie, a co z nadal popularną tezą o zdradzie aliantów?

Tak, wiem. Ja też miałem straszny żal do aliantów, że nas oddali. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że Zachód grał przeciw w swoim interesie. W latach 1943 i 1944 cały czas istniała obawa, że jeżeli Churchill będzie stawiał Stalinowi warunki, to ten może znowu się odwrócić i dogadać z Hitlerem. Już raz się dogadał, był nieobliczalny. Kierowała nim zimna logika. I to niestety on miał karty w ręku, alianci mieli karty gorsze. Roosevelt się bał, że jeśli Stalin zacznie kręcić nosem, to może jeszcze zginie pół miliona amerykańskich chłopców, takie będą koszty. I jeśli Polska miała być ceną za porozumienie ze Stalinem, to trzeba było tę cenę zapłacić. To dla nas przykre, ale należy zrozumieć amerykańskie i brytyjskie argumenty. Taką jest polityka. I dlatego to zawołanie, te lamentacje, że Zachód nas zdradził, nie mają żadnego sensu. Zachód zrobił wtedy wszystko, aby działać we wła-



snym interesie. Na przyszłość bądźmy w zgodzie z Zachodem, zawsze działajmy razem, bądźmy wręcz tym Zachodem, a nie jakimś osobnym centrum, bądźmy częścią wielkiej wspólnoty, to nikt więcej nas nie zdradzi.

Wróćmy do powstania. Wtedy, 10 sierpnia, jednak pan nie umarł [Stanisław Aronson został tego dnia ciężko ranny w boju z Niemcami – przyp. red.].

Wylądowałem w szpitalu polowym na Starym Mieście, przy ul. Długiej 7. Ocknąłem się po dniu, może dwóch. Okazało się, że w międzyczasie chcieli mi amputować nogę. Rana była paskudna, a w warunkach polowych operacja groziła śmiercią. Dziesięć centymetrów nad kostką była jedna wielka miazga. Ale lekarze jakoś mi tę nogę złożyli, potem wstawili w gips aż do biodra. Jeśli chodzi o kłatkę piersiową, to nie oberwałem w serce, tylko nad nim. I nie był to jeden odłamek, ale dwa kawałki metalu. No ale, jak widzicie, żyję. Od czasu do czasu mogę sobie te dwa kawałki granatnika pooglądać na zdjęciach rentgenowskich. Siedzą tam, skurczybyki.



STANISŁAW ARONSON,
EMIL MARAT,
MICHAŁ WÓJCIK
„WOJNA NADEJDZIE JUTRO”
ZNAK

Resztę powstania spędził pan w łóżku szpitalnym.

To jest temat na powieść. Życie w bombardowanej Warszawie z perspektywy łóżka w piwnicy. Byłem do niego przykuty. Gips był ciężki. Poza tym gdzie ja miałem chodzić na spacer? Piwnica była koszmarna, życie tam było straszne. Przybywało rannych, rozmowy stawały się coraz bardziej dramatyczne. Przychodzili do mnie koledzy, opowiadali, co tam na froncie, aż w końcu się okazało, że Starówka bronić się już nie może. Pamiętam, że pewnego dnia po prostu zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Bo do tej pory był nieustający jazgot bomb, serii karabinowych. I nagle przerażająca cisza.

Gdy do środka wpadli esesmani, to miała być moja druga czy trzecia śmierć. Ale wtedy uratowali nas niemieccy jeńcy. Zaczęli krzyczeć, że tu są i że personel szpitala ich uratował, żeby nie strzelać.

Ktoś wrzasnął „Raus!” i wtedy wykuśtykałem z tej piwnicy, z tego piekła. Znowu miałem szczęście. Znalazłem dwie miotły. Wsadziłem je pod pachy i na takich kulach zacząłem iść przez gruzy.

Warszawa w tym czasie przeszła metamorfozę.

Wokół mnie rozciągała się scenografia filmu. Nie byłem w Warszawie, ale na planie wielkiej produkcji wojennej. Wspañiale wypalone ruiny, pokruszone cegły ułożone tak, aby to ładnie wyglądało na ekranie, potęgą grozy. Doskonały scenarzysta to wymyślił. Ja byłem brudny, nieogolony, prawie na golasa. Najpierw

„Szary Wilk” – zdobyty przez powstańców niemiecki transporter opancerzony Sd.Kfz.251 FOT. WIKIPEDIA



szedłem w tłumie, potem w coraz mniejszych grupkach, w końcu na tyle odsta- wałem, że kuśtykałem już sam. Pewnie by mnie jakiś litościwy Niemiec dobił, ale po wielu godzinach takiego kuśtykania znalazła się furmanka, zawieźli mnie do Zakładu dla Umysłowo Chorych w Twor- kach. To był ten słynny dom wariatów, bardzo adekwatne miejsce dla takich jak ja.

Tworaki jako przystań dla AK?

Sterylnie, czyściutko, cicho. Zupełne przeciwieństwo tego piekła na Starówce. Można zatem powiedzieć, że znalazłem się w niebie. I to dosłownie, bo zdarzył się cud. Jeszcze tego samego dnia patrzę i oczom nie wierzę. Do mojej sali wnoszą Olgierda. Mojego „Remeca”! Okazało się, że on na Starówce leżał w szpitalu obok i gdy weszli tam Niemcy i zaczęli zabijać jeńców, to on nad głową jednego z katów zrobił znak krzyża. Ten zapytał go, co to ma znaczyć, „Remec” mu na to, że go roz- grzesza. Wywiązała się rozmowa, która uratowała mu życie. Wnieśli go jako księdza. Odtąd byliśmy już razem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Stanisław Aronson „Rysiek”

– był żołnierzem Kedywu. Brał udział w akcjach dywersyjnych oraz likwidacjach konfidentów gestapo. Ciężko ranny w po- wstaniu, po wojnie należał do organizacji Nie. Wyjechał do Izraela, gdzie walczył w kilku wojnach izraelsko-arabskich. Mieszka w Tel Awiwie.

Powstańcy przeciwko powstaniu



Piotr Zychowicz

Dyskusja na temat sensu decyzji o wywołaniu Powstania Warszawskiego toczy się od 75 lat. Po jednej stronie stoją realisci, którzy wyliczają apokaliptyczne skutki powstańczej klęski – śmierć 150 tys. cywili, zniszczenie Armii Krajowej, zburzenie Warszawy wraz z jej zabytkami, kościołami, bezcennymi zbiorami sztuki. Wyróżnienie polskiej elity, gehennę naszej wspaniałej młodzieży. Po drugiej stronie barykady stoją romantycy, którzy dowodzą, że krwawe katastrofy i klęski tworzą wspaniałe mity, które są niezbędne narodowi polskiemu. W krwawej łaźni roku 1944 widzą źródło sukcesu roku 1989.

Czytelnicy „Historii Do Rzeczy” wiedzą, że w tej wielkiej polsko-polskiej debacie opowiadam się po stronie realistów. Uważam, że klęski nie czynią narodów silniejszymi, ale znacznie, znacznie słabszymi. Szczególnie klęski o takich przerażających rozmiarach jak Powstanie Warszawskie. W trakcie rozmaitych dyskusji ze strony romantyków często słyszałem jednak następujący zarzut: „Nie wolno krytykować decyzji o wywołaniu powstania, bo to robi przykrość weteranom”. Cóż za niedorzeczność!

Powstańcy warszawscy – tak jak wszyscy Polacy – również są podzieleni w sprawie oceny decyzji Komendy Głównej AK. Autorami dwóch najlepszych książek o Powstaniu Warszawskim napisanych na emigracji byli ekspowstańcy – prof. Jan Ciechanowski i prof. Janusz Zawodny. Obaj byli zdecydowanymi krytykami fatalnej w skutkach decyzji o wydaniu Niemcom bitwy na ulicach milionowego miasta. Podobne stanowisko zajmowali Stanisław Likiernik i wielu innych weteranów AK.

Między innymi Stanisław Aronson „Rysiek”. Legendarny żołnierz Kedywu, ciężko ranny w trakcie powstania. Prawy, dobry człowiek. Bohater. W wywiadzie rzece, którego udzielił Michałowi Wójcikowi i Emilowi Maratowi, Stanisław Aronson tłumaczy, dlaczego powstanie nie mogło się powieść, a jego wywołanie było aktem braku odpowiedzialności.

„Wojna nadejdzie jutro” to książka nie tylko dla realistów, którzy po jej lekturze tylko utwierdzą się w swoich poglądach. To książka również dla romantyków. Panie i Panowie – przeczytajcie ją, proszę. Może głos żołnierza Armii Krajowej, człowieka, który sam przeżył powstańczy koszmar, skłoni was do przemyśleń i refleksji na temat wielkiej polskiej tragedii sprzed 75 lat. © ©



Żołnierze Batalionu „Gustaw” podczas Powstania Warszawskiego FOT. WIKIPEDIA

Powstanie Warszawskie / Kim był oficjalny łącznik Armii Czerwonej

Posłaniec Stalina



Mikołaj Iwanow

/ Lejtnant Iwan Kołos miał przedłużyć agonie Warszawy...

Historia najtragiczniejszego polskiego zrywu narodowego – Powstania Warszawskiego – nadal zawiera wiele tajemnic. Jedna z nich dotyczy

oficjalnego łącznika, przedstawiciela dowództwa Armii Czerwonej w Warszawie Iwana Kołosa. Kim był ten człowiek? Jakie dokładnie zadanie otrzymał? Jaką rolę odegrał w tragicznym zakończeniu powstania?

Na początku zwróćmy uwagę na rzecz zupełnie paradoksalną. Iwan Kołos był zawodowym agentem, który za swe czyny, również w Warszawie, został odznaczony najwyższą nagrodą – Złotą Gwiazdą Bohatera Związku Sowieckiego. Nagrodę tę dostał nie w czasie wojny, ale w roku 1994, gdy był pułkownikiem GRU (wywiadu wojskowego). Nie został bohaterem upadłego Związku Sowieckiego, ale

Federacji Rosyjskiej. Swoją złotą gwiazdę otrzymał z rąk Borysa Jelcyna tuż po rozpadzie Związku Sowieckiego, kiedy wydawało się, że rozpadnie się także sama Rosja. Oficjalnie Kołosa nagrodzono za całokształt jego działalności wywiadowczej, ze szczególnym uwzględnieniem jego misji warszawskiej. Co to była za misja, co za bohaterski czyn Kołosa zdarzył się w Warszawie 75 lat temu?

Nie było przypadkiem, że właśnie Kołosowi powierzono skomplikowane zadanie nawiązania kontaktu z dowództwem Armii Krajowej i przekonanie go o rychłej odsieczy ze strony Armii Czerwonej. Pochodził z polskiej katolic-

kiej rodziny na tzw. dalszych kresach (Homelszczyzna). Język polski nie był mu obcy. Zdążył nawet przez kilka lat uczęszczać do polskiej szkoły sowieckiej, powołanej do życia w ramach tzw. korelizacji, próby założenia polskiej autonomii socjalistycznej. Wtedy na Białorusi powstał polski rejon narodowościowy, tzw. Dzierżyńszczyzna, i ponad 40 polskich autonomicznych rad wiejskich, z czego 10 znajdowało się na Homelszczyźnie. Ten sowiecki eksperyment zaszczerpienia Polakom-kresowiakom ideologii komunistycznej skończył się niepowodzeniem. Przeważająca liczba Polaków pozostała wierna polskości tradycyjnej i Kościołowi katolickiemu. To z kolei doprowadziło do straszliwych represji w ramach tzw. operacji polskiej. Zginęło ponad 200 tys. Polaków.

Dzisiaj w rodzinnych Lelczycach Kołosa zorganizowano parafię katolicką, od podstaw zbudowano nowy kościół. Polskość się odradza, polskość, którą ten młody człowiek zdradził.

Jak się później okazało, w przypadku nie wszystkich Polaków-kresowiaków ten sowiecki eksperyment wdrożenia polskiej autonomii i komunistycznej indoktrynacji się nie powiódł. Iwan (prawdopodobnie zmienił sobie imię z Jana, które otrzymał po urodzeniu) Kołos uległ naciskom indoktrynacyjnym, zsołwityzował się i został przekonany, że komunizm. Dlatego jego wybór na negocjatora z powstańcami z punktu widzenia sowieckiego dowództwa był uzasadniony. Kapitan Kołos został zrzucony ze spadochronem do walczącego Śródmieścia w nocy z 20 na 21 września 1944 r., kiedy powstanie praktycznie dogasało. Niektóre źródła podają, że Kołos miał w Armii Czerwonej w tym momencie stopień lejtnanta (porucznika), a stopień kapitana nadano 21-letniemu wówczas wywiadowcy umownie w celu podniesienia jego autorytetu w oczach dowództwa powstańczego.

Gra pozorów

Misja Kołosa była ze strony Stalina i dowództwa sowieckiego kontynuacją gry pozorów, którą sowiecki przywódca prowadził od pierwszego momentu, kiedy dowiedział się o powstaniu. Stalin jeszcze 3 sierpnia w rozmowie z premierem polskiego prawowitego rządu Stanisławem Mikołajczykiem powie-



Iwan Kołos FOT. ARCHIWUM

dział: „Gorąco pragniemy pomóc waszej armii w Warszawie... Mamy nadzieję, że 5 lub 6 sierpnia opanujemy waszą stolicę, lecz Niemcy bronią jej bardziej zaciekle, niż się spodziewaliśmy. Zdobycie miasta nastąpi więc z niewielkim opóźnieniem”. Podobne zwodzenie Polaków, a także zachodnich sprzymierzeńców – zarówno Polski, jak i Związku Sowieckiego – trwało od pierwszego do ostatniego dnia powstania. Iwan Kołos miał w tym zwodzeniu odegrać kluczową rolę. Miał przekonać Polaków, że muszą nadal walczyć – aż do ostatniego Polaka. Miał przedłużyć agonię Powstania Warszawskiego tak długo, jak tylko to było możliwe.

Naiwnością ze strony wojskowego kierownictwa powstania i osobiście ze strony gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego było również liczenie na rychłą pomoc powstaniu i zwleknięcie z decyzją o kapitulacji. Liczne depesze generała do dowództwa I Frontu Białoruskiego marszałka Rokossowskiego i wysyłanie patroli łącznikowych na stronę sowiecką tylko potwierdzają tę naiwność.

Stalin natomiast w celu zmylenia sojuszników zachodnich i powstańców zdecydował we wrześniu o udzieleniu ściśle dozowanej pomocy powstaniu. Cel – jedynie przedłużyć jego agonię. Desanty berlingowców w połowie września miały

ograniczony charakter i tworzyły kolejną iluzję, że pomoc powstańcom wkrótce nadejdzie.

Pomimo gorących obietnic Stalina przyjscia z pomocą powstaniu, składanych na początku sierpnia w rozmowach ze Stanisławem Mikołajczykiem, i późniejszych zapewnień o nadejściu pomocy żadnego wsparcia w całym pierwszym miesiącu powstania Warszawa nie dostała. Późniejsza pomoc – we wrześniu – została wymuszona na Stalinie przez aliantów, głównie przez Churchilla. W swych wspomnieniach wojennych pisze on, że w połowie sierpnia zastanawiał się nad zatrzymaniem wszystkich morskich konwojów płynących z uzbrojeniem i zaopatrzeniem dla Armii Czerwonej do portów rosyjskich. Byłby to realny, skuteczny środek nacisku na Kreml, którego Stalin nie mógłby zignorować.

Ani Stalin, ani członkowie kierownictwa partii komunistycznej nie taili swego absolutnie negatywnego stosunku do powstania, piętnowali jego inicjatorów i kierowników jako „zacieklých” wrogów ZSRS, dążących jedynie do osiągnięcia wąskich egoistycznych korzyści politycznych, które są rozbieżne z ogólnymi celami antyhitlerowskiej koalicji na

czele z Wielką Brytanią, ze Stanami Zjednoczonymi i z ZSRS. Stalin napisał o tym postawie w swym postanowie do premiera Mikołajczyka z 16 sierpnia 1944 r.: „[...] akcja warszawska, która została podjęta bez wiedzy i łączności z dowództwem sowieckim, stanowi lekkomyślną awanturę, która spowodowała pozbawienie sensu straty wśród ludności. Do tego należy dodać oszczerczą kompanię prasy polskiej, która sugeruje, że jakoby dowództwo sowieckie oszukało warszawiaków. Na skutek tego wszystkiego dowództwo sowieckie postanowiło otwarcie odciąć się od warszawskiej awantury, ponieważ nie powinno i nie może ono ponosić jakiegokolwiek odpowiedzialności za sprawę warszawską”.



Złota Gwiazda, odznaczenie rosyjskie
FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ Czytamy o tym również w specjalnym oświadczeniu TASS z 12 sierpnia 1944 r.: „TASS jest poinformowana, że ze strony londyńskich kół polskich, ponoszących odpowiedzialność za wydarzenia w Warszawie, nie czyniono żadnych prób, aby zawczasu powiadomić i uzgodnić z sowieckim dowództwem wojskowym jakiegokolwiek wystąpienia w Warszawie. Wobec powyższego odpowiedzialność za wydarzenia w Warszawie spada wyłącznie na polskie koła emigracyjne w Londynie”.

Są to dokumenty oficjalne. Natomiast o wiele bardziej otwarcie stanowisko Stalina i władz sowieckich wobec powstania wyrażała posłuszna partii prasa sowiecka. „Prawda”, „Izwestija” i inne liczne centralne oraz regionalne pisma z tego okresu obfitują w oszczerce artykuły antypolskie. Rząd londyński w tych artykułach nazywano „kliką” grającą na korzyść faszystów niemieckich, a samo powstanie określano jako „zbrodniczą awanturę”.

Falszywki Kołosa

Misja Kołosa harmonijnie wpisuje się w tę propagandową kampanię oczerniania powstańców i ich dowódców. Miał on dostarczyć koordynatorom tej antypolskiej kompanii niezbędnych informacji, potwierdzających jej podstawowe założenia. I ze swego zadania wywiązał się wzorowo, mimo że jego informacja w rzeczywistości była skrupulatnie spreparowaną dezinformacją. W jednym ze swych raportów pisał: „Kierownictwo AK, działając według wskazówek rządu londyńskiego, prowadzi otwartą agitację antysowiecką wśród powstańców i ludności cywilnej. Wysunięto hasło »stworzenia drugiego cudu nad Wisłą«, aby nie wpuścić Rosjan do Warszawy. Propaganda AK stwierdzała, że Armia Czerwona będzie przeprowadzać masowe wywózki Polaków z Polski na Syberię i zasiedlenie polskich ziem Rosjanami. Niejednokrotnie przypomniano Katyń...”.

Jeśli wierzyć Kołosowi, to Armia Krajowa miała zamiar walczyć w obronie Warszawy zarówno z Wehrmachem, jak i z Armią Czerwoną. Dlatego treść podobnej depechy można ocenić w kategoriach albo skrajnej niekompetencji, albo świadomej falsyfikacji w celu oczernienia Armii Krajowej.



Inne informacje, dostarczane przez Iwana Kołosa, również nie wyróżniają się prawdziwością ani wnikliwą oceną sytuacji. „W początkowym okresie powstania – pisał – Związek Sowiecki i Armia Czerwona w odróżnieniu od Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych stały się obiektem licznych oskarżeń za unikanie niesienia pomocy powstańcom. Po rozpoczęciu akcji sowieckiej dostarczania pomocy Warszawie kierownictwo AK ciągle stwierdzało, że zrzucone ładunki są angielskiego pochodzenia, że najpierw są dostarczane do Moskwy, a stąd przywożą je samoloty sowieckie. Reakcyjne organizacje polityczne kierowały specjalnie przygotowanych propagandystów, którzy spotykali się z ludnością Warszawy, aby nastawiać ją przeciwko Armii Czerwonej. Jak wiadomo, samoloty sowieckie zrzucały ładunki z małej wysokości bez spadochronów. Dlatego niektóre ładunki były uszkodzone. Natomiast wspomniani wyżej propagandyści tłumaczyli, że uszkodzone ładunki są sowieckie, a te, które wytrzymały, angielskie, zapakowane dobrze”.

Inne fragmenty doniesień Kołosa trudno ocenić inaczej niż jako otwartą falsyfikację. „Cała ludność ukraińska – depešowała – która pozostała w mieście, została wyróżniona i rozstrzelana. Oddziały PKB (Państwowy Korpus Bezpieczeństwa) również zniszczyły resztki Żydów, których nie zdążyli zniszczyć Niemcy. PKB przeprowadzał specjalne łapanki na jeńców sowieckich, którzy uciekli z niewoli niemieckiej. Dążono do złapania zakładników dla następnej wymiany z Armią Czerwoną”.

Gwoli sprawiedliwości odnotujmy, że podczas swej misji Kołos był aktywnym uczestnikiem i organizatorem procesu ograniczonej współpracy między AK

a Armią Czerwoną, przekazywał liczne prośby dowództwa AK o pomoc. Dzięki swej radiostacji koordynował ogień sowieckiej artylerii ze wschodniego brzegu Wisły, wskazywał miejsca zrzutów broni, amunicji i zaopatrzenia dla powstańców, informował dowództwo I Frontu Białoruskiego o rzeczywistym położeniu walczących stron. Dwukrotnie spotkał się z Borem-Komorowskim, którego zapewniał o rychłym nadejściu realnej zdecydowanej pomocy. Był z powstańcami aż do kapitulacji. Dopiero 2 października wyszedł kanałami nad Wisłę i przepłynął na wschodni brzeg.

Rozmowy kapitulacyjne z Niemcami już trwały, kiedy Iwan Kołos przybył do Warszawy ze swą misją. Jego przybycie dało powstańcom nową nadzieję, nadzieję, że Armia Czerwona wreszcie przejdzie do zdecydowanego natarcia. Nadzieje te okazały się płonne. Jednak Kołosowi udało się przedłużyć walkę. W Moskwie uznano, że swe zadanie wykonał on wzorowo. Zdecydowano uhonorować go najwyższym odznaczeniem sowieckim – Złotą Gwiazdą Bohatera Związku Sowieckiego. Przygotowano wszystkie niezbędne dokumenty. Stalin jednak w związku z krytyką przez zachodnich sojuszników postawy ZSRS wobec powstania zdecydował sprawę odznaczenia odłożyć na później. Nie chciał denerwować Churcilla z Rooseveltem. Jak się okazało – na długie lata. Swą Złotą Gwiazdę Iwan Kołos otrzymał 50 lat później, z rąk przywódcy nowej postkomunistycznej Rosji. Czy świadczy to o tym, że stosunek do Powstania Warszawskiego w Moskwie nie zmienił się od czasów Stalina?

Powstanie Warszawskie stało się dla Stalina unikalną okazją do zniszczenia rękami Niemców elity niepodległościowej narodu polskiego, potencjalnych kandydatów do nowego Katynia. Był to dla Stalina prezent, umożliwiający mu zaoszczędzenie sił i środków w procesie powojennej sowietyzacji Polski. Prezent ten był o tyle ważny, że gdyby powstania nie było, dla Stalina warto by było je wymyślić czy sprowokować. Nie mamy dowodów z archiwów sowieckich o tym, że liczne wezwania Radia Moskiewskiego i Radiostacji im. Tadeusza Kościuszki, należącej do Związku Patriotów Polskich, do rozpoczęcia antyniemieckiego powstania w Warszawie stanowiły jedną wielką prowokację, ale podobne wnioski bezsprzecznie się nasuwają.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

kebu

ZAKLINACZ SYNTEZATORÓW
WYSTĄPI W POLSCE!

12 października 2019
Klub Progresja
Warszawa

BILETY: PRESTIGEMJM.COM



Prestige
MJM

REGENT
WARSAW HOTEL

wprost

DO RZECZY

WP

cgm.pl

STRÖER

VIXON

PRESS
SERVICE

pap



PLYTA JUŻ W SPRZEDAŻY

HYMN

SARAH BRIGHTMAN

IN CONCERT

6 LISTOPADA 2019
COS TORWAR WARSZAWA
BILETY: PRESTIGEMJM.COM

WWW.SARAHBRIGHTMAN.COM

SWAROVSKI

Prestige
MJM

uta
UNITED TALENT
AGENCY

REGENT
WARSAW HOTEL

Classic

wprost

DO RZECZY

GAZETA BANKOWA

T3

WP

cgm.pl

STRÖER

VIXON

PRESS
SERVICE

pap

TVS

TVORUN

Grupa Mediów

pre-art



Amerykańscy jeńcy w Korei Północnej, którzy odmówili powrotu do Stanów Zjednoczonych
FOT. RAREHISTORICALPHOTOS

Zdrada / Tajemnica Harolda Webba

Jankes w PRL



Marcin Bartnicki

z nich krytykował amerykański kapitalizm i imperializm.

Niewola w Korei

Gdyby w sierpniu 1949 r. ktoś powiedział 17-letniemu Haroldowi Webbowi, że przejdzie na stronę komunistów i zamieszka w Polsce, ten musiałby uznać go za wariata. Harold pracował wtedy w zakładzie blacharskim w Miami i właśnie zaciągał się do wojska. Historia potoczyła się jednak bardzo szybko. Jego jednostkę wkrótce wysłano do Korei. W grudniu 1950 r. jego oddział został otoczony i 19-letni wówczas wojskowy kucharz Webb znalazł się w niewoli.

Spośród ponad 7 tys. amerykańskich żołnierzy, którzy dostali się w ręce koreańskich i chińskich komunistów,

/ W 1970 r. w katowickiej PZPR pojawił się niezwykle człowiek. Był amerykański żołnierz. Komunistą, który na nową ojczyznę wybrał najpierw Koreę Północną, a następnie rządzoną przez Gomułkę Polskę Ludową

W roku 1972 Harold Webb tak pisał w „Trybunie Robotniczej”: „Przemysł naftowy posiada ponadto w Kongresie tak silne »lobby«, że udało mu się osiągnąć uchwalenie aktów prawnych zapewniających

wielkie przywileje podatkowe. Obecnie wielkie spółki naftowe w kraju ponoszą proporcjonalnie mniejsze ciężary z tytułu podatków niż niejedna amerykańska rodzina o średnim dochodzie”. Był to ostatni z serii kilkudziesięciu artykułów opublikowanych przez Amerykanina na łamach gazety od 1969 r. W większości

ponad 2 tys. zmarło z wycieńczenia i na skutek warunków panujących w obozach. Początkowo Koreańczycy część z nich – najsłabszych i rannych – zabijali na miejscu. Pięciuset zginęło w czasie Marszu Śmierci Tygrysa – to 300-kilometrowa wędrówka na północ, na mrozie i niemal bez jedzenia.

Sytuacja poprawiła się, gdy władzę nad jeńcami przejęli Chińczycy. Chińscy komuniści wprowadzili w obozach system reedukacji okreśłany terminem *xinào*, oznaczającym dosłownie „pranie mózgu”. Projekt oparty na łączeniu dobrego zaplanowanego przekazu propagandowego z systemem nagród i kar, w tym tortur, został stworzony dla wszystkich wrogów komunistycznej rewolucji. Amerykańscy żołnierze należeli więc do licznych więźniów, którzy mieli stać się częścią komunistycznego społeczeństwa, po odpowiednim „wyprostowaniu” ich poglądów na świat. Więźniów nazywano studentami, poprawiającym warunkami ich życia, ale jednocześnie za odmowę współpracy karano wymyślnymi torturami, w których ważniejsze od bólu było upokorzenie.

Część jeńców zaczęła współpracować, co było szokiem dla amerykańskiej opinii publicznej. Terminu „pranie mózgu” w języku angielskim po raz pierwszy użył Edward Hunter w 1950 r. Pracował dla CIA i do Korei pojechał pod przykrywką pracy dziennikarskiej. „Pranie mózgu” nie oznaczało jednej konkretnej techniki, ale cały zestaw działań, których celem miało być przeciąganie jeńców na stronę komunistów.

Chińczykom udało się skutecznie przeprowadzić takie „pranie mózgu” wobec 21 żołnierzy, pozostali po podjęciu przejściowej współpracy zdecydowali się wrócić do USA. Tych, którzy odmówili, początkowo przetrzymywano niedaleko Panmundżom, gdzie trwały rozmowy pokojowe. Strona amerykańska, która negocjowała ich powrót do kraju, wpadła w konsternację, gdy więźniowie po 90 dniach, w których mogli podjąć decyzję o swoim dalszym losie, odmówili powrotu do ojczyzny. W styczniu 1954 r. odrzucili ostatni apel amerykańskich władz o powrót do kraju, miesiąc później byli już w Chinach. Jednym z Amerykanów, którzy wybrali ucieczkę do „komunistycznego raju” zamiast wygodnego życia w USA, był Harold Webb.

Skutecznej reedukacji udało się ostatecznie dokonać zaledwie na 21

osobach spośród niemal 12 tys. więźniów zwolnionych po wojnie, co powinno w zasadzie oznaczać całkowitą porażkę programu reedukacji wobec schwytanych żołnierzy. Szczególnie że w tym samym czasie 22 tys. chińskich jeńców postanowiło skorzystać z zaproszenia rządu USA i osiedlić się w Ameryce. Nikt oczywiście nie zmuszał ich do tego torturami. Decyzja rodowitych Amerykanów, którzy wybrali komunistyczne Chiny zamiast Stanów Zjednoczonych, była tak nieracjonalna, że wydawała się niemal niemożliwa do wyjaśnienia. Dlatego tak dużą popularność zyskała teoria „prania mózgu”, której popularne znaczenie oderwało się od programu stosowanego przez Chińczyków.

Termin ten pojawiał się w mediach i w dyskursie naukowym wielokrotnie jeszcze w latach 60. i 70. za każdym razem, gdy pozornie nieracjonalnego działania nie dało się wytłumaczyć opinii publicznej w inny, prosty sposób. Przykładowo gdy młodzi ludzie pochodzący z „normalnych” rodzin z klasy średniej porzucali wygodne życie, aby przyłączyć się do sekt religijnych lub hippisowskich komun. W Polsce teoria prania mózgu pojawiła się na szerszą skalę w latach 90., gdy próbowano wyjaśnić wzrost popularności grup religijnych, zarówno tych o genezie chrześcijańskiej, jak i zupełnie egzotycznych. Oczywiście przypisywane im „pranie mózgu” nie miało już prawie nic wspólnego z systemem przesłuchań, tortur i perswazji stosowanymi przez Chińczyków w Korei.

Wrażenie propagandowe, jakie zrobiło przejście 20 Amerykanów i jednego Brytyjczyka na stronę komunistów, było tak wielkie, że CIA stworzyła własny program badań nad metodami prania mózgu. Efektem trwającego od 1950 do 1962 r. projektu jest „KUBARK” – tajny (obecnie odtajniony) dokument CIA zawierający instrukcje skutecznych metod przesłuchań. Wskazane w nim techniki trudno określić inaczej niż jako tortury. Jeszcze bardziej kontrowersyjny program badań nad możliwością kontrolowania umysłu – MK Ultra – zakładał, poza torturami, m.in. stosowanie narkotyków i hipnozy. W ramach programu przeprowadzono serię kontrowersyjnych, nieetycznych eksperymentów. Mimo że wstrzymano go oficjalnie w 1953 r., CIA podejmowała kolejne podobne działania do lat 70. Sam MK Ultra

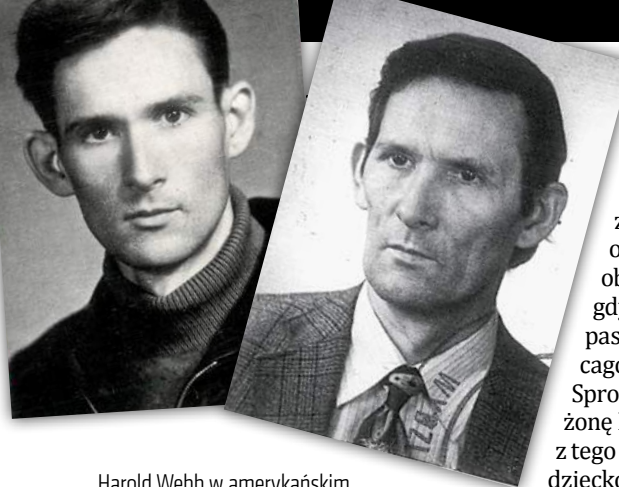
do dziś otoczony jest licznymi legendami i stanowi oddzielny, intrygujący temat.

Fanatyk Gomulki

Wątpliwa skuteczność chińskich metod została jeszcze bardziej podważona, gdy Amerykanie, którzy przeszli na stronę komunistów, zaczęli wracać do USA, nawet za cenę bycia sądzonym za zdradę. Inny kierunek wybrał Harold Webb. Najpierw przez dwa lata uczył się mandaryńskiego, a następnie rozpoczął studia na uniwersytecie w Wuhan. Ukończył tam anglistykę, a w 1960 r. poznał grupę studentów z Polski. W Chinach Mao Zedong realizował właśnie katastrofalny w skutkach „Wielki Skok”. Dokładne motywy wyjazdu Webba do Polski nie są już możliwe do odtworzenia, ale zarówno miłość do przyszłej żony, jak i chęć opuszczenia Chin znajdujących się w dramatycznym położeniu pod rządami Mao nie musiały się przecież wykluczać. Młode małżeństwo wyjechało do Katowic, gdzie Harold ubiegał się o azyl.

Amerykanin został w Polsce nauczycielem w Ośrodku Nauki Języków Obcych przy Związku Nauczycielstwa Polskiego. W Katowicach był osobliwością, więc szybko zyskiwał popularność. Prowadził m.in. kolonie językowe, które dawały możliwość intensywnej nauki języka angielskiego, co w latach 60. było w Polsce ewenementem.

W wywiadzie udzielonym w czerwcu 1969 r. amerykańskiej lokalnej gazecie „Desert Sun” stwierdził, że nie chce wracać do USA. Miał wtedy 37 lat, mieszkał z drugą żoną (z pierwszą rozwiódł się rok wcześniej) w trzypokojowym mieszkaniu w Katowicach i zarabiał 3,5 tys. zł (równowartość 144 dol.) miesięcznie. „Mówią, że komuniści wyprali nam mózgi. To nieprawda” – stwierdził w wywiadzie Webb. Wyjaśniał, że jako więzień w obozie jenieckim „po raz pierwszy w życiu miał szansę pomyśleć”. Webb był nastolatkiem, gdy trafił do niewoli, edukację zakończył w wieku 16 lat, porzucając szkołę. W USA znajdował się na dole drabiny społecznej. Był więc idealnym kandydatem do reedukacji. Sprawę pogorszyły jeszcze działania Amerykanów. Jak twierdził Harold Webb, ich samoloty zupełnie świadomie bombardowały linie zaopatrzenia obozów jenieckich i transporty z żywnością dla więźniów, co przekonało go, że



Harold Webb w amerykańskim wojsku i w PRL. FOT. IPN

■ ludzie rzadzący jego ojczyzną nie mają dobrych intencji.

W Katowicach odnalazł się całkiem nieźle, jego pozycja społeczna była znacznie wyższa niż przed wojną w USA. „Zaskakiwało nas, że po kilku latach pobytu w Polsce nasz nauczyciel nadal nie zna polskiego. Teraz wydaje mi się to tym bardziej dziwne, szczególnie że w Chinach potrafił nauczyć się mandaryńskiego” – mówi Piotr Fuglewicz, były uczeń Webba, uczestnik organizowanych przez niego obozów językowych. Zaznacza, że uczniowie, którzy w tym czasie uczyli się angielskiego od native speakera mogą mówić o dużym szczęściu, szczególnie że Webb był świetnym pedagogiem. Fuglewicz szukał po latach informacji o swoim ekscentrycznym nauczycielu. Odnalazł wiele zaskakujących faktów, z których część opisał w wydawanym przez IPN „Czasypismie” (nr 2/2018). „W »Trybunie Robotniczej« był chyba jedynym członkiem redakcji wierzącym w komunizm, na pewno najbardziej radykalnym – wyjaśnia Fuglewicz. – Był załamany, gdy do władzy doszedł Gierek. Uważał to za kontrrewolucję”.

W 1970 r. Webb przyjął polskie obywatelstwo, uzasadniając to chęcią wstąpienia do PZPR, publikował już wtedy antyamerykańskie teksty w „Trybunie Robotniczej”. Nadal jednak pisał po angielsku, a jego artykuły były tłumaczone na polski. Od lat 70. podejmował się również prac związanych z tłumaczeniami dla państwowych przedsiębiorstw. W 1979 r. wyjechał do Bagdadu jako tłumacz, biorąc udział w rozmowach prowadzonych tam przez przedsiębiorstwo handlu zagranicznego Polimex-Cekop. Otrzymał wtedy paszport z możliwością wielokrot-

nego przekraczania granicy i klauzulą „wszystkie kraje świata”. Webb mógł więc brać udział w kolejnych projektach niedostępnych dla zwykłych obywateli PRL. Ten fragment działalności Amerykanina w PRL jest jak na razie najślabiej znany i może być nie mniej intrygujący niż wcześniejsze lata jego biografii.

Koniec czaru

Pracując dla polskich przedsiębiorstw zajmujących się handlem zagranicznym, Webb prawdopodobnie miał coraz lepsze rozeznanie w sytuacji międzynarodowej. PRL w latach 80. wypadała na tle Zachodu znacznie gorzej niż jeszcze dekadę wcześniej. W przypadku Webba nałożyły się na to problemy rodzinne. Dlatego gdy w 1986 r. odnalazła go siostra, skorzystała z zaproszenia i wyjechała do USA, aby się z nią spotkać. Po tym, jak w dzieciństwie stracił matkę, Harold wychowywał się z ojcem, ale jego siostra trafiła pod opiekę dalszej rodziny. Jeszcze w latach 60. twierdziła, że brat jest dla niej jak martwy. Teraz jednak rodzina postanowiła się połączyć i katowicki nauczyciel po raz kolejny zdecydował się na emigrację,

tym razem do swojej pierwszej ojczyzny. W komentarzach dla mediów twierdził, że zrewidował swoje poglądy, a w latach 50. został zmniejszony przez Chińczyków. Teraz podjął pracę na stacji paliw i w restauracji. Nie otrzymał jednak prawa pobytu w USA. Uznano go za zdrajcę, który

zrzekł się amerykańskiego obywatelstwa, przyjmując obywatelstwo PRL. Dopiero gdy w 1988 r. oddał polski paszport konsulowi w Chicago, pozwolono mu zostać. Sprowadził do USA swoją drugą żonę Eleonorę oraz dwie córki z tego małżeństwa (miał również dziecko z pierwszego związku). Zmarł w 2008 r. w wieku 77 lat.

Wydaje się, że człowiek z takim życiorysem powinien zwrócić uwagę organów bezpieczeństwa PRL. Z badań prowadzonych przez dr. Mirosława Sikorę z katowickiego IPN wynika, że tak się nie stało, a przynajmniej nie trwało to długo. Webb został zarejestrowany przez kontrwywiad po przyjeździe do Polski i jego sprawa została zamknięta w połowie lat 60. „Jej akta zostały prawdopodobnie zniszczone, zgodnie z procedurą brakowania materiałów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w latach 70. lub później” – pisze dr Sikora na łamach „Czasypisma”. Kontrwywiad zainteresował się Webbem po raz drugi w 1968 r., gdy Amerykanin brał drugi ślub. Jego żona Eleonora była pracownikiem działu kadr w Centrali Handlu Zagranicznego „Węgłokoks” w Katowicach i miała dostęp do informacji niejawnych. Zaskakuje również brak informacji o jego udziale w zagranicznych projektach przedsiębiorstw zajmujących się handlem zagranicznym, których działalność często przeplatała się z operacjami wywiadowczymi lub przynajmniej była objęta ochroną kontrwywiadowczą.

Obcokrajowiec, który znalazł się w centrum najważniejszych światowych wydarzeń i zmieniał przynależność państwową w tak zaskakujący sposób, wygląda jak idealny kandydat na szpiega. Przynajmniej według stereotypowego postrzegania tego zawodu. W praktyce tak radykalne zmiany otoczenia kulturowego bez dobrego przygotowania, w dodatku przy wybitnym rzucaniu się w oczy, powodują, że Webb byłby dla wywiadu mało przydatny. Dlatego brak informacji o jego pracy dla wywiadu jest tylko pozornie zaskakujący. Rewelacje o jego pracy dla chińskiego czy tym bardziej amerykańskiego wywiadu nie są oparte na żadnych dowodach i przy obecnym stanie wiedzy należy zaliczyć je do kategorii teorii spiskowych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Artykuł Harolda Webba w „Trybunie Robotniczej” FOT. ARCHIWUM



65 lat
historii filmu
2536 wydań

Filmopedia
FILM
od 1946 roku

**Największa baza dorobku
polskiej kultury filmowej**

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej



POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl e0ed276cf8

Historyczna debata o Brygadzie



Arkadiusz Karbowski

Karbowski: Bohaterowie

PIOTR WŁOCZYK: Czy polskie władze powinny uroczystie upamiętniać działalność Brygady Świętokrzyskiej (BŚ)? Lewica twierdzi, że była to jednostka jawnie kolaborująca z III Rzeszą, w związku z czym nie wolno tego robić.

ARKADIUSZ KARBOWIAK: Bardzo dobrze, że państwo polskie upamiętnia ludzi, którzy walczyli o wolność naszego kraju. Szkoda tylko, że BŚ tak późno została uhonorowana przez nasze najwyższe władze państwowe. Jeżeli natomiast chodzi o zarzut kolaboracji, to jest to wyjątkowo nieuczciwe stawianie sprawy. BŚ rzeczywiście współpracowała taktycznie z Niemcami, ale liczy się cel. Nie chodziło o pomaganie Niemcom w dokonywaniu zbrodni na narodzie polskim, tylko o ewakuację przed nacierającą Armią Czerwoną.

Nie przeszkadza panu jednak to, że BŚ dogadywała się z Niemcami w momencie, gdy ci wciąż masowo mordowali Polaków? „Gazeta Wyborcza” wywiad na ten temat z prof. Andrzejem Friszkiem zatytułowała: „Gdy więźniowie Dachau czekali na egzekucję, Brygada Świętokrzyska piła szampana z Gestapo”.

Szkoda, że prof. Friszkego nie oburza sytuacja, w której Sikorski z Majskim stukali się lampkami szampana po podpisaniu paktu, gdy w tym samym czasie NKWD na Kresach Wschodnich rozstrzelało 10 tys. Polaków. Zawarliśmy sojusz z państwem, które napadło na nasze ziemie wschodnie, wymordowało naszych oficerów w Katyniu i innych miejscach, wysłało na Syberię tysiące polskich obywateli. Myślę, że ta taktyczna współpraca BŚ z Niemcami nie wyrządziła Polsce żadnych szkód... Marsz brygady na zachód przez pozycje Niemców nie miał też dla Polski tak dramatycznych konsekwencji jak akcja „Burza”, kiedy to AK pomagała Armii



Czerwonej w zajmowaniu polskiego terytorium.

Tutaj jednak w grę wchodziła wielka polityka. Polskie władze w Londynie doszły do przekonania, że tylko witając Armię Czerwoną, są w stanie coś ugrać w relacjach z naszymi sojusznikami...

To mogło wyglądać w ten sposób z perspektywy Londynu, jednak pomaganie bolszewikom w podboju Polski było wbrew naszej racji stanu.

Z kolei taktyczna współpraca BŚ z Niemcami nie wiązała się z jakimikolwiek stratami dla naszego narodu. Dowództwo tej jednostki stwierdziło, że należy wycofać żołnierzy na Zachód, do gen. Andersa, aby nie dopuścić do eksterminacji żołnierzy BŚ, do której by niechybnie doszło po wkroczeniu Sowietów do Polski. To była prawdziwa alternatywa dla taktycznej współpracy z Niemcami przy wycofywaniu się na Zachód. Krytycy muszą odpowiedzieć na jedno pytanie: Czy lepiej by się stało, gdyby ci wszyscy ludzie zostali w Polsce i trafili do piachu?

A co z zarzutami w sprawie zabijania Żydów i jeńców sowieckich?

Jeżeli chodzi o Żydów, to niektórzy żołnierze BŚ faktycznie mieli takie zbrodnie na sumieniu, ale dokonali ich przed powstaniem BŚ. Po sformowaniu tej jednostki doszło do tylko jednego epizodu, gdy trzech Żydów zostało schwytanych przez żołnierzy BŚ, ale nie znany jest ich dalszy los. Nie zapominajmy, że na koniec swojego marszu żołnierze BŚ uratowali setki Żydów z niemieckiego obozu w Holiszowie. Zupełnie inną sprawą jest egzekucja 67 sowieckich spadochroniarzy.

Faktem jest jednak, że żołnierze brygady zabili bezbronnych ludzi...

Tak, ale takie były niestety reguły walki partyzanckiej – komuniści również zabijali jeńców. Sowieccy dywersanci rozumieli, że zostaną rozstrzelani, i podjęli próbę buntu, w wyniku czego zostali zabici. Żołnierze BŚ nie mogli ich zamknąć w obozie dla jeńców, bo takowych nie mieli, ani nie mogli ich puścić wolno. Z tej sytuacji nie było dobrego wyjścia. Tak już niestety bywa na wojnie. ©



Świętokrzyskiej NSZ



Oddział Brygady Świętokrzyskiej.
1945 r. FOT. WIKIPEDIA



prof. Marcin Zaremba

Zaremba: Kolaboranci

PIOTR WŁOCZYK: Jak pan ocenia ostatnie uroczystości państwowe ku pamięci żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej?

PROF. MARCIN ZAREMBA: Coś takiego nigdy nie powinno się zdarzyć. Po pierwsze, była to jednostka jawnie kolaborująca z Niemcami. Jej marsz na zachód odbywał się w porozumieniu z władzami niemieckimi! Jak można z jednej strony upamiętniać taką formację, a z drugiej kłaść kwiaty na grobach prawdziwych polskich patriotów, którzy do końca walczyli np. w powstaniu warszawskim. To się nie mieści w głowie.

Po drugie, taka polityka historyczna ma też wpływ na dzisiejszą pozycję Polski. Bardzo krytyczne artykuły na ten temat ukazywały się w prasie zagra-

nicznej. Możemy się tylko domyślać, co amerykańska ambasada wysłała w swoich raportach do Waszyngtonu. W jakim świetle to wszystko stawia Polaków w oczach światowej opinii publicznej? To jest głupota albo sabotaż.

Obrońcy BŚ twierdzą jednak, że prawdziwą alternatywą dla porozumienia z Niemcami i wycofania się na Zachód była śmierć żołnierzy tej jednostki z rąk Sowietów. Wiadomo przecież, że Sowietci uważali żołnierzy podziemia narodowego za swoich największych wrogów. Czy to nie jest ważny argument w tym sporze?

Decyzję o pozostaniu w kraju po zajęciu Polski przez Armię Czerwoną podjęły tysiące członków polskiego podziemia antykomunistycznego. Niektórzy z nich walczyli jeszcze w latach 50. i znaczna część z nich przeżyła. Stawianie takiej alternatywy jest więc kompletnie nieuprawnione. Żołnierze Brygady Świętokrzyskiej mogli pozostać w kraju i walczyć z komunistami, co podobno było ich głównym celem, ale zamiast tego wybrali kolaborację z Niemcami i ucieczkę na Zachód. Gdzie tu bohaterstwo?

Czy jednak ta współpraca z Niemcami nie jest porównywalna ze współpracą AK z Sowietami w trakcie akcji „Burza”? Jedna kolaboracja jest gorsza od drugiej?

To był piekielny wybór dla AK. Pytanie, co gorsze – grypa czy cholera. Czy nam się to podoba, czy nie, ogromna część Polaków, choć czuła niepokój, przyjęła wkroczenie Armii Czerwonej z wielką ulgą, ponieważ oznaczało to zakończenie potwornie brutalnej okupacji niemieckiej. Właśnie w tym kontekście działała AK. Istniała nadzieja, że akcja „Burza” przyniesie Polsce wymierne korzyści polityczne. Współpraca z Niemcami była natomiast w tamtych okolicznościach czymś niewyobrażalnym. Dlatego nie sposób porównywać jednej i drugiej współpracy.

A co z wyzwoleniem przez BŚ setek Żydówkę przetrzymywanych w obozie w Holiszowie? Czy to nie powinno wpływać na ocenę działalności tej jednostki?

Przecież BŚ nie planowała wyzwolenia Żydówkę z tego obozu! To się stało zupełnie przypadkowo, więc trudno tu mówić o jakichś wielkich zasługach. Żołnierze brygady wykorzystywali potem ten fakt w negocjacjach z Amerykanami, żeby pozostać na Zachodzie.

Zamiast skupiać się na Holiszowie, trzeba podkreślić, że żołnierze Brygady Świętokrzyskiej mieli na swoich rękach krew polskich obywateli pochodzenia żydowskiego.

Samej jednostce trudno jednak przypisać konkretne zbrodnie przeciwko Żydom...

Nie popadajmy w śmieszność. Co z tego, że brygada jako taka nie popełniła zbrodni, skoro popełniali je wcześniej żołnierze tej jednostki? I to zaledwie kilka miesięcy przed jej sformowaniem. To byli ci sami ludzie, więc uważam ten kontrargument za absurdalny. To wszystko jasno pokazuje, że honorowanie tej brygady jest potworną niesprawiedliwością. Szczególnie wobec tych wszystkich Polaków, którzy naprawdę walczyli o wolność i zachowali w tej walce czyste konto. Mamy w polskiej historii wystarczająco wielu bohaterów. Naprawdę nie musimy na siłę szukać bohaterstwa wśród nazistowskich kolaborantów. ©

Już jesienią

Konferencja „Polska hekatomba i walka z polonofobią”



Organizowane tej jesieni pod patronatem tygodnika „Do Rzeczy” i miesięcznika „Historia Do Rzeczy” spotkanie wybitnych historyków, publicystów i prawników ma na celu uzgodnienie najlepszych sposobów walki o pamięć o polskich ofiarach II wojny światowej

Zdanych monitorującej Internet firmy SentiOne wynika, że w szczytowym okresie sporu Polski z Izraelem (1 stycznia–19 lutego 2018 r.) fraza „polskie obozy śmierci” pojawiła się w publikacjach medialnych w Internecie aż 4,6 tys. razy. To niezwykle krzywdzące Polaków określenie używane było zarówno przez niewielkie portale internetowe, jak i największe światowe redakcje. Skala zjawiska pokazuje, jak wiele trzeba jeszcze wysiłku, by skutecznie poinformować światową opinię publiczną o oczywistym dla Polaków fakcie: obywatele Rzeczypospolitej byli w czasie II wojny światowej ofiarami dwóch totalitaryzmów, a nie sprawcami masowych zbrodni.

Głównym celem konferencji „Polska hekatomba i walka z polonofobią” jest wypracowanie mechanizmów, które pomogą zmienić ten stan rzeczy.

Najbardziej pilnym zadaniem w tym kontekście jest stworzenie założeń kampanii informacyjnej, które pomogą skutecznie opowiedzieć odbiorcom na całym świecie o brutalnej prawdzie: Polacy byli masowo mordowani, zanim jeszcze wybuchła II wojna światowa.

Do pierwszej masowej zbrodni o charakterze ludobójstwa na narodzie polskim doszło bowiem już w 1937 r. w Związku Sowieckim. Józef Stalin podjął wówczas decyzję o wymordowaniu Polaków zamieszkujących zachodnie rubieże jego państwa. Jedynym kryterium była w tym kontekście narodowość. Hekatomba Polaków z ZSRS jest jednak wciąż tematem kompletnie obcym światowej opinii publicznej, a nawet zachodnim historykom.

W trakcie konferencji zostaną też gruntownie przeanalizowane dotychczasowe wysiłki strony polskiej mające na celu poinformowanie światowej opinii publicznej o masowych mordach popełnionych na Polakach przez obydwa totalitaryzmy w czasie II wojny światowej i bezpośrednio po niej:

Sowiecki

Operacja polska NKWD (1937–1938)
Deportacje na Syberię (1940–1941)
Katyń (1940)
Czerwiec 1941 r. i rzeź polskich więźniów
Zbrodnie UB i okupantów sowieckich w latach 1945–1953

Niemiecki

Intelligenzaktion (1939)
Piaśnica
Palmiry
Generalny Plan Wschodni
Ponary
Dzieci Zamojszczyzny
Auschwitz i inne niemieckie obozy koncentracyjne
Rzeź Woli i inne zbrodnie podczas powstania warszawskiego

Ponadto na konferencji poruszone zostaną też zbrodnie dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia i Galicji Wschodniej. Eksperti przeanalizują również uwarunkowania prawne, które pozwalają Polakom na ochronę wizerunku Rzeczypospolitej i narodu polskiego.

Rozstrzelanie Polaków
w Bochni. Grudzień 1939 r.

FOT. NAC

Partnerzy:

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

Organizatorzy:

DO
RZECZY

HISTORIA
DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

Co jest niezbędne do funkcjonowania konspiracji? Takie pytanie zadałem kiedyś czytelnikom.

Padły różne odpowiedzi: broń, tajne lokale, hasła, radiostacje, wtyczki w nieprzyjacielskiej policji bezpieczeństwa. I tak dalej. Nikt jednak nie wymienił rzeczy absolutnie kluczowej. Dokumentów! Bez znakomicie podrobionych papierów żadna podziemna organizacja nie jest w stanie działać.

Nie inaczej było z AK czy szerzej – z Polskim Państwem Podziemnym. Polscy fałszerze niemieckich dokumentów byli prawdziwymi mistrzami w swoim fachu. Niemieccy żandarmi, którzy kontrolowali przechodniów, nie byli w stanie odróżnić polskich podróbek od wydawanych przez urzędy III Rzeszy oryginałów. Mało tego, podróbki te były często bardziej udane.

W Warszawie szefem komórki legalizacji był Stanisław Jankowski „Agaton”. Śmiały żołnierz, cichociemny. Swoje fałszerskie – i nie tylko! – doświadczenia opisał w pasjonujących wspomnieniach „Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie”. O tym, jak skomplikowana była jego „robota”, świadczyć może ten fragment książki:

„Żeby móc zaopatrzyć naszych ludzi w fałszywe dokumenty, trzeba było przeprowadzić skomplikowany cykl czynności:

- rozpoznać dokument, jego przydatność i zakres stosowania;
- uzyskać, choć na krótko, oryginalny dokument i zapoznać się ze sposobem wypełniania, kontroli, przedłużania itp.;
- zdobyć oryginalne blankiety lub wyprodukować fałszyfikat;
- zapewnić „oprzyrządowanie”, tzn. pieczątki, numeratory, datowniki, znaczki stemplowe, odpowiedni komplet maszyn do pisania o różnych czcionkach itd.;
- opanować technikę wystawiania dokumentu, z niełatwą sztuką podrabiania podpisów;
- czuwać nad aktualizacją dokumentu;
- instruować użytkowników, zwłaszcza tych, którzy otrzymywali dokument po raz pierwszy. Stare wygi wiedziały, jak się nim posługiwać, lepiej od nas”.

Dodajmy, że konspiratorzy nie mogli posługiwać się nowiuteńkimi, jak spod igły, papierami. Fałszerze musieli opracować specjalne procedury postarzania podrabianych dokumentów. Znajdujące się w nich adnotacje nie mogły być zbyt



Stanisław Jankowski „Agaton” na czele oddziału podczas Powstania Warszawskiego

FOT. WIKIPEDIA

Książka miesiąca / Wspomnienia „Agatona”

Fałszerz z AK

staranne, a pieczątki zbyt wyraźne. Wyglądające zbyt idealnie papiery mogły bowiem wzbudzić podejrzenia.

Niemcy oczywiście zdawali sobie sprawę z działalności „Agatona” i jego kompanów. I starali się opracować techniki pozwalające na odróżnienie prawdziwych papierów od fałszyfikatów.

„Otrzymaliśmy informację – wspominał Jankowski – że Niemcy, badając autentyczność dokumentów pochodzących z Rzeszy, odklejają fotografie i sprawdzają pieczątki firmowe zakładów fotograficznych stawiane na odwrocie. Nowe zadanie dla naszych pracowników fałszerskich, ale w przypadku sprawdzania dokumentów i nowy dowód »autentyczności« naszych fałszyfikatów.

Po pewnym bowiem okresie działalności komórek fałszerskich, gdy nieuchronne wpadki ujawniły wysoki poziom naszego rzemiosła i bogaty asortyment, gestapo w instrukcjach dla swych placówek zalecało, by każdy dokument pochodzący z GG, zwłaszcza z Warszawy, był traktowany jako potencjalny fałszyfikat i kontrolowany

szczególnie starannie. Komplement dla naszej roboty, ale i dodatkowe emocje dla naszych klientów”.

Fałszerskie rzemiosło – a może sztuka? – to tylko jeden z wątków wspomnień „Agatona”. Polski konspirator w zajmujący sposób opisał również inne aspekty konspiracyjnej walki, gehennę polskiej inteligencji i Powstanie Warszawskie, w którym wziął udział z bronią w ręku.

Wydawnictwu Bellona należą się wielkie brawa za wznowienie tej arcyważnej książki. Wydanie, które miałem do tej pory (z 1981 r.), dosłownie rozsypuje się w rękach. A co najważniejsze, wspomnienia „Agatona” mogły już zostać wydrukowane bez ingerencji komunistycznej cenzury. ©©

Piotr Zychowicz



STANISŁAW JANKOWSKI
„AGATON”
„Z FAŁSZYWYM AUSWEISEM
W PRAWDZIWEJ WARSZAWIE”

BELLONA

Kryminały Polskiej Ludowej

Nieudolni, niesympatyczni, niegodziwi, nawet dopuszczający się przestępstw. Tacy byli funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej w polskich kryminałach. Zdumiewające, prawda? Właśnie tak jednak ich przedstawiano w niektórych kryminałach, tyle że bardzo krótko, w pierwszych paru latach po odwilży 1956 r. W tamtych czasach pojawił się w kryminałach Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego por. Downar, przystojny, twardy facet, który lubi wypić i jest notorycznym kobieciarzem. Ten szablon „gliniarza” widoczny jest do dziś w książkach i na ekranie.

Kryminał czasów PRL to nie tylko zabójstwa, lecz także malwersacje i nadużycia dyrektorów oraz prezesów różnych przedsiębiorstw. Dzięki nim żyli jak pączki w maśle. Jak pisze autorka, prowadziło to czytelnika do wniosku, że w ludowej ojczyźnie nie można uczciwie dużo zarobić.

W latach 60. milicjanci w kryminałach nie podlegali już krytyce. Część kryminałów sławiła natomiast ich poświęcenie dla służby społeczeństwu, a także wskazywała na skromny status materialny. Pod koniec lat 60. pojawiły się, ocieplające wizerunek milicjanta, komiksy z kpt. Żbikiem, wydawane aż do 1982 r., i seria „Ewa wzywa 07”. Nadal piętnowano korupcję i malwersacje, milcząc oczywiście o tym, że jej powodem był absurdalny

system gospodarki socjalistycznej. W każdym razie zamożność była podejrzana.

W latach 70. milicjanci w kryminałach są już ludźmi wykształconymi, niemal intelektualistami. Jeden z nich potrafi odróżnić kopię obrazu Vermeera od oryginału. Filmową wersją intelektualisty-światowca był por. Borewicz. Tamta dekada to także piętnowanie środowisk hippisowskich, przedstawianych, w sposób jednoznacznie negatywny. Autorka zwraca uwagę na to, że większość kryminałów rozgrywa się w środowisku inteligentnym, artystycznym, wolnych zawodów.

Niechlubnym epizodem w historii kryminałów w PRL były niektóre książki piętnujące Solidarność, np. „W pogardzie prawa” Anny Kłodzińskiej. Jak pisze autorka książki „Otwierać, milicja!”, Polska w roku 1981 jawiła się w książce Kłodzińskiej jako kraj bezprawia i deprawacji. A winna tego była, a jakżeby inaczej, Solidarność... A język książki przypomina wręcz lata stalinowskie. ©© **Tomasz Stańczyk**



DOROTA SKOTARCZYK
„OTWIERAĆ, MILICJA!
O POWIEŚCI KRYMINALNEJ
W PRL”

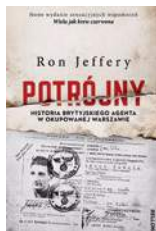
IPN

Anglik w Armii Krajowej

WAK służyli nie tylko Polacy. Również Żydzi, Białorusini, Gruzini, Serbowie, Murzyn i Brytyjczycy. Jednym z nich był Ronald Jeffrey. Angielski jeńiec, który uciekł z niemieckiego obozu pod Łodzią i dołączył do polskiej tajnej armii.

„Był jedną z najbardziej kolorowych, ale także heroicznych postaci polskiego ruchu podziemnego – napisał w przedmowie Jan Nowak. – Odznaczył się wręcz szaleńczą odwagą, wobec której błędna wyczyny Kmicica i Skrzetuskiego”. To ostatnie zdanie to przesada. Rzeczywiście

jednak wspomnienia Jeffreya czyta się jak książkę sensacyjną. Intrygi szpiegowskie, akcje sabotażowe i... przyjaźń wobec Polki. Szkoda, że takich Anglików podczas II wojny było tak niewielu. ©© **(p.z.)**



RON JEFFERY
„POTRÓJNY. HISTORIA
BRYTYJSKIEGO AGENTA
W OKUPOWANEJ WARSZAWIE”

BELLONA



JACEK WOŁOSZYN
„ZAPOMNIANE
OGNIWO. KONSPIRACJA
MŁODZIEŻOWA NA
ZIEMIACH POLSKICH
1944-1956”

IPN

MŁODZI KONSPIRATORZY

Do 1956 r. istniała w Polsce konspiracja młodzieżowa. Najczęściej podziemne organizacje – a było ich aż ponad tysiąc – składały się z kilku młodych ludzi. Wyraźną większość stanowili w tych organizacjach synowie chłopów i robotników. Najdłużej istniały Łódzka Młodzieżowa Organizacja AK i Młodzież Polska z Niska. Dwudziestu czterech młodych konspiratorów zostało skazanych na śmierć. ©© **(t.s.)**



**AGNIESZKA
LEWANDOWSKA-KĄKOL**
„ZŁOTA EPOPEJA”

FRONDA

LOS POLSKIEGO ZŁOTA

We wrześniu 1939 r. – dzięki m.in. Adamowi Kocowi i Ignacemu Matuszewskiemu (z żoną Haliną Konopacką, złotą medalistką olimpijską) – przewieziono ciężarówkami prawie 80 ton polskiego złota do Rumunii. Stamtąd brytyjskim statkiem trafiło do Stambułu, potem – do Francuzów na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Wreszcie – do USA, Kanady i Wielkiej Brytanii. ©© **(m.r.)**



MICHAŁ SKIBIŃSKI
„WIDZIAŁEM PIĘKNEGO
DZIECIOŁA”

DWIE SIOSTRY

SZRAPNELE NAD DOMEM

Pięknie ilustrowana, wzruszająca książka. Krótkie, codzienne zapiski ośmiolatniego chłopca z wakacji roku 1939 spędzonych w pensjonacie w Aninie. Ostatnich wakacji II RP. „1 IX 1939 Rozpoczęła się wojna”. „3 IX Chowałem się przed samolotami”. „6 IX Rzucili blisko nas bombę”. „10 IX Ma być okropny bój”. „11 IX Słychać strzały armatnie”. „12 IX Przeleciały nad naszym domem szrapnele”. Autor tych zapisków żyje do dziś. A jego tata poległ 9 września 1939 r. ©© **(p.z.)**



Władimir Putin podczas spotkania z weteranami, 2000 r. FOT. FORUM

Klin na rosyjskiego kaca

Czy Rosja Putina zasługuje na przymiotnik „nowa”, jak głosi podtytuł książki? Czy „duchy przeszłości” nie zepchnęły jej – znów, jak zawsze w ciągu wieków – w koleiny, z których tak trudno się Rosjanom wydobyć? Autor miał 18 lat, gdy w 2000 r. po raz pierwszy przyjechał do niej jako nauczyciel angielskiego. Wrócił po kilku latach jako korespondent brytyjskich pism. Jest – jak na Brytyjczyka – bardzo wnikliwym obserwatorem i analitykiem. W ciągu kilkunastu lat ujrzał, jak zmienił się ten kraj ogromnych przestrzeni i możliwości, ogromnych fortun nowobogackich nuworyszy i ogromnej biedy mas – zwłaszcza poza Moskwą.

To znaczy dysproporcje między bogactwem nielicznych a nędzą milionów pozostałych, ale za Jelcyna te miliony nie dostawały w porę wypłat ani emerytur, brakowało im nawet chleba i wódki, czuły się oszukane i zdezorientowane po upadku ZSRS, wyzute z dumy obywateli supermocarstwa. Za Putina wypłaty są nadal głodowe, ale uiszczane w terminie. Wódka jest, a jeśli nawet na nią nie stać, to pije się płyn do kąpieli. Zabór Abchazji i części Osetii, Krymu i Donbasu pozwala uwierzyć w odradzanie się imperium,



a wielkie rakiety podczas defilad oraz arogancja przywódcy – w jego moc. Rosjanin poczuł się znów u siebie...

Wszystkich znów jednoczy mit zwycięstwa w wielkiej wojnie ojczyznianej 1941–1945, wypreparowany z tak niewygodnych faktów jak zabór czy sojusz Stalina z Hitlerem z 1939 r. O zbrodni katyńskiej i o eksterminacji innych narodów Rosjanie znów nie chcą słyszeć, a ochoczą ucieczkę tych nacji z objęć Związku Sowieckiego na przełomie lat 1990 i 1991 uważają za czarną niewdzięczność. Walker pisze o stałej eksploatacji traumy po upadku ZSRS przez rząd Putina, dławieniu opozycji za zgodą społeczeństwa lękającego się niepokoju i rzekomego zagrożenia z zewnątrz. Taki „patriotyzm” stworzył „podwaliny do wychowania całego nowego pokolenia Rosjan”.

Brytyjczyk precyzyjnie trafia w sedno, a zapis jego obserwacji stanowi bardzo zajmującą lekturę. Warto przeczytać! Zrazem jednak Polak wie, że to nic nowego pod słońcem moskiewskiego imperium. Najazdy i zabory cudzych ziem były tutaj wystarczającym usprawiedliwieniem gnębienia, korupcji i wyzysku poddanych

przez każdą władzę, od pierwszych książąt moskiewskich przez „wielkich” carów – Iwana, Piotra i Katarzynę – do geneków bolszewickich na Kremlu.

SHAUN WALKER
„NA CIĘŻKIM KACU.
NOWA ROSJA
PUTINA I DUCHY
PRZESZŁOŚCI”

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

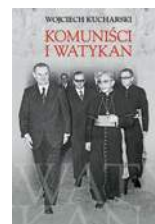
© © Maciej Rosalak

Dlaczego nie przyjechał Paweł VI?

Wśród wielu tematów poruszanych w książce o relacjach komunistycznej Polski z Watykanem szczególnie zaciekawia kwestia niezrealizowanego planu pielgrzymki Pawła VI do Częstochowy, w 1966 r., na obchody tysiąclecia chrztu Polski. Podczas sondażowych rozmów polscy komuniści niedwuznacznie stwierdzali, że główną przeszkodą jest prymas Stefan Wyszyński, oskarżany przez nich o prowadzenie wrogiej polityki wobec władz Polski Ludowej. Sugerowali niedwuznacznie, by został odwołany przez papieża.

Gdy ponownie stanęła sprawa przyjazdu Pawła VI, komuniści postawili swoje warunki: papież ma przybyć do Wrocławia, a we mszy nie może wziąć udziału prymas. Na taki dyktat, szczególnie dotyczący kard. Wyszyńskiego, Watykan nie mógł się jednak zgodzić. Starano się też dyskredytować wobec Watykanu prymasa, ocenianego jako przedstawiciela „Kościoła wojującego”, i przeciwstawiać go Janowi XXIII jako „papieżowi pokoju”. Także w tym celu głowie Kościoła wystawiony został pomnik we Wrocławiu, z inicjatywy świeckich i duchownych posłusznych władzom. MSW

opracowało zaś dokument wskazujący na – rzekomo niezgodne z nauką Kościoła – promowanie przez kard. Wyszyńskiego kultu maryjnego. Dla zmylenia tropów wyrukowano dokument na włoskim papierze. © © (t.s.)



WOJCIECH KUCHARSKI
„KOMUNISCI I WATYKAN”
IPN

Kronika partyzanta od „Ponurego”

Nieczęsto mamy okazję zetknąć się z opisywanymi „na gorąco” wydarzeniami historycznymi. Taką możliwość daje nam wydana niedawno książka pt. „Dziennik Staszka (czerwiec–październik 1943 r.)”, będąca kroniką partyzancką, prowadzoną przez jednego z żołnierzy Zgrupowania II Zgrupowań Partyzanckich AK „Ponury”, walczącego na Kielecczyźnie w roku 1943. Autor dziennika przedstawia w nim realia życia partyzanckiego oraz akcje, które były jego udziałem podczas służby w oddziale ppor. Waldemara Szwieca „Robota”. Zapiski wzbogacają listy bohatera do najbliższych.

Nie mniej fascynującą historię stanowią opisy losów samego dziennika oraz rys biograficzny dotyczący jego autora. A był nim st. szer. Stanisław Wolff „Babiński”, „Staszek”, członek struktur lwowskiego „Wachlarza”, po jego likwidacji od czerwca 1943 r. partyzant oddziału AK dowodzonego przez ppor. „Robota”. 10 października 1943 r. „Staszek” przydzielony został do obstawy kwatery swego chorego wówczas dowódcy, znajdującej się w Wielkiej Wsi. Niestety, o kwaterze „Robota” dowiedział się agent niemieckiej Policji Bezpieczeństwa „Garibaldiego” (ppor. Jerzy Wojnowski) i przekazał informację swoim mocodawcom.

Funkcjonariusze kieleckiej Aussen-dienststelle der Sipo (Adst), czyli Placówki Zamiejscowej Policji Bezpieczeństwa, wsparci siłami kompanii ze zmotoryzowanego batalionu żandarmerii, wczesnym rankiem 14 października 1943 r. przystąpili do akcji przeciw partyzantom. Jako pierwsi zwarli się w walce z nimi żandarmi przybyli do Wielkiej Wsi samochodami ciężarowymi. „Robot” niemal natychmiast po rozpoczęciu wymiany ognia starał się ukryć przebywającą wraz z nim żonę, Wandę Słoniewską. Czasu, który stracił, chcąc uchronić przed niebezpieczeństwem swą ukochaną, zabrakło partyzantom na bezpieczną ucieczkę. Ich przemieszczanie się przez niczym nieosłonięty podmokły teren o długości kilometra w kierunku lasu pozwoliło Niemcom na zajęcie dogodnych pozycji

i celny ostrzał wycofujących się AK-owców. W jego wyniku polegli ppor. Walde-mar Szwiec „Robot”, st. strz. Piotr Downar „Azor”, kpr. Janusz Rychter „Jasiek”, Stanisław Wolff „Staszek”. Ciężko ranna została wtedy i zmarła tuż po dostaniu się do niewoli Grażyna Śniadecka „Grażyna”.

Po walce w trakcie przeszukania zwłok zabitych partyzantów w ręce wrogów wpadł dziennik prowadzony przez „Staszka”. Przetłumaczył go wraz z niezidentyfikowanym urzędnikiem kryminalnym Adst Oberwachtmeister Franz Kellner z kieleckiej komendy Schupo (niemiecka policja ochronna wchodząca wraz z żandarmerią w skład policji porządkowej Ordnungspolizei). W sprawie zapisów dokonanych



WSTĘP I OPRACOWANIE:
MAREK JEDYNAK
„DZIENNIK STASZKA
(CZERWIEC–PAŹDZIERNIK
1943 R.)

IPN, MUZEUM NARODOWE W KIELCACH,
WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. WITOLDA GOMBROWICZA W KIELCACH

w dzienniku funkcjonariusze Adst kontaktowali się z agentem „Garibaldim”. Informacje zawarte w dzienniku SS-Sturmscharführer Wolfgang Rehn z Referatu IV N Wydziału IV Adst w Kielcach przesłał w pismach skierowanych do komendanta Sipo i SD w dystrykcie radomskim SS-Obersturmbannführera Joachima Illmera. Natomiast pięć egzemplarzy przetłumaczonego dziennika wraz z dokumentami osobistymi i ze zdjęciami zabitych partyzantów wysłano 30 grudnia 1943 r. do KdS (Komendantury Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa) w Radomiu. Po wojnie tłumaczenie niemieckie dziennika (polski oryginał zaginął) odnalazł w ruinach budynku dawnej siedziby gestapo w Częstochowie mec. Jan Pietrzykowski. Po 1989 r. już tylko fragmenty dziennika „Staszka” odnalazły się m.in. w zbiorach Archiwum Akt Nowych w Warszawie. ©©

Arkadiusz Karbowiak

Geniusze, odkrywcy i szaleńcy

Autor zapowiada „21 najbardziej tajemniczych postaci w historii cywilizacji”. Trudno oczywiście uznać za „tajemnicze” postacie odkrywcy Troi – Henryka Schliemanna – czy wielkiego malarza i nieszczęsnego człowieka – Vincenta van Gogha. Byli to ludzie nadzwyczaj ciekawi, to fakt, i warto przeczytać, co pisze o nich również taki pasjonat książek i zajmujących historii jak Andrzej Flont.

Jeszcze ciekawsze są postacie rzeczywiste mało znane, np. angielskiego poszukiwacza Eldorado – Percivala Fawcetta, włoskiego, prawdziwego dr. Frankensteina – Giovanniego Aldiniego, lekarza, który odkrył skuteczną dietę antyrakową – Maxa Gersona czy jasnowidza, którym fascynował się najpierw Józef Piłsudski, a potem Józef Stalin – Wolfa Messinga. Dwaj ostatni, żydowskiego pochodzenia, zaszerzegowani przez autora do rozdziału „Geniusze czy szaleńcy”, mieli także polskie korzenie. Zresztą urodzony w Górze Kalwarii Messing specjalnie przyjechał w 1921 r. do Polski, aby odbyć służbę wojskową...

Wreszcie intrygujący rozdział: „Niewyjaśnione historie”. Na przykład: kim był znany z bajek braci Grimm flecista z Hameln? Dlaczego oskarża się go o uprowadzenie z miasteczka dzieci? Co ma z tym wspólnego „czarna śmierć” grasująca w Europie w połowie XIV w.? Albo kogo ukrywano za zasłoną „żelaznej maski” w czasach Ludwika XIV? Kamerdynera, ministra z włoskiej Mantui czy prawowitego następcę francuskiego tronu? ©©

Maciej Rosalak



ANDRZEJ FLONT
„GRA CIENI”
FRONDA



Rafał A. Ziembkiewicz

/ Felieton

Chałat i pejsachówka

Na ulicach Warszawy, może także innych miast, rozplakatowano wizerunki sławnych Polaków żydowskiego pochodzenia – Bolesława Leśmiana, Juliana Tuwima, Janusza Korczaka i innych. Wszystkie pod wspólnym hasłem: „Masz coś po mnie”. Jest to kampania, której patronuje Muzeum Polin, i ma ona na celu... Hm, właśnie – dobre pytanie, co muzeum Polin chce przez te plakaty powiedzieć.

Hasło przewodnie i inne napisy wkomponowane w wizerunki historycznych postaci zdają się sugerować, że podobizny sławnych Polaków żydowskiego pochodzenia przypominać mają nam, Polakom etnicznym, czyli wedle stereotypu wsiowym, prząśnym i głupim, jak wiele zawdzięczamy żydowskiemu komponentowi naszego społeczeństwa. Jest to przekaz w swym wyrazie bliski, choć nieskończenie bardziej uprzejmy, sławnym kiedyś słowom rabina Węgier, które wywołały taką burzę, iż rabin – rzecz u dzisiejszych Żydów niezwykle rzadka – poczuł się nawet zmuszony za nie przeprosić. Myślę o słowach „gdymy z kultury węgierskiej usunąć to, co wnieśli do niej Żydzi, to zostałaby tylko palinka i chłopskie gacie”.

Tymczasem to wcale nie jest tak, że Leśmian czy Tuwim wynieśli swoją wielkość z kultury żydowskiej i dali ją kulturze polskiej. Jedynym, co jej dali, były ich osobiste talenty – a te talenty

rozkwitły właśnie dlatego, że uciekli oni z jałowego intelektualnie, przepraszam, że użyję niemodnego dziś słowa z epoki, żydostwa ku kwitnącej, znacznie wówczas wyższej kulturze polskiej. Parafrazując wspomnianego rabina: gdyby nie uwiodła tych geniuszy i nie zasymilowała ich polskość, z ich geniuszu nie byłoby nic poza chałatem i pejsachówką.

Źle mówię? No to proszę mi pokazać w dziełach Tuwima lub Leśmiana czy w dokonaniach innych bohaterów wspomnianej kampanii ten element, który

**/ Gdyby nie uwiodła
tych geniuszy i nie
zasymilowała ich
polskość, z ich
geniuszu nie byłoby
nic poza chałatem
i pejsachówką...**

zawdzięczają oni swemu żydowskiemu pochodzeniu. Który z nich przeniósł do polskości myśl, bo ja wiem, rabiego Hilala albo któregoś ze sławnych cadyków? Gdzie widać wpływ na ich duchowość haskali czy innych prądów intelektualnych nowożytnego judaizmu? Co żydowskiego przeniknęło za ich pośrednictwem do polskości?

Odpowiedź brzmi: żaden, nigdzie i prawie nic. To „prawie” to uprawiany przez, z wielkim sukcesem, Tuwima, Słonimskiego i Hemara szmonces, w swej istocie będący (odsyłam do swego większego tekstu na ten temat w zbiorze „Uważałem Rze”) okrutną drwiną eks-Żydów z żydostwa i ich odcięciem się od niego. Ktokolwiek zada sobie trud poczytania wyżej wymienionych, zobaczy, że oni sami żydowski świat, z którego z ulgą uciekli, uważali za świat ciemnoty, zabobonu i cywilizacyjnego zacofania, niewart docenienia w nim niczego poza ewentualnie miłością matki. Publicystyka Słonimskiego była tak ostro antyżydowska, czy raczej „antychałaciarska”, że – jak głosi anegdota – KC PZPR kazał Rakowskiemu przypomnieć jego przedwojenne felietony w „Polityce” po marcu 1968 r. A szmoncesowa szydera z żydłaczających geszefciarzy, acz pisana przez genetycznych Żydów, do łez bawiła przede wszystkim antysemitów, utwierdzając ich w wyznawanych stereotypach („Żyd-antysemita, co żydożerczą swą faccją próbował jednak się z endecją” – podsumowywał potem Słonimskiego Hemar).

Osiągnęli tak wiele właśnie dlatego, że nie chcieli być Żydami, tylko Polakami, i to, jak to neofici, bardziej od samych Polaków polskimi. I za to rzeczywiście warto ich upamiętnić. Tylko nie wiem, czy Polin zdaje sobie z tego sprawę. ©©

Dzisiaj należy do panteonu niepokalanych III RP. Obok Lecha Wałęsy i Bronisława Geremka. Każde przypomnienie jakiegoś kiksów czy błędnej decyzji Tadeusza Mazowieckiego wywołuje święte oburzenie. Dokładnie 30 lat temu Sejm powołał pana Tadeusza na premiera ostatniego rządu PRL. Sam Mazowiecki przedstawiany jest jako pierwszy premier niekomunistyczny, ale jego rząd miał w swoim składzie gen. Czesława Kiszczaka czy gen. Floriana Siwickiego jako gwarantów wpływów PZPR i osobiście ówczesnego prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego.

Pamiętam, że pierwsze posiedzenia rządu pod jego przewodnictwem solidarnościowy lud odbierał jak wielkie święto. Na tle wcześniejszych, niemal wyłącznie męskich gabinetów lat 80. minister kultury Izabella Cywińska ze swymi powiewnymi spódnicami i szalami

nia, że harują od rana do wieczora i zadawanie im jeszcze co bardziej dociekliwych pytań jest głęboko niestosowne.

A do ówczesnych dziennikarzy solidarnościowych szybko docierać zaczęły niepokojące sygnały. A to o paleniu akt SB, a to o braku zmian w telewizji, a to o walce o władzę w obozie solidarnościowym. Gdy w listopadzie 1989 r. publicysta „Tygodnika Solidarność” Piotr Wierzbicki jako pierwszy opisał rosnący podział na frakcje w artykule „Familia, świta, dwór”, elity wspierające Mazowieckiego wybuchły oburzeniem – jak można tak lekceważąco pisać o naszym panu Tadeuszu?!

Sam premier zamknął się w urzędzie ministrów. W teren wyjeżdżał rzadko. Dla mediów wypowiadał się nieczęsto. I źle reagował na krytykę. Jarosław Kaczyński – dziś przedstawiany niekiedy jako ówczesny prześladowca pana Tadeusza – chodził wokół tego rządu na paluszkach. Gdy Jacek Kurski napisał w sierpniu 1990 r. krytyczne podsumowanie 12 miesięcy rządu pt. „Rok Mazowieckiego”, Kaczyński nie zdecydował się na puszczenie tekstu w swoim „Tygodniku Solidarność”. Na druk tekstu zdobyło się dopiero zdychające już postpeerelowskie pismo „Konfrontacje”. A i tak, jak głosiła plotka z Urzędu Rady Ministrów, premier miał dostać przy lekturze tekstu Kurskiego palpitacji.

Ostatnia faza rządu Mazowieckiego to już pojedynki wyborczy z Lechem Wałęsą i zapomnianym już politycznym szamanem z Peru – Stanisławem Tymińskim. Mazowiecki przecenił swe siły – był przekonany, że Polacy gremialnie go poprą i zwycięży z Wałęsą. Przegrał już w pierwszej rundzie z Tymińskim.

Klimat jego rządów będę pamiętał przez pryzmat jednego wydarzenia. Gdzieś w połowie roku Wałęsa wspierany przez braci Kaczyńskich rzucił wyborcze hasło „przyspieszenia”. Traf chciał, że z jakiegoś błędnego powodu szefowie z „Tygodnika Gdańskiego” wysłali mnie wtedy do Ministerstwa Edukacji Narodowej na konferencję wiceminister Anny Radziwiłł. Pani minister, omawiając plany zmian w szkolnictwie, niewinnym głosem skomentowała te plany tak: „Omawiając nasze pomysły, użyłabym słowa »przyspieszenie« – tu pauza, sekunda milczenia dla wzmożenia uwagi – gdyby nie to, że tego słowa dziś nikt przyzwoity nie używa”. Tak, tak, drogi, zwłaszcza młody, Czytelniku. Jeśli myślisz, że dzielenie świata na ludzi rozumnych i porządných kontra obóz nienawiści i kłamstwa jest wynalazkiem ostatnich lat, to grubo się mylisz. Ten klimat poznałem 29 lat temu. I, niestety, prześladowuje mnie do dziś – tylko celebryci się zmieniają. ©©



Piotr Semka

/ Felieton

Pan Tadeusz

Jeśli myślisz, że dzielenie świata na ludzi rozumnych i porządných kontra obóz nienawiści i kłamstwa, jest wynalazkiem ostatnich lat, to grubo się mylisz

jawiła się jak rajski ptak. Kolejną kobietą była rzecznik rządu – Małgorzata Niezabitowska.

Gdy przyjechałem do niej na wywiad jesienią 1989 r., czułem się jak stremowany uczeń. Olśniewająca lwica salonów, zdobna burza blond włosów. Wypowiadała się z wyniosłością brytyjskiej królowej. I ten styl zaczął być z czasem coraz bardziej normą w komunikacji z rządem Mazowieckiego. Niemal wszyscy ministrowie dawali do zrozumie-

XVI–XVII w. / Wielkie Księstwo Litewskie



Potęga i upadek Sapiehów

Słynny heraldyk Kasper Niesiecki wywodził ród Sapiehów od Narymunda, syna Giedymina. To jednak tylko legenda stworzona przez Sapiehów, lecz dzięki niej Sejm uznał w 1768 r. ich tytuł książęcy, przysługujący rodom wywodzącym się z dynastii panujących. W rzeczywistości Sapiehowie wywodzą się z bojarów ruskich ze Smoleńszczyzny.



Tomasz Stańczyk

/ Byli niekoronowanymi władcami Litwy. Poniosły ich duma i pycha. Zostali surowo ukarani

Ich protoplastą był Semen, pisarz wielkiego księcia litewskiego, o przydomku Sopiha, czyli Sapiący lub Sapacz, który to

przydomek stał się w XVI w. nazwiskiem.

W tamtym stuleciu Sapiehowie byli już wojewodami, a w połowie wieku urodził



Ruiny zamku Sapiehów z XVIII w. w Różanie (Białoruś) FOT. WIKIPEDIA



Lew Sapieha FOT. WIKIPEDIA



Kazimierz Jan Sapieha FOT. WIKIPEDIA

man polny, a był nim od 1615 r. Krzysztof Radziwiłł zwany Młodszym. Po długim wakacie król dał buławę Sapieżom. Spowodowało to konflikt między Radziwiłłami a Sapieżami. Te dwa rody rywalizowały ze sobą o wpływy.

Lew Sapieha to postać szczególnie ważna dla Białorusinów – spadkobierców tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego, do której mają takie same prawa jak Litwini.

Był bowiem ten przedstawiciel rodu zwolennikiem zaznaczenia – w ramach unii lubelskiej – odrębności Wielkiego Księstwa Litewskiego. Patronował stworzeniu III Statutu litewskiego, zbioru praw wysoko ocenianego przez historyków, obowiązującego aż do 1840 r. W statucie tym pojawił się wbrew zapisom unii lubelskiej przepis uniemożliwiający nabywanie dóbr i piastowanie urzędów przez osoby nieurodzone na Litwie, a więc wykluczający koroniarzy. Wzbudziło to opór nowego władcy, Zygmunta III. Wtedy jednak Litwini na czele z Sapieżą zagrozili, że nie uznają go za monarchę. Król uległ i statut został opublikowany, ze wstępem Lwa Sapiehy, w 1588 r.

Rywal Radziwiłła

Lwu Sapieżom, twórcy potęgi rodu, zawdzięczał życiowy start jego bliski krewny z uboższej linii, słabo wykształcony Paweł Jan Sapieha. Doszedł do godności wojewody witebskiego, a w czasach szwedzkiego najazdu został najpierw

regimentarzem, a potem hetmanem wielkim litewskim oraz wojewodą wileńskim. Zofia Zielińska pisała o nim, że wykladał dużo pieniędzy na wypłatę żołdu buntującym się żołnierzom, co stanowiło wówczas poważny problem. W „Potopie” Sienkiewicz przedstawił go z sympatią jako szczerego patriotę i przeciwstawił w tej roli hetmanowi wielkiemu litewskiemu Januszowi Radziwiłłowi (Litwini uważają oczywiście Radziwiłła za patriotę, bo usiłował zerwać wówczas unię Litwy z Polską). Jednocześnie pisarz włożył w usta Zagłoby mało pochlebną ocenę: „Głowa kiepska, musi być z Witebska”. A Paweł Jan był wcześniej wojewodą witebskim.

Deklaracja Sapiehy po stronie Jana Kazimierza w latach potopu szwedzkiego nie była natychmiastowa i bezwarunkowa, gdyż początkowo, tak jak wielu magnatów, uznał zwierzchność Karola Gustawa. Najpewniej o przejściu Sapiehy na stronę Jana Kazimierza zadecydowało to, że Janusz Radziwiłł miał mocną pozycję u Szwedów, a Sapiehowie wszak rywalizowali na Litwie z Radziwiłłami.

Paweł Jan Sapieha początkowo lawirował oraz zajmował postawę wyczekującą i dopiero ofiarowanie mu przez króla godności regimentarza wojsk litewskich skłoniło go do aktywności. Po śmierci Janusza Radziwiłła to Pawłowi Janowi przypadła buława wielka. Zamierzał się rozprawić z innym Radziwiłłem po stronie szwedzkiej – Bogusławem – i pokonał jego wojska.

Jako wódz ani nie był – jak oceniał historyk Andrzej Rachuba – nieudolny, ■

się wybitny przedstawiciel rodu – Lew Sapieha. Karierę rozpoczął od stanowiska pisarza wielkiego litewskiego, by potem zostać podkanclerzym, a następnie kanclerzem wielkim litewskim. Współdziałał ściśle z Zygmuntem III i był rzecznikiem osadzenia jego syna Władysława na tronie moskiewskim. Rywalizował z Radziwiłłami, ubiegał się o buławę wielką litewską po śmierci Chodkiewicza, mimo że zwyczajowo powinien ją otrzymać het-

ani nie odznaczył się talentami wojennymi. Pozwolił się wymknąć wojskom szwedzkim osaczonym nad Sanem.

Terror na Litwie

Synami Pawła Jana byli Kazimierz Jan i Benedykt. Walczyli na Litwie o wpływ z silnymi wówczas Pacami. Popierał Sapiehów król Jan III. Otrzymał od niego godności, odpłacili mu czarną niewdzięcznością. Piastujący stanowiska podskarbiego litewskiego (Benedykt) i hetmana wielkiego litewskiego (Kazimierz Jan), trzymali w swoim ręku finanse oraz wojsko i byli faktycznymi władcami Wielkiego Księstwa Litewskiego po tym, jak potęga i dominacja Paców skończyła się ze śmiercią w pierwszej połowie lat 80. XVII w. Michała i Krzysztofa Paców, dzierżących urzędy hetmana wielkiego litewskiego i kanclerza wielkiego litewskiego. Nie mieli godnych siebie następców.

Kazimierz Jan, hetman wielki od 1683 r., i Benedykt, podskarbi od 1676 r., rządili na Litwie, kaptując sobie stronników, co zresztą rujnowało ich finansowo, i terroryzując przeciwników w brutalny sposób. Historyk Kazimierz Piwarski oceniał, że szlachta była zależniona, zależna politycznie, a często także gospodarczo. Andrzej Rachuba stwierdzał natomiast, że Sapiehowie brutalne metody przejęli od Paców, ale udoskonalili je i byli jeszcze bardziej bezwzględni. „Najbardziej opornych bito lub więziono, skazywano na utratę czci i majątku”. Sapieżyńscy ludzie rujnowali ich dobra ziemskie.

Jan III, widząc wzrost potęgi Sapiehów, skłonił biskupa wileńskiego Konstantego Brzostowskiego do złożenia wniosku o postawienie hetmana przed sądem za to, że rozłożył swe wojska na zimowe leże w dobrach kościelnych. Biskup rzucił na Sapiehę interdykt, jednak kler na Litwie, zależny od Sapiehów, nie zamierzał się do niego stosować, a prymas Michał Radziejowski potem interdykt cofnął.

Kontrowersje budziła postawa hetmana Kazimierza Jana podczas wypraw wiedeńskich. Miały w niej wziąć udział obok wojsk koronnych także wojska litewskie. Ich koncentracja i wymarsz opóźniały się jednak tak bardzo, że nie pojawiły się pod Wiedniem. Jedni histo-



Matka Boska Kodeńska FOT. WIKIPEDIA

rycy nazywali to działaniem z premedytacją Sapiehy, wręcz sabotażem, inni jednak uważają, że nie bojkotował on wyprawy pod Wiedeń, a przyczyną były trudności skarbu litewskiego z opłaceniem wojska. Kiedy wreszcie wojska litewskie przeszły granice Rzeczypospolitej, hetman nie kwapił się z połączeniem z armią koronną i Janem III. Żołnierze Sapiehy rabowali i palili wsie na Orawie, byli niekarni i unikali walki. Kiedy wreszcie wojska się połączyły, Sapieha uczynił afront królowi, nie stawiając się na ich przegład. Za swoją postawę nie poniósł konsekwencji.

Olkieniki

Sapiehowie rządili nadal niepodzielnie i brutalnie na Litwie. Współczesny im bp Andrzej Chryzostom Załuski oceniał: „Ustały na Litwie prawo, sprawiedliwość, wstyd; wszystko podlega mieczowi, rządzi kto mocniejszy, a prawa dyktuje brzydka namiętność. Trzeba się obawiać, aby za taki ucisk szlachty, choć powoli, nie nastąpiła kara boża”.

W 1696 r. została zawiązana pierwsza konfederacja szlachty, na czele z Ogiński, Pociejami i Kociełłami, wymierzona we wszechwładzę Sapiehów. Opozycjoniści żądali ograniczenia uprawnień najwyższych urzędników Wielkiego Księstwa, a tymi byli Sapiehowie.

Początkowo jednak to oni byli górą. Pewien przypadek zyskał nowych przeciwników Sapiehom. Na wileńskiej ulicy, myśląc, że z naprzeciwka gdzieś w karecie Michał Kociełł, szef konfederacji, ludzie Kazimierza Sapiehy użyli broni palnej z ewidentnym zamiarem zabójstwa. W karecie byli jednak dwaj

księżęta Wiśniowieccy i jeden z nich został ranny. Nie dali się przeprosić.

Obie strony konfliktu parły do zbrojnej konfrontacji. Decydująca – po wcześniejszych starciach – nastąpiła w 1700 r. pod Olkienikami i zakończyła się klęską Sapiehów. Kazimierz Jan i Benedykt uciekli z pola walki. Zwycięcy okazali się okrutni dla pokonanych. Pijana szlachta rozsiekła szablami wielu wziętych do niewoli. Tak mściły się na ludziach Sapiehów wieloletnie rządy twardej ręki hetmana i podskarbiego. Jak pisał Jasienica, do mordów zachęcał ksiądz kanonik Białożor. Miał osobiste powody, bo jego brata stracono z rozkazu hetmana. Wiśniowieccy próbowali ratować przed śmiercią Michała Sapiehę dowodzącego pod Olkienikami syna hetmana. Usiłowali wywieźć go w karcie, lecz wówczas „niejaki Świderski ciął z tyłu głowę koniuszego, że upadł na ziemię, a książęta ledwie się salwowali, tam dopiero furor populi dokazywała nad nim, rozrąbano straszliwe ciało na sztuki, gdzie trzy dni tratowane w błocie leżało”.

Bitwa pod Olkienikami złamała potęgę rodu Sapiehów. Ich dobra były pustoszone przez zwycięzców, a oni zostali pozbawieni w 1703 r. urzędów i – choć później zajmowali wysokie stanowiska w Wielkim Księstwie Litewskim – nigdy już nie odzyskali takiego znaczenia, jakie mieli w końcu XVII w.

Pokonanie tyrańskich Sapiehów niewiele jednak zmieniło. Historyk Andrzej Sulima-Kamiński oceniał, że Olkieniki, choć były klęską tego rodu, nie spowodowały w konsekwencji zniszczenia ekonomicznych podstaw litewskiej oligarchii. „Długotrwała wojna domowa na Litwie zdumiewa rozmiarem dysproporcji między rozmiarem poświęceń mierzonym daniną krwi i strat materialnych a minimalizmem wprowadzonych zmian”.

A opozycjoniści Sapiehów nie byli bynajmniej święci. Sapiehowie, jeszcze przed Olkienikami, zarzucali Michałowi Kociełłowi i Ludwikowi Pociejowi machinacje oraz oszustwa finansowe, zresztą nie bez podstaw. Michał Kociełł jako podskarbi litewski dopuszczał się niesłychanych nadużyć i został skazany na infamię i śmierć, jednak uniknął wykonania wyroku. Głową zapłacił natomiast jego żydowski współpracownik w machinacjach. Ludwik Pociej, który też został podskarbisem, wypuszczał bardzo

lichą monetę, nazywaną od jego inicjałów „ludzkim płacem”.

Kodeński obraz

Kodeń był jedną z siedzib Sapiechów. Nie zachował się ich zamek, wznosi się tam natomiast kościół, dziś bazylika św. Anny, ich fundacji z lat 1629–1640, a w niej znajduje się cudowny wizerunek Matki Boskiej Kodeńskiej. Został sprowadzony przez Mikołaja Sapiechę, chorążego litewskiego w latach 30. XVII w. Według tradycji rodzinnej schorowany Sapiecha udał się w 1631 r. do Rzymu z pielgrzymką i w papieskiej kaplicy doznał uzdrowienia przed obrazem Matki Boskiej Gwadelupskiej. Obraz miał być namalowany przez mnicha Augustyna (niekiedy mówi się o św. Augustynie) w VI w., a przedstawiał rzeźbę Maryi wykonaną rzekomo przez Łukasza Ewangelistę. Sapiecha był tak uszczęśliwiony otrzymaną łaską uzdrowienia, że zapragnął zabrać ze sobą ten obraz. Papież Urban VIII – ze względu na historyczne znaczenie tego wizerunku i dlatego, że słynął łaskami – zdecydowanie odmówił. Sapiecha przekupił więc zakrystiana, który wyniósł obraz z kaplicy.

Wizerunek Matki Boskiej trafił do Kodnia. Papież nie darował polskiemu magnatowi. Nakazał mu zwrócić święty wizerunek, poddać się karze rocznego więzienia, a potem udać się z pielgrzymką do Rzymu i przeprosić głowę Kościoła. Sapiecha zgodził się na te warunki, jednak z wyjątkiem zwrotu obrazu. Ostatecznie papież złagodził, a nie bez wpływu było to, że Sapiecha storpedował plan małżeństwa Władysława IV z niemiecką księżniczką – protestantką. Sapiecha przybył do Rzymu, przeprosił papieża, a ten darował mu obraz i jeszcze dodał relikwie św. Kaprycego. W 1723 r., staraniem Jana Fryderyka Sapiechy, obraz został koronowany.

To jednak tylko piękna legenda, stworzona przez tegoż Sapiechę, autora „Historii przeznaczonego obrazu kodeńskiego”, gdyż nie poświadczają jej żadne źródła. Obraz nie był dziełem średniowiecznym, powstał w Hiszpanii w początkach XVII w. i zapewne tam został kupiony przez Sapiechę. Dzisiaj jest jednym z najbardziej znanych cudownych obrazów w Polsce.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Łagodna okupacja



Tomasz Stańczyk

We wrześniu 1939 r. Litwa, mimo niemieckich namów, nie wzięła udziału w ataku na Polskę. Chociaż Litwini przecie o niczym bardziej nie marzyli, tylko by odebrać nam Wilno. Przyszłoby to wówczas bez większych trudności armii litewskiej. Rząd litewski zachował jednak neutralność. Litwini nie byli pewni, jak potoczy się wojna Niemiec nie tylko z Polską, lecz także z Francją i Anglią.

A potem były 17 września i agresja Związku Sowieckiego. W październiku, z rąk Sowietów, już po raz drugi – pierwszy raz w 1920 r. – Litwini dostali Wilno w prezencie. Czy nie budziło to wśród nich frustracji? Gdyby za namową Niemiec zaatakowali Polskę, spotkaliby się z potępieniem Polaków – wypominalibyśmy im to do dziś – ale przynajmniej mieliby satysfakcję, że zbrojnie odebrali nam miasto, które uważali za swoją stolicę. A tak przejęli je z łaski Moskwy. Zapewne wielu Litwinów zdało sobie sprawę, że jest to dar krótkotrwały. Tylko bowiem dzięki Polsce i jej zwycięstwu w 1920 r. Litwa cieszyła się niepodległością przez 20 lat, choć opłakiwała Wilno. Gdy Polska została w 1939 r. podbita, los Litwy był przesądzony.

Polacy wileńscy powitali litewskich żołnierzy z ogromną ulgą. Kończyło się bowiem 40 dni sowieckich rządów, aresztowań i wywózek, strachu przed łomoczącymi do drzwi pracownikami NKWD. Stawiali sobie jednak pytanie, jak się zachowają wobec nich Litwini.

Litwini obejmowali Wilno i Wileńszczyznę jako ziemię, w ich pojęciu, okupowane przez Polaków. Osobliwa to jednak była okupacja terytorium, na którym Litwini stanowili jedynie kilkanaście procent ludności, a w Wilnie, w którym Polacy mieli bezwzględną większość, Litwinów było 2–3 proc. wśród mieszkańców... Tej „okupacji” nie uznała społeczność międzynarodowa. Okupacją było natomiast przejęcie Wilna przez Litwinów. Akceptowały ją Niemcy i Związek Sowiecki, jednak nie Zachód. I dlatego też, między innymi, ani prezydent, ani rząd litewski nie przenieśli się do Wilna.

Pojednawcze słowa wobec Polaków zakończyły się jednak szybko, w listopadzie 1939 r. Zwyciężyli nacjonaliści. Zaczęto gwałtownie litwinizować Wilno. Zabroniono szyldów w języku polskim, pojawiły się tabliczki z litewskimi nazwami ulic, zniknęły Orzeł i polskie napisy z Ostrej Bramy. Litewska policja była brutalna, zrywała orzełki z czapek polskich uczniów. Kto szybko nie nauczył się litewskiego, ten nie miał szans na pracę. Nacjonaliści litewscy przeszkadzali Polakom modlić się w kościołach, zakłócali nabożeństwa, nawet bili wiernych. Odmówiono obywatelstwa litewskiego tym, którzy przybyli do Wilna po 1920 r., traktując ich jako okupantów.

Jednocześnie ukazywały się, choć ostro cenzurowane, polskie gazety, działały polskie teatry. Polskich konspiratorów wyłapywano, traktowano niekiedy brutalnie. Jednak nie da się porównać okupacji litewskiej do tego, co się działo na terenie okupacji niemieckiej i sowieckiej. Tam były Palmiry i Katyń. © ©



„Bitwa pod Kłuszynem”,
mal. Szymon Boguszowicz,
ok. 1620 r. U dołu: herb
Żółkiewskich-Lubicz

FOT. WIKIPEDIA



Maciej Rosalak

/ Stoczył wiele bitew, ale szeroko znany jest z dwóch: wspaniałego zwycięstwa pod Kłuszynem i tragicznej klęski pod Cecorą

1547–1620 /

Mistrzowie staropolskiej sztuki wojennej – Stanisław Żółkiewski

Wielki hetman – pogromca Moskwy

Jakby w przeżyciu dramatu 1620 r. upowszechnił w Polsce słowa Horacego: „Pięknie i słodko umrzeć za ojczyznę” („Ody”). Nawiązując do tego słowa z kolegiaty w Żółkwi, miasta założonego przez Stanisława Żółkiewskiego w 1597 r. Na nagrobku zasieczonym przez bisurmanów pod Cecorą hetmana umieszczono bowiem cytaty z „Eneidy” Wergiliusza: „Powstanie kiedyś z kości naszych mściciel”. To inskrypcja profetyczna. Prawnukiem Żółkiewskiego został bowiem największy pogromca Turków i Tatarów – Jan Sobieski (wnuk Zofii, córki Żółkiewskiego i Reiny z Herburtów, wydanej za wojewodę ruskiego Jana Daniłowicza). Zresztą i zięć

(mąż drugiej córki – Katarzyny), hetman Stanisław Koniecpolski, to ekstraklasa naszych wodzów, mistrzów staropolskiej sztuki wojennej...

Nauki wojowania i polityki nasz bohater pobierał przy boku arcymistrza obu konkurencji – swego krewniaka Jana Zamoyskiego (patrz „HDR” nr 77). Wspierał on zarówno Stanisława Żółkiewskiego (1547–1620), jak i jego ojca, również Stanisława (1520–1588). Tenże średniozamożny podstarość dzięki protekcji potężnego męża stanu został w 1585 r. wojewodą ruskim. Jego syna widzimy przy boku ledwie pięć lat starszego Zamoyskiego już w 1573 r. podczas poselstwa do Paryża (po Henryka Walezego jako króla polskiego), potem z misją na dworze cesarza Maksymiliana II Habsburga, wreszcie na krakowskim dworze Stefana Batorego, którego został sekretarzem.

Uzyskał urzędę kasztelana lwowskiego (od 1590) i wojewody kijowskiego (1608), starosty kałuskiego, hrubieszowskiego, rohatyńskiego, międzyrzeckiego, barskiego i jaworowskiego. Wielokrotnie brał udział w obradach Sejmu, a także w rokowaniach dyplomatycznych wielkiej wagi, np. z Habsburgami (1588; wtedy też został hetmanem polnym koronnym) czy Moskwicami (1610). Wreszcie 6 marca 1618 r. został kanclerzem wielkim koronnym – dokładnie miesiąc po otrzymaniu buławy hetmana wielkiego koronnego. I tak w wieku 71 lat – dwa lata przed tragiczną śmiercią – dorównał swemu wielkiemu protektorowi, ale pełniącemu obydwie te funkcje już w wieku 39 lat i potem w ciągu niemal ćwierćwiecza.

Służba rycerza

Po raz pierwszy odznaczył się 17 kwietnia 1577 r. w bitwie ze zbuntowanymi gdańszczanami pod Lubiszewem. To tam 1,3 tys. polskich jeźdźców oraz 1 tys. węgierskich i polskich piechurów pod wodzą hetmana nadwornego Jana Zborowskiego rozgromiło znacznie liczniejszych nieprzyjaciół (10–12 tys.), z których większość stanowiła milicja miasta. W oczach 30-letniego Żółkiewskiego ów sukces dowiódł wyższości zawodowego wojska nad uzbrojonymi mieszczanami, skuteczności współdziałania dobrze wyszkolonej kawalerii i piechoty, druzgocącej siły naszych

husarzy i bezsensu panicznej ucieczki, którą wywołała już druga ich szarża. Ponad 4 tys. gdańszczan zginęło, przy 60 naszych zabitych.

Współ z Zamoyskim wojował podczas kampanii Stefana Batorego przeciw Iwanowi Groźnemu (1579–1581). Walczył wtedy m.in. pod Zawołoczem, mając u boku ojca i brata Mikołaja. Po bitwie pod Byczyną (patrz: „HDR” nr 77) z Maksymilianem Habsburgiem, gdzie zdobył wroga chorągiew i odniósł poważną ranę, a jednocześnie wykazał lojalność wobec nowego króla Zygmunta III, został hetmanem polnym.

W 1895 r. – o czym słabo się u nas pamięta – rozegrana została pierwsza bitwa pod Cecorą z armią tatarsko-turecką. Prowadził ją chan krymski Ćazi II Girej, który – mając 25 tys. bitnych wojowników – był pewny zwycięstwa. Tymczasem obydwa hetmani, Zamoyski i Żółkiewski, dysponujący 7,3 tys. zbrojnych, postawili nad Prutem warowny obóz, którego chan nie mógł zdobyć, a wypadom polskiej konnicy nie był w stanie się przeciwstawić. Ponoślił tak duże straty, że poprosił o pokój i przystał na objęcie mołdawskiego tronu przez protegowanego Polaków – Jeremiego Mohyłę. Niestety, ćwierć wieku później Żółkiewski o naukach płynących z tej bitwy i całej kampanii, pod tą samą Cecorą, albo zapomniał, albo nie był w stanie ich zastosować... Natomiast w 1600 r. Żółkiewski przyczynił się do zwycięstwa Zamoyskiego na Wołoszczyźnie nad Michałem Walecznym, zapewniając panowanie dwóm Mohyłom – Szymonowi na Wołoszczyźnie i Jeremiemu znów w Mołdawii.

Miedzy wyprawami „za multański brzeg” stłumił powstanie kozackie Semena Nalewajki, który m.in. zdobył

Mohylew i Stuck, dokonując rzezi mieszkańców. Hetman polny koronny pokonał go 3 kwietnia 1596 r. nad Oстрыm Kamieniem, a następnie – po dwumiesięcznym oblężeniu taboru – w bitwie pod Łubniami na uroczysku Sołonica. Nalewajkę stracono na warszawskiej Górze Szubienicznej, gdzie w XIX w. stała Cytadela.

W drugim roku wojny ze Szwecją o Inflanty obydwa hetmani koronni wyprawili się tam, by wesprzeć Litwinów. Zamoyski z 2 tys. żołnierzy oblegał od końca maja 1602 r. Biały Kamień, silną twierdzę pośrodku Estonii. Żółkiewski rozgromił zaś 30 czerwca odsiecz, którą Reinhold Arnep szykował pod Rewlem (Tallinem). Gdy szarża husarii z marszu utknęła przed zasiekami piechoty, wysłał lekkie chorągwie na jej tyły, a wtedy ponowiona szarża husarii rozbiła Szwedów. Poległo ich 200 wraz z dowódcą. Załoga Kamienia, nie doczekawszy się odsieczy, skapitulowała z końcem września.

Podczas rokosz Zembrzowskiego wsparł króla, wspólnie z Janem Karolem Chodkiewiczem i Janem Potockim pokonując rokoszan pod Guzowem.

W 1609 r. moskiewska smuta i awantury dymitriad przerodziły się w wojnę Rzeczypospolitej z Moskwą połączoną sojuszem ze Szwecją. Wojska polskie pod wodzą króla oblegały od września 1609 r. Smoleńsk. Następnego roku ruszyła przeciw nim silna armia moskiewsko-szwedzka. Odsiecz tę rozgromił jednak hetman polny Stanisław Żółkiewski, odnosząc jedną z najświetniejszych wiktorii w dziejach wojen. Uporczywe i zakończone świetnym zwycięstwem nad pięciokrotnie liczniejszym wrogiem szarżę ludzi i wierzchowców – po całonocnym marszu! – wystawiają znakomite świadectwo polskiemu orężu (szerzej poniżej). ■



Strzelcy najemnej piechoty szwedzkiej z początku XVII w.

RYŚ. MAREK SZYSZKO



■ Zwycięstwo pod Kłuszynem przekreśliło sojusz moskiewsko-szwedzki i otworzyło Polakom bramy Moskwy. Efektem stały się: podpisanie z bojarami unii polsko-moskiewskiej, zajęcie Kremla przez wojsko polskie i ogłoszenie carem królewicza Władysława. Zygmunt III odniósł się jednak z rezerwą do hetmańskiej dyplomacji, zwłaszcza że los syna na moskiewskim tronie był mocno niepewny, a cel wojny – odebranie Smoleńska – został osiągnięty. Gdy jednak 29 października 1611 r. zdeponizowany i pojmany car Wasyl Szujski wraz z dwoma braćmi składał hołd polskiemu królowi, podkanclerzy Feliks Kryski dziękował Żółkiewskiemu słowami: „Sama sława imię Waszmości in longam (na długo) rozniesie posteritatem (potomnym), boś to sprawił, co nad siły i wszelkie było oczekiwanie”.

W dalszych latach hetmanowi się nie wiodło. Pod koniec drugiej dekady XVII stulecia Rzeczpospolita zrezygnowała z ingerowania w sprawy Mołdawii, Wołoszczyzny i Siedmiogrodu. Porażka 28 września 1618 r. z najazdem tatarskim pod Oryninem na Podolu wywołała oskarżenia o nieudolność i tchórzostwo. Hetman (już wielki koronny) nie potrafił zebrać wojsk pod swą komendą i w efekcie obok jego obozu pojawiły się jeszcze dwa magnackie, a Tatarzy po zwycięskich potyczkach po prostu je ominęli i złupili niemal całą Ruś.

Rozejm w Dywulinie był formalnie korzystny – w 1619 r. powierzchnia Rzeczypospolitej powiększyła się do

1 mln km kw. – ale Moskwy Romanowów nie złamaliśmy, a musieliśmy się zgodzić na ustępstwa wobec Turków i Hohenzollernów (linia elektorska otrzymała lenno pruskie).

Orynin był jakby sygnałem ostrzegawczym, że daje o sobie już znać podeszły wiek hetmana. Złożył on nawet (1619) buławę na ręce króla, ale ten rezygnacji nie przyjął, a w następnym roku pozwolił, by Żółkiewski ruszył przeciw Turkom i Tatarom na Mołdawię. Wyprawa była źle przygotowana politycznie i organizacyjnie, a hetman nie potrafił

już twardo dowodzić. Nie uśmierzył też otwartej anarchii ani buntu. W efekcie we wrześniu 1620 r., po nierozstrzygniętej obronie obozu, wojska koronne zostały rozbite w bezładnym odwrocie. 7 października 1620 r., 10 km od granicy na Dniestrze, otoczony przez wrogów stary hetman mężnie trwał do końca, z szablą w ręku. I taki pozostał w narodowej pamięci ów rycerz Rzeczypospolitej.

Kłuszyn 1610

Przypomnijmy największy z jego triumfów... Carski brat Dymitr Szujski wiódł pod oblegany przez Polaków Smoleńsk odzież: prawie 40 tys. żołnierzy, w tym 8 tys. najemników szwedzkich. Hetman Żółkiewski ruszył przeciw niemu, idąc 18 km nocą z 3 na 4 lipca pod Kłuszyn, mając pod komendą ponad 6 tys. jazdy (przede wszystkim husarię) i 200 piechurów. Zaskoczenie nie w pełni się powiodło. Kolumna marszowa rozciągnęła się na parę kilometrów, piechota nie nadążała, a dwa działa utykały w błocie. Na miejscu Polaków zaskoczyły płoty i zabudowania uniemożliwiające natychmiastową szarżę. Trzeba było czasu, by zebrać całe wojsko, dać nieco odpocząć utrudzonym i ustawić oddziały do natarcia.

Tymczasem obudzili się wrogowie, odpędzili naszych Kozaków od płotów i sami sformowali szyki. Na prawym skrzydle dowódca szwedzki De la Gardie ustawił w pierwszym rzucie piechotę,



Hetman Stanisław Żółkiewski FOT. ARCHIWUM

„Początek i progres wojny moskiewskiej”

Oto trzy krótkie, ale pouczające fragmenty z pamiętników samego Żółkiewskiego

Gdy już tak wojsko stanęło w sprawie, objeżdżając pan hetman od hufu do hufu, animował swoich, ukazując, jako „necessitas in loco, spes in virtute, salus in victoria” (trzeba walczyć tu, nadzieja w męstwie, ocalenie w zwycięstwie), i kazał uderzyć w bębny, w trąby do potkania...

Naszym, którzy na moskiewskie hufy przyszi, łączniejsza była sprawa, bo Moskwa nie strzymała raz, jeśli uciekać, nasi gonić. W tym też one falkoneci z trochę piechoty przyszy, i bardzo potrzebie dogodziły. Bo do onych Niemców pieszych, którzy przy płocie stali, wygodzili puszkarze z działek, i piechota, choć ich trochę, ale

ochrościani i w wielu potrzebach bywali, skoczyli do nich i upadło zaraz między Niemcy kilku z działek, z rusznicyli postrzelanych... jeśli Niemcy od płotu uciekać do lasu, który tam był niedaleko... Aż kiedy już nie stało onych Niemców pieszych... skupiwszy się kilka rot naszych, uderzyli w oną jazdę cudzoziemską kopijami, kto jeszcze miał, pałaszami, koncerzami. Oni też... nie mogli się oprzeć, jeśli w swój obóz uciekać. Ale i tam nasi na nich wjechali, bijąc, siekąc, pędzili ich przez ich obóz własny. Wtenczas Pontus i Horn pouciekali. Zostało było jeszcze do trzech tysięcy albo i lepiej tych cudzoziemców. Stali w kraju przy lesie... Chcąc tedy owi cudzoziemcy

o zdrowiu swym radzić, wysłali do pana hetmana, prosząc rokowania...

Książ Dymitr i książ Galiczyn, widząc [te rokowania] jeśli... gwałtownie ku lasowi uciekać, co najkosztowniejsze rzeczy, kubki, czary srebrne, szaty, sobole rozłożywszy na widoku w obozie swym. Rzucili się nasi w pogoni, ale mało ich goniło. Padli w obozie na łupie onym, bo też to Moskwa na to uczyniła, żeby naszych od gonięcia zabawiła. Gdyśmy do nieprzyjaciela szli, tylko działka, a samego pana hetmana karytka była; nazad się wracając, było wozów, kolas ledwie nie więcej niżli nas. Bo zaprzężone stały moskiewskie kolasy, które nasi naładowawszy łupami wieźli...



a za nią rajtarię.

Szujski miał na lewym skrzydle tysiące szlacheckiej jazdy moskiewskiej, a w centrum ustawił wojska zaciężne, i to tak głupio, że rotę strzelców i armaty stały z tyłu.

Toteż trzytysięczny pułk Aleksandra Zborowskiego wsparty ośmioma chorągwami husarii i pancernych pod wodzą pułkowników Kazanowskiego i Dunikowskiego (ponad tysiąc szabel) miał ułatwiony atak. Na najemników szwedzkich nacierał pułk starosty chmielnickiego Mikołaja Strusia (ponad 1,5 tys. ludzi) oraz kilka chorągwi husarskich i pancernych pod dowództwem ks. Janusza Poryckiego (tysiąc szabel). Hetman trzymał przy sobie kilka chorągwi odwodowych w centrum oraz Kozaków jako osłonę skrzydeł.

Ustawione w szachownicę chorągwie, stopniowo wprowadzane do walki, wielokrotnie atakowały głębokie szyki o wiele liczniejszej jazdy moskiewskiej. „To jedno przypomnę, do wierzenia niepodobno, że drugim rotom się trafiło razów osiem albo dziesięć przyjąć do sprawy i potykać się z nieprzyjacielem [...] bo już po częstym sprawę przychodzeniu i potykaniu się z nieprzyjacielem, jak znowuż i ryszunku nam ubywało, i siły ustały... konie też na poły zemdlone mając, bo od świtania dnia letniego aż po obiad godzin pięć pewną z nimi bez przestanku czyniąc (bitwę), już i siłę z ochotą zegnali, nad naturę ludzką czyniąc” – wspominał husarz Samuel Maskiewicz.

Szujski popełnił błąd, wysyłając przeciw husarzom rajtarów, którzy raz tylko zdołali wystrzelić. Polscy jeźdźcy wsiedli im na karki i przerażonych pognali na dalsze szeregi, wywołując popłoch i ucieczkę wszystkich moskiewskich wojsk! Na prawym skrzydle najemnicy także z początku odpierali ataki jazdy, w czym pomagał im nieszczęsny płot. Jednak palba 200 polskich piechurów odrzuciła muszkieterów szwedzkich do tyłu i umożliwiła nareszcie szarżę husarii. Rozgromiła ona rajtarów, a piechotę zepchnęła do ufortyfikowanego obozu. Wielu najemników przystało na propozycję płatnej służby dla polskiego króla i poddało obóz ok. godz. 9.

W bitwie zginęły 2 tys. żołnierzy moskiewskich i 700 najemników szwedzkich. Polskie straty wyniosły 200 zabitych i drugie tyle rannych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wolne Państwo Krynica Morska



Maciej Rosalak

Kiedy przemierza się ostatnie kilometry przed granicą z Rosją na Mierzei Wiślanej, plaża stopniowo pustoszeje, aż w końcu staje się bezludna, a wrzask mew brzmi nieco upiornie. W słonecznej, upalnej pustce tylko rosyjska wieżyczka strażnicza wlepią w nas ciemne oczodoły otworów okiennych zza wysokiej siatki przecinającej prostopadłe wydmy, plażę i przybrzeżną płycznę. Tak wygląda granica Rosji z... nie, wcale nie z Polską! Przed siatką wbity został słup, a do słupa przyczepiono tablicę z inskrypcją, że oto doszliśmy do granicy... Krynicy Morskiej z Federacją Rosyjską, za której przekroczenie grożą stosowne konsekwencje (niestosowne, ale stosowane po tamtej stronie drutów są w domyśle). Napis jest wykonany porządnym, czytelnym liternictwem i ozdobiony kółkiem z 12 złotych gwiazdek na niebieskim polu. Białego orła na czerwonej tarczy brak, a podpisał się pod owym obwieszczeniem sam burmistrz Krynicy. Czyli, jak wynika z napisu i ze wspomnianego godła – stolicy Wolnego Państwa Krynicy Morskiej należącego do federacji Unia Europejska.

Po raz pierwszy dojechałem tu w 2008 r., po raz ostatni – w 2013 r. W kolejnych paru latach bywali tu znajomi, którzy potwierdzali, że dumna inskrypcja nadal informowała, pouczała i wychowywała zbłąkanych plażowiczów. Kiedy sam tu chodziłem, kilkakrotnie nad moją głową szybko i z wielkim hukiem przeleciał odrzutowy myśliwiec. „Dobra nasza – myślę sobie – to pewnie samolot sił powietrznych burmistrza Wolnego Państwa Krynicy Morskiej strzeże wybrzeża!”. A tu patrzę, a on wcale nie zawraca ani do Wolnego Państwa Krynicy Morskiej, ani do zaprzyjaźnionego Wolnego Miasta Gdańska, tylko leci dalej na wschód, aż znika gdzieś daleko za granicą Federacji Rosyjskiej, może nawet za Kaliningradem, dawniej Królewiec (Königsberg). Co robił nad nie swoim wybrzeżem? Nic, tylko patrolował je w porozumieniu z Wolnym Państwem Krynica Morska, no bo przecież nie wtargnął tu bezczelnie, dając w ten sposób do zrozumienia, jak Rosja szanuje taki kraj, którego unitarność mają w głębokim poważaniu suwerenne gminy i regiony jego wybrzeża.

No cóż, trzeba uszanować wolę stałych mieszkańców gmin, powiatów, miast i województw, którzy w demokratycznych wyborach okazują zaufanie tym radnym, burmistrzom i prezydentom, którzy wracają do chlubnych tradycji bürgermeisterei i gauleiterów, a dość mają tyranii władz państwa o nazwie Rzeczpospolita Polska ze stolicą w Warszawie. Długo pewnie w tej stolicy ten rząd się nie utrzyma. Czterdzieści lat było to miasto otwarte niemal wyłącznie dla funkcjonariuszy partii i służb, potem rosły w nim ich dzieci, złośliwie zwane resortowymi, więc dziś o wyniki wyborów możemy być tu spokojni. Znane z lat 80. hasło: „Gdańsk Warszawa wspólna sprawa!” nabiera nareszcie właściwego znaczenia. © ©

Arsenał w Grazu



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego
w Warszawie

**/ Na południu Austrii jest największa na świecie
zbrojownia z historycznym orężem**



W drodze na wakacyjny wypoczynek do Chorwacji warto zatrzymać się w austriackim Grazu, stolicy Styrii. W znajdującym się tam arsenale, wzniesionym pod koniec pierwszej połowy XVII w., zgromadzono kilkadziesiąt tysięcy sztuk broni i wojskowego wyposażenia z epoki nowożytnej. Wyjątkowość miejsca polega na tym, że militaria złożono tutaj kilkaset lat temu i pomimo dziejowych zawieruch przetrwały one w niezmiennionej postaci po dziś dzień. Po raz pierwszy udostępniono je szerokiej publiczności w 1882 r. Tylko raz w historii, w latach II wojny światowej, kolekcję zabrano z Grazu i zabezpieczono. Po 1945 r. wszystkie zabytki powróciły na swoje miejsce.

Investycja sprzed wieków, polegająca nie tylko na zaprojektowaniu i zbudowaniu specjalnego budynku, lecz także zakupieniu zestawów uzbrojenia dla kilkunastotysięcznej armii, związana

była z militarnym znaczeniem Styrii. Od czasów tureckiej ekspansji i upadku Węgier (podział królestwa po 1526 r.) region ten stał się habsburską prowincją graniczną, stale narażoną na ataki Osmanów oraz Madziarów. Władze Styrii odpowiadały za organizację tzw. Pogranicza Wojskowego oraz osłonę południowej flanki cesarstwa. Gros broni pochodzi z XVII w. i początków kolejnego stulecia, ale zobaczyć tutaj można także starsze militaria, przekazane do zbrojowni w okresie, kiedy nie odgrywała już swojej pierwotnej roli, stając się swoistą pamiątką przeszłości.

Efektownie prezentują się kompletne zestawy ochronne dla piechoty (półzbrojki płytowe) oraz kawalerii – np. zbroje trzywierzciowe dla ciężkozbrojnych kirasjerów. Do tego rozmaite wzory hełmów, m.in. moriony, szturmaki, szyszaki i hełmy z ruchomymi zasłonami. Imponuje zestaw kirysów folgowych zakładanych na kolczugi i przeznaczonych dla husarzy, czyli średniozbrojnej kawa-

lerii rekrutowanej na pograniczu m.in. ze Słowian. Na niektórych napierśnikach dostrzec można charakterystyczne wgłębienia pochodzące od pistoletowych kul. Nie są to jednak pamiątki bitewne, ale ślady po procesie kontroli jakości, któremu poddawano wybrane egzemplarze zbroi. Uzbrojenie kupowano zarówno w Styrii, od wieków słynącej z produkcji zbrojeniowej (stąd także pochodziła znaczna część głowni polskich szabel), jak i w innych ośrodkach, zwłaszcza w Augsburgu i Norymberdze.

Spotykamy różnego rodzaju broń zaczepną: sieczną, drzewcową i obuchową. Jest tutaj m.in. blisko 2,5 tys. rapierów, pałaszy, koncerzy i szabel. Wśród tych ostatnich zdecydowanie dominują egzemplarze typowo zachodnioeuropejskie, charakteryzujące się rozbudowanymi rękojeściami, ale nie można nie dostrzec doskonale nam znanych „węgierek” zaopatrzonych w prosty jelec krzyżowy, które były znakiem rozpoznawczym XVI- i XVII-wiecznych husarzy Rzeczypospolitej. Większość złożonych w stosy pik, przeznaczonych dla żołnierzy piechoty, nie zachowała swojej pierwotnej długości sięgającej 5 m. Zostały skrócone pod koniec XVII w., z chwilą upowszechnienia się bagnetu.

Broń palna liczy ponad 8 tys. egzemplarzy. Są to muszkiety i arkebuz z zamkami lontowymi i kołowymi, różnych typów i długości, a także setki hakownic wałowych przeznaczonych do obrony murów miejskich i innych fortyfikacji. Zwracają uwagę muszkiety z kombinowanymi zamkami – kołowym i lontowym – używane przez cesarskich strzelców z końca XVII w., a także wczesne karabiny z zamkami skałkowymi i bagnetami. Wspaniale prezentują się zbiór pistoletów kołowych dla kawalerzystów, a także liczny zestaw rozmaitych akcesoriów, w tym prochownice, formy do lania kul, a także oryginalne skórzane olstra do pistoletów. Dopełnieniem całości jest sprzęt artyleryjski, w tym armaty na oryginalnych ławetach oraz móżdziejze obłężnicze. Dział zachowało się niewiele, większość została zabrana przez Francuzów w dobie wojen napoleońskich. ©©

Pierwsze maximy dla carskiej piechoty

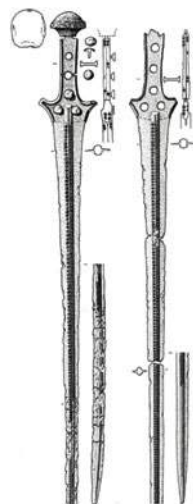
Na początku XX w. rosyjskie czynniki wojskowe ostatecznie utwierdziły się w przekonaniu o potrzebie wyposażenia wojsk polowych w karabiny maszynowe. Z niemiecką Deutsche Waffen und Munitionsfabriken podpisano umowę



na dostawę 224 cekaemów Maxim na kołowych lawetach. W 1901 r. w warszawskim okręgu wojskowym sformowano cztery pierwsze polowe kompanie liczące po osiem maximów i przeznaczone dla dywizji piechoty. Piąta weszła w skład 3. Wschodniosyberyjskiej Brygady Strzelców. Karabiny osadzano na kołowych lawetach polowego typu – masa maxima w położeniu bojowym przekraczała 300 kg. Laweta miała zaprzęg jednokonny. Jednoogonowe łożo zaopatrzone było w siodełko dla celowniczego, masywna tarcza ochronna miała w górnej części zbiornik na wodę połączony przewodem z chłodnicą karabinu. W momencie wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej (1904) Rosja miała kilkaset cekaemów systemu Maxima rozrzuconych po całym imperium i wchodzących w skład garnizonów twierdz, oddziałów floty i wojsk polowych. Na Dalekim Wschodzie było ich 95 – gros w Port Artur, natomiast wojska polowe dysponowały zaledwie jedną 8-karabinową kompanią wspomnianej brygady. Przeszła ona chrzest bojowy wczesną wiosną 1904 r., broniąc tzw. Pozycji Ciuliencheńskiej. ©©

Z brązu

Epoka brązu miała donieść znaczenie dla historii oręża – pojawił się wówczas miecz. Pierwsze egzemplarze z obszaru Morza Egejskiego datowane są już na III tysiąclecie p.n.e. Jednym z centrów produkcji była Kreta – stąd broń eksportowano na pozostałe obszary. Jednym z ciekawszych i bardzo oryginalnych mieczy jest tzw. typ A (według klasyfikacji Nancy Sandars z początku lat 60. ubiegłego wieku). Choć znaleziska archeologiczne poświadczają jego występowanie na znacznym obszarze, to wielu badaczy wiąże jego powstanie z kulturą minojską. Długa, mniej więcej romboidalna w przekroju głownia ze wzmacniającą ością przechodziła u nasady w niewielki trzpień. U nasady oraz na trzpieniu znajdowały się otwory, które służyły do nitowania okładzin rękojeści wykonywanych z drewna, rogu lub kości. Broń była dość dobrze wyważona dzięki masywnej głowicy. Niektóre egzemplarze mierzyły blisko metr, a nawet więcej. Ich kształt sprawił, że w literaturze broń określano mianem miecza rapierowego. Forma klingi wskazywać może, że mieczy tego typu używano do pchnięć, co z uwagi na rzadkość uzbrojenia ochronnego miało swoje uzasadnienie. ©©



Moździerz szturmowy kal. 380 mm

Wtrakcie powstania warszawskiego „strona niemiecka wprowadza do walki wszelkiego rodzaju środki techniczne – zapisano w dzienniku działań bojowych 9. Armii. – Prócz goliatów i miotaczy min powietrznych [wyrzutnie pocisków rakietowych Nebelwerfer, nazywane przez warszawiaków „krowami”], jakimi posługują się saperzy szturmowi, wprowadzono wozy pancerne sterowane na odległość [ciężki nosiciel ładunków wybuchowych Borgward B IV]. Mają niebawem nadejść dalsze nowe środki techniczne”. Były wśród nich dwa ciężkie moździerze szturmowe zbudowa-

ne na podwoziu czołgu Tygrys I w zakładach Alkett. Sturmmörser Tiger powstał w wyniku doświadczeń z walk miejskich



pod Stalingradem. Łącznie w 1944 r. powstało ich 18. Ów moździerz raketowy miał kaliber 380 mm. Zasięg strzału wynosił 4,6 tys. m. Masa Sturmmörser Tiger sięgała 65 t, załoga liczyła pięciu ludzi. Pojazd osiągał prędkość 40 km/godz. po drodze, a promień działania sięgał 120 km. U wylotu lufy znajdowały się charakterystyczne otwory, którymi w trakcie strzału wydostawały się na zewnątrz gazy prochowe. Siła rażenia była ogromna, ale poważną wadę stanowiła słaba celność broni, dla której walki w Warszawie były chrztem bojowym. ©©

Mity i fakty / Między historią techniki a kompleksami narodowymi

Cztery wielkie wynalazki



Joachim Gutenberg, chińska rakietka i zwój papirusu. Na następnej stronie: kompas wojskowy z czasów I wojny

FOT. ARCHIWUM



Tymoteusz Pawłowski

/ Podobno cztery wielkie wynalazki ludzkości – papier, kompas, druk i proch – pochodzą z Chin. Czy tak było naprawdę?

deja „czterech wielkich wynalazków” jest pomysłem europejskim, wywodzącym się z XVII w., sformułowanym przez Francisa Bacona, a później wielokrotnie powtarzanym. Bacon pisał

jednak o trzech wielkich wynalazkach – kompasie, druku i prochu, wynikało to jednak z magii liczby trzy. W Chinach magiczną liczbą jest cztery. Na chińskie inspiracje niektórych wynalazków Europejczycy zwrócili uwagę w drugiej połowie XIX w., nie tyle nawet doceniając myśl naukową Państwa Środka, ile starając się wykazać, że Japończycy nie mają racji, gdy głoszą swoją wyższość cywilizacyjną.

Blisko sto lat później Chiny, stając się mocarstwem światowym, postanowiły wykazać, że ich wkład w rozwój światowej nauki jest równie duży – jeśli nie większy – niż Zachodu. Znalazły przy tym wielu sojuszników, zmęczonych dominacją Europy i Ameryki. Byli wśród nich politycy rozwijających się państw afrykańskich i azjatyckich, działacze

ruchów afroamerykańskich w Stanach Zjednoczonych, lewicowi politycy w co bardziej „postępowych” krajach Europy. Zakładali oni irracjonalnie, że przyznanie pierwszeństwa naukowego Chinom osłabi patriarchalny Zachód. Nie bez winy byli też propagatorzy historii i nauki piszący sensacyjne teksty o rzekomych odkryciach w starożytnych księgach chińskich.

Chiny mają niepodważalny wkład w rozwój nauki i techniki. Wiele zagadnień matematycznych rozwiązano tam wcześniej niż w Europie, dokładniej zajmowano się pomiarem czasu, płymami morskimi, optyką, akustyką, magnetyzmem. Silne państwo pozwalało na wyprawy badawcze od Mongolii aż do Indii, nawet w tak „błahych” sprawach jak zbadanie południowego nieboskłonu.

Jednocześnie Chińczycy lekceważyli wysoko cenioną w Europie mechanikę i dynamikę, nie zawsze znajdowali praktyczne zastosowanie dla swoich odkryć, a przede wszystkim nie zależało im na mechanizacji życia – ani codziennego, ani bardziej zaawansowanego, chociażby wojskowego. Złoty wiek nauki chińskiej trwał niemal tysiąc lat, a przerwany został ok. 1386 r., gdy mongolska dynastia Juan została zastąpiona „narodową” dynastią Ming. Nowi władcy – zwłaszcza po śmierci trzeciego z nich, cesarza Yongle, w 1424 r. – byli niechętni kontaktom ze światem zewnętrznym, a niejako przy okazji wszelkim nowościom naukowym i technicznym.

Daty i miejsca

Chińczycy uważają, że proch został wynaleziony już w IX w., czyli 400 lat przed tym, zanim zaczęli z niego strzelać

Europejczy. Można mieć jednak uzasadnione wątpliwości – wynalazku dokonali alchemicy szukający eliksiru życia. Wojskowe użycie prochu przez Chińczyków opisane jest dopiero w księdze pochodzącej z ok. 1040 r. Nie był to jednak proch w naszym europejskim rozumieniu tego słowa, czyli materiał miotający pociski. Chiński „proch” z XI w. zawierał zbyt mało saletry i nie mógł wybuchnąć, lecz jedynie płonąć. Stosowano więc go tak, jak w Europie stosowano smołę – do smarowania strzał i oszczepów, które miały podpałać umocnienia wroga. Proch jako materiał miotający rzeczywiście powstał na Dalekim Wschodzie, ale zastosowali go w ten sposób Mongołowie.

Kompas też jest podobno chińskim wynalazkiem. Chiński polityk i uczyony Zhu Yu opisał działanie igły magnetycznej w 1111 r., a sam wynalazek znany był już dużo wcześniej, służył jednak nie do nawigacji, ale do wróżb. Mniej więcej w tym samym czasie – najwcześniejsze źródło pochodzi z 1187 r. – igłę magnetyczną odkryto w Europie. Kompas to jednak nie tylko igła magnetyczna, lecz także podziałka stopniowa (słowo „kompas” pochodzi od włoskiego „compaso” – podziałka). Najważniejsze jednak jest to, że kompas jest częścią całego

systemu i dopiero w połączeniu z precyzyjnymi mapami morskimi daje niesamowite możliwości nawigacyjne. Mapy takie – zwane portolanami – pojawiły się na Morzu Śródziemnym w tym samym czasie co kompas. A kilkadziesiąt lat później dotarły do Chin.

Wynalazek druku najtrudniej powiązać z Chinami. Już w starożytności używali go Sumerowie i Egipcjanie. W czasach dynastii Juan Chińczycy faktycznie udoskonalili jego techniki, a nawet zastosowali ruchomą czcionkę. Cóż jednak z tego, skoro pismo chińskie jest tak skomplikowane, ma tak wiele znaków i jest tak zmienne, że nie można nazywać go nawet alfabetem? Druk w Chinach był ciekawostką, obiektem zainteresowań artystów i finansistów – bo pieniądze zaczęto drukować bardzo wcześnie. Dopiero w Europie za Jana Gutenberga druk stał się najważniejszym sposobem przedstawiania i rozpowszechniania wiedzy oraz idei.

Papier wynalazł cesarski urzędnik o imieniu Cai Lun, już w 105 r. i przez kolejne kilkadziesiąt lat produkowano go tylko w Chinach. W 751 r. Arabowie pokonali Chińczyków nad rzeką Tanas w pierwszej i jedynej bitwie stoczonej przez te potęgi. Arabowie zyskali – wraz z jeńcami – sekret produkcji papieru, który w XII w. zdobyli z kolei – wraz z odzyskiwaniem Półwyspu Iberyjskiego – Hiszpanie. Papier jest więc jednym z czterech wielkich wynalazków o bezsprzecznie chińskim rodowodzie. Wynalazkiem dodanym do kanonu „wielkich” przez samych Chińczyków – Europejczycy mogliby się obejść bez niego.

Nie tylko Chińczycy

Podobnie do Chińczyków czynią inne narody. Najbardziej znane jest podejście rosyjskie. W czasach słusznie minionych uczono Polaków w szkołach, że żarówkę

wynalazł Aleksandr Łodygin, a lokomotywę parową Jefim Czerepano. Ulica śmiała się natomiast, że być może jest to nawet prawda, ale to Edison wynalazł pierwszą żarówkę, która świeciła, a Stephenson – pierwszą lokomotywę, która jeździła. Żarty szły dalej: wynalazcą konserwowanej żywności był Puszkina, Pomidorów odkrył zupę swojego imienia, a twórcą geometrii był Pietia Goras.

Charakterystyczną cechą rosyjskich wynalazców jest to, że niemal wszyscy byli zdolnymi samoukami.

Polakom takie poprawienie samopoczucia również nie jest obce: Tytus Liwiusz Burattini – podobno – jako pierwszy wysunął koncepcję statku latającego lżejszego od powietrza, Jan z Kolna – podobno – odkrył Amerykę, Mikołaj Kopernik – podobno – jako pierwszy sformułował zasadę heliocentryzmu, a Maria Skłodowska-Curie – podobno – jako pierwsza odkryła promieniotwórczość. Co interesujące, niemal wszyscy polscy wynalazcy kojarzeni są z zagranicą, a nawet tam hołubieni: Burattini urodził się we Włoszech, Jan z Kolna pojawił się tylko w nader niejasnych zapisach zachodnich kronik, do Kopernika przyznają się Niemcy, a do Marii – znanej w świecie jako Curie – Francuzi.

Typowy chiński wynalazca był cesarskim urzędnikiem. Rosjanie cenili samouków, a Polacy osoby docenione na Zachodzie. Podobnie jest w innych państwach. Francuzi również mają „alternatywny” zestaw pionierów techniki, składający się przede wszystkim z ich rodaków, z reguły o arystokratycznym pochodzeniu. U Niemców wynalazcami są naukowcy niemal zawsze z tytułem doktora. Brytyjskimi wynalazcami są inżynierowie, a amerykańskimi – przedsiębiorcy. Być może próby znalezienia „krajowych” wynalazców nie pomagają w zrozumieniu historii techniki, wiele jednak mówią o narodach, ich marzeniach oraz kompleksach.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

POLSKA W 1939 ROKU NIE POSIADAŁA UMOCNIEŃ WZDŁUŻ CAŁYCH GRANIC, PODOBNYCH DO LINII MAGINOTA WE FRANCJI. ZE WZGLĘDU NA OGRANICZONE FUNDUSZE FORTYFIKACJE BUDOWANO JEDYNE FRAGMENTARYCZNIE W MIEJSCACH SZCZEGÓLNE ISTOTNYCH MILITARNE. TAK BYŁO TEŻ W PRZYPADKU 16 SCHRONÓW STANOWIĄCYCH ODCINEK UMOCNIONY „WIZNA”. DOWÓDZTWO NAD NIM POWIERZONO 2 WRZEŚNIA 1939 ROKU KAPITANOWI WŁADYSŁAWOWI RAGINISOWI.

7 WRZEŚNIA
1939 ROKU.



WYSADZENIE MOSTU NA NARWI ZATRZYMAŁO NIEMIECKĄ OFENSYWĘ. 8 WRZEŚNIA NIEMIECKA PIECHOTA SPRÓBOWAŁA POKONAĆ RZECZĘ, ALE NA DRUGIM BRZĘGU ZNAJDOWAŁY SIĘ SILNE UMOCNIENIE POLSKIE STANOWISKA.



9 WRZEŚNIA DO NIEMIECKICH ODDZIAŁÓW DOCIERA GENERAL HEINZ GUDERIAN I PO ZORIENTOWANIU SIĘ W SYTUACJI WPADA WE WŚCIEKŁOŚĆ.

NIC TU SIĘ NIE DZIEJE!
MOST PONTONOWY
NIE JEST GOTOWY! JAK NIBY
CZOŁGI MAJĄ PRZEDOSTĄC
SIĘ NA DRUGI BRZEG?!
ŚCIGNIJCIE TU BOMBOWCE,
NIECH ICH ZASYPĄ
BOMBAMI!



PO ZMASOWANYCH NALOTACH I OSTRZALE ARTYLERYJSKIM DO SZTURMU RUSZYŁA NIEMIECKA PIECHOTA. KOLEJNE POLSKIE UMOCNIENIA I BUNKRY ZOSTAŁY ZNISZCZONE. W TYM CZASIE SAPERZY BUDUJĄ MOST PONTONOWY, PO KTÓRYM PRZEJEZDZAJĄ CZOŁGI. O ŚWIECIE 10 WRZEŚNIA NIEMCY WZNAWIAJĄ NATARCIE NA OSTATNIE BUNKRY, W KTÓRYCH JESZCZE BRONILI SIĘ POLACY. W KOŃCU WYSYLAJĄ PARLAMENTARIUSZA DO SCHRONU DOWODZENIA.

ROZUMIEM WARUNKI
KAPITULACJI. PROSZĘ
JEDNAK O PÓŁ GODZINY
DO NAMYSŁU.



PANOWIE,
SŁUŻBA Z WAMI
BYŁA PRAWDZIWYM
ZASZCZYTEM. OPUSZCIE
TERAZ SCHRON, JA
JESZCZE MAM TU COŚ
DO ZROBIENIA...



BITWA POD WIZNĄ JEST CZĘSTO OKREŚLANA JAKO POLSKIE TERMOPILE. BOWIEM ZALEDWIE SIĘDMIESET ŻOŁNIERZY DOWODZONYCH PRZEZ KAPITANA RAGINISĄ POWSTRZYMAŁO NA KILKA DNI OFENSYWĘ PONAD 40 TYSIĘCY ŻOŁNIERZY NIEMIECKICH WSPIERANYCH PRZEZ 350 CZOŁGÓW ORAZ OKOŁO 500 DZIAŁ I MOŹDZIERZY.



**Sławomir
Cenckiewicz**

/ Felieton

Geneza powstania sejneńskiego

Powstanie w Sejnach (23–28 sierpnia 1919 r.) należy do tych niewielu zrywów militarnych Polaków, które uwiecznione zostały zwycięstwem. Może dlatego niemal kompletnie zostało zapomniane, ale tegoroczna państwowa ranga obchodów 100-lecia powstania sejneńskiego będzie próbą zmierzenia się z niepamięcią.

Geneza powstania sejneńskiego jest dość skomplikowana. W pierwszych dniach stycznia 1919 r. Litwini oprotowali próbę zajęcia Wilna przez polskie oddziały samoobrony wileńskiej, a gdy wojska polskie zostały zmuszone przez bolszewików do opuszczenia miasta, Litwini zaczęli je rozbrajać, utrudniając ewakuację, w marcu 1919 r. podjęli zaś nieudaną próbę zdobycia Wilna. W zamiarach tych uprzedził Litwinów Józef Piłsudski, który 16 kwietnia rozpoczął w rejonie Lidy ofensywę zakończoną w dniach 19–21 kwietnia 1919 r. pokonaniem Armii Czerwonej i zdobyciem Wilna.

Tym samym otwierał się nowy etap w realizacji idei federacyjnej, w którym posiadanie Wilna miało zmusić Litwinów do ustępstw. Jednak prowadzone w tym czasie rokowania polsko-litewskie nie przyniosły żadnych rezultatów. Obecność wojsk niemieckich i litewskich, okupujących część terytorium Litwy etnograficznej z Suwalszczyzną, zagrażała poważnie – na linii dochodzącej do 300 km – lewemu skrzydłu i tyłom wojsk polskich prowadzących operację przeciwko bolszewikom. Poza tym potrzebę niezwłocznego zajęcia Suwalszczyzny dowództwo wojsk polskich uzasadniało przeprowadzeniem koniecznego poboru „rdzennie polskiego” rekruta. Niemcy zdawali sobie wprawdzie sprawę, że wcześniej czy później będą musieli opuścić Suwalszczyznę, na razie jednak prowadzili wyrąb lasów augu-

stowskich i rabunek inwentarza miejscowej ludności chłopskiej.

Naczelne Dowództwo WP podjęło próbę zneutralizowania zagrożenia, które mogły stwarzać w przyszłości wojska litewskie, i zdecydowały o odbudowie struktur Okręgu Suwalskiego Polskiej Organizacji Wojskowej. Obok zwalczania wpływów niemieckich i przygotowania miejscowej społeczności polskiej do oporu POW miała przede wszystkim rozszerzyć działalność wywiadowczą na Litwę kowieńską, tak aby w przyszłości możliwe było zmuszenie Litwinów – nawet na drodze przeprowadzenia zamachu stanu w Kownie – do federacji z Rzeczpospolitą. Podjęcie przez

**/ Myśl o tym, że
Suwalszczyzna
miałaby się stać
częścią kreowanego
przez Niemców
państwa litewskiego,
zrewoltowała
nastroje...**

stronę polską działań prewencyjnych przyśpieszyła zapowiedź władz niemieckich z marca 1919 r. przekazania całego terytorium byłej guberni suwalskiej we władanie administracji litewskiej.

Antypolskim represjom niemieckim towarzyszyło w tym czasie stopniowe przejmowanie administracji przez Litwinów (16 lutego 1919 r. w Sejnach). Dla podkreślenia przynależności Suwalszczyzny do Litwy 6 lipca odwiedził Sejny premier rządu litewskiego Mikołaj Sleževičius. Wezwał on swoich rodaków, by „bronili swych osad do ostatka, jak

kto może, stając z siekierami, widłami, kosami”, i obiecał, że dla wzmocnienia posterunków policyjnych do Sejn wkroczy niebawem batalion wojska litewskiego. Także w lipcu do Suwałk wkroczył 150-osobowy oddział policji litewskiej – słynny „Żelazny Wilk” – wraz z grupą urzędników. Sytuacja z dnia na dzień stawała się coraz bardziej dramatyczna i groziła wybuchem konfliktu zbrojnego. „Ludność ogarnął szal – pisał jeden z powstańców Tadeusz Katelbach. – Dopiero teraz zniecierpliwienie przybrało rozmiały zapalne. Myśl o tym, że Suwalszczyzna miałaby się stać – jak się wówczas mówiło – częścią kreowanego przez Niemców państwa litewskiego, zrewoltowała nastroje... Litwini tym czasem pakowali się wszędzie w miejsce wycofujących się wojsk niemieckich”.

O pierając się na przejętych przez wywiad POW raportach „Freikorps” i „Brigade Grodno”, w których była mowa o opuszczeniu przez Niemców Suwalszczyzny ok. 15–20 sierpnia, w dniu 16 sierpnia 1919 r. dowództwo POW podjęło decyzję o zorganizowaniu powstania i przystąpiło do opracowania szczegółowego planu działań bojowych. Ustalono, że powstanie wybuchnie z chwilą przekroczenia przez wojska polskie linii demarkacyjnej – winna to być noc poprzedzająca zajęcie Suwałk przez 41. pp WP. Plan zakładał opanowanie terytoriów przyznanych Polsce przez ententę oraz rozszerzenie działań bojowych o 30–40 km poza tzw. linię Focha, ku północy aż do wysokości Simna.

Rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana, ale powstanie wybuchło i mimo zmieniającej się sytuacji militarnej otrzymało wsparcie regularnych jednostek Wojska Polskiego. Stąd zwyciężyło! Tak robi się powstania! Chwała bohaterom! ©



Militaria.pl

Z DUMĄ WSPIERAMY



FUNDACJA IM.
CICHOCIEMNYCH
SPADOCHRONIARZY
ARMII KRAJOWEJ

WWW.FUNDACJACICHOCIEMNYCH.PL



GDYNIA ŚWIĘTOJAŃSKA 84 • KATOWICE GALERIA KATOWICKA • KRAKÓW DIETLA 51 • ŁÓDŹ MANUFAKTURA • POZNAŃ POZNANIA • SZCZECIN AL. PIASTÓW 53
WROCLAW OŁAWSKA 16 • WROCLAW ALEJA BIELANY • WARSZAWA BLUE CITY • WARSZAWA TAMKA 49 • WARSZAWA WOLA PARK